

Dr. W. MIKLASZEWSKI

KATABASIS

[P O W R Ó T]

5 VII 1918 — 20/II 1919 r.

Biblioteka
UMK
Toruń

254723

3



69378

Dr. W. MIKLASZEWSKI

KATABASIS

(Powrót 5/VII 1918 — 20/II 1919 r.)

*... Idziem do ciebie, ziemio, matko nasza,
Coś z pierwородnej zrodziła nas gliny.
Idziem do ciebie, rzesza twoja ptasza,
Powracające do gniazd swoich syny..
Niechaj nas dola, jak październik rozprasza,
Krzykniesz? — Wnet twoje zbiorą się drużyny.
Przez imię twoje i na twe wołanie
Lud wierny tobie, u boku ci stanie.*

*... Idziem do ciebie, ziemio, matko miła,
By upaść czołem na twoje zaproże...
Nie jeno liczba my — ale i siła.
Nie jeno pług my, co lany twe orze,
Ale i pieron, co Bóg go posyła,
By walil bory o spróchniałej korze..
Nie jeno proch my, co z wiatrem polata,
Ale i bary, dźwignące pół świata...*

WARSZAWA 1 9 2 9

NAKŁADEM AUTORA

Wskrziesicielowi Polski,
Wodzowi Narodu,
Komendantowi Legjonów,
I-mu Marszałkowi Polski
Józefowi Piłsudskiemu

254723

pamiętnik ten poświęca

autor.



Drukarnia „SIŁA“, W-wa. Marszałkowska 71.

K. 334/64

Przedmowa.

Cztery lata wojny! Cztery lata ciężkich przeżyć!
Z nich trzy w diasporze, na tułaczce...

Gdy przeglądam listy do żony, z których skleił się pierwszy tom tego pamiętnika: „Memorabilia“, widzę, ile pominąłem ważnych wydarzeń, mających znaczenie dla przyszłych wypadków. Moznaby je dziś uzupełnić. Jednak to byłby w mojem rozumieniu fałsz. Niech to będą naprawdę własne przeżycia, godne utrwalenia dla potomnych na podobieństwo tych, jakie zapisywał Ksenofont o Sokratesie. Dzieje nagromadzą fakty; przeżycia może dać tylko pamiętnik.

Podobnież, gdy odczytuję moją „Diasporę“, w której notowałem najważniejsze przeżycia tułaczki, chce się niejedno dodać, aby odtworzyć dokładniej ten okres. Ale uczciwość nie pozwala uzupełniać. Dziś moznaby oświetlić inaczej niejedno zagadnienie, niejednego działacza, niż wtedy, gdy robiło się... migawkowe zdjęcia. Jednak pozostawiam te przezrocza i filmy bez zmian. Odrzucam tylko to, co było może przejaskrawione pod wpływem odruchowych uniesień.

Trzeci tom pamiętnika nazwałem po grecku: „Katabasis“, czyli powrót. Jestto powrót nietylko mój do Ojczyzny, lecz i Ojczyzny do naszego szczęśliwego pokolenia, które dożyło wskrzeszenia Polski. Wiekowa niewola nie odrodziła narodu. Jednak wydała kilku Mężów, którzy uratowali polskość od zagłady. Świecili Oni jak gwiazda polarna czynami powstań, mocą słowa, ukochaniem Tej, co „nie zginęła“. W tych Mężów wcielił się duch narodu. To są Wodzowie, którzy „wywiedli go z domu niewoli.“ Niech go pouczą: „nie będziesz miał Wodzów cudzych przed Nami“!

Warszawa, 20 Lutego 1919 r.

Dr. W. Miklaszewski.

I. Przed wyjazdem.

Promienie wschodzącego słońca padają przez małe szybki i załamują się barwami tęczy nad głowami śpiących na podłodze moich dzieci, otaczając je aureolą świetlną. Czy są to korony męczeństwa, które znosiłyście w wieku pacholęcym, czy splot złudnych nadziei na przyszłość? Te trzy lata tułaczki, te cztery lata wojny wykoleiły was z trybu życia. Nie chciałbym, aby nad waszemi głowami miały pozostać korony męczeństwa. Nie lubię ich, jako wyrazu poddania się, złamania, pokory. Niech raczej z waszych twarzy bije „genjusz światności, dawnych Polaków duma i szlachetność.“ Niech ta ciężka szkoła, którą przeżyłyście w dzieciństwie, będzie dla was na całe życie szkołą hartu i wytrwałości..

Oto Szczęsny przekształcił się w ciągu lat wojny na młodzieńca. Dotarł do 6-ej klasy, radzi sobie w szkole bez postronnej pomocy, nabrał pewności siebie dzięki samodzielnej pracy, którą wykonywał już podczas zeszłych wakacyj w Suchonie przy ładowaniu drzewa na statki, a teraz od paru miesięcy w Kremlu w składach wojskowych, gdzie zdobył uznanie kaprała i trochę produktów spożywczych, które dostarczał rodzeństwu. Patrząc na śpiącego syna. Oddycha spokojnie, miarowo. Wyraz twarzy jest dziecięcy, niewinny. Nie zepsuła go wojna i otoczenie. Jednak ja go zaniedbałem. Nie miałem czasu na pracę nad nim. Będę musiał teraz spełnić mój obowiązek ojcowski.

Tam śpi Grażyna. Zwinęła się w kłębek. Na jej twarzy 12-o letniego dziewczęcia — pogoda, spokój, rumieniec zdrowia. Nie znać na niej tułaczki. Ileż to dzieci w jej wieku chowało się nawet podczas pokoju w gorszych warunkach! Czy ja sam miałem lepsze dzieciństwo? Przygotowała się w szkole w So-

kolnikach do 2-iej klasy, jest trochę zapóźniona, lecz przypuszczam, że dopędzi.

Najgorzej wyszła na wojnie Halina, bo nie chodziła do szkoły. Ma 14 lat, a przygotowana jest do 3-iej klasy. Trudno było inaczej. Ale za to wyrobiła się życiowo, jest zdrowa, choć drobna i mizerna.

Aldona kończy 7 lat, jest wątła i słabowita, przeszła dur powrotny. Ta dziecina była pozbawiona rówieśniczek i nie zaznała żadnych uciech. Jej cały świat zamykał się na wąskim podwórku domu na Dokuczajewie, na przechadzce na Sucharowkę, albo do ogrodu botanicznego. Wprawdzie spędziła dwoje wakacyj na wsi, odbyła dużą podróż po Wołdze i Kamie; ale reszta lat upłynęła jej w warunkach niekorzystnych, jak przeciętnego dziecka robocjarza lub włościanina.

I ty, żono moja, posiwiałaś i pochyliłaś się. Na czole masz zmarszczkę troski. Ręce zgrabiały ci od pracy. Przecierpiałaś więcej, niż nasze dzieci, bo trapił cię niepokój o nie. Jednak twój ojciec przeniósł katorgę za powstanie i wytrwał, doczekał wieku sędziwego i nie zatracił energii młodzieńczej i ukochania ziemi ojczystej. I ty wytrwasz.

Patrzę na mą rodzinę, śpiącą na podłodze. Promienie słońca padają już wyżej, nie załamują się w małych szybkach. Aureola z nad głów waszych znikła. Tak. To było tylko zjawisko świetlne, nic więcej. Męczennicy wyginęli na Sybirze, w więzieniach carskich. Wy, dzieci moje przeszłyście tylko ciężką szkołę życia. Oby wam została w pamięci!

Około 6-ej budzą się moje śpiochy. Pierwsze ich słowa: — Więc jedziemy! Radość bije z ich oczu, jakgdyby miały się dostać do krainy mlekiem i miodem płynącej. O nie! moje drogie, doznacie jeszcze dużo trudu i mozółu, zanim nasz kraj stanie się ziemią obiecaną.

— Ale będzie się wśród swoich pracować dla kraju, — mówi Szczęsny, — gdy pracowałem w Kremlu, trapiła mnie myśl, że to może ze szkodą dla Polski.

— W Warszawie pójdę do szkoły, — zapowiada Halina, a jej oczy śmieją się, jak do ciastka.

— Będzie lżej rodzicom, — twierdzi Grażyna. — Nie mogę patrzeć, jak moi staruszkowie mordują się. Pojedziemy do Dymska na mleko i jabłuszka, te koło dworu, pamięta mamusia? I te gruszczyki koło śpichrza...

— A mnie wszędzie dobrze, byle z wami, — szepcze Aldonka, tuląc się do matki i zerkając ku mnie.

— Gdyby wypadło pozostać jeszcze, tobym nie wytrzymała, — kończy żona, krzątając się koło śniadania.

— Wszystkie głosy szczerze, a każdy inny, — myślę, patrząc na mą gromadkę.

Zwijamy pościel, ustawiamy pakunki i zjadamy krupnik z oładkami. Dzieci nie dojadają swych porcyj, przejęte niepokojem, aby się nie spóźnić na pociąg. Sprowadzamy wóz po rzeczy. Jeszcze ostatnie słowa pożegnania najbliższych sąsiadów. Ruszamy. Droga bliska przez Dominikówkę brudną, obdrapaną, pełną nor, szynków, kramów, pozabijanych teraz deskami na głucho. Podążamy na zapasową linię Kazańską. Oto pociąg z kilkunastu ciepłuszek i paru wagonów 3-ciej klasy jeszcze zamkniętych.

Tulacze rozłożyli swe mienie na skarpie. Są tam imponujące kufry, walizy, torby, skrzynki, paki, łóżka, stoły, krzesła, naczynia, poduszki, materace i zwykłe worki z różną zawartością. Nie są to już te góry rzeczy, które widziało się na dworcach na początku wojny. Ale bo wtedy uciekali przed grozą samego imienia niemieckiego dostojnicy wojskowi i cywilni z nazbyt wysuniętego Prywislanja. Nic dziwnego, że

„istinno-ruscy“ ludzie, jak baron Tyzenhausen, baron Korf, Müller, Emmauski woleli usunąć się zawczasu.

Oczy prawdziwego rosjanina, patrząc na te stopy pakunków, zdają się mówić:

— Trzebaż to było wpuszczać tu tę hołotę?! Objadali nas przez kilka lat, brali od rządu rozmaite zapomogi i teraz każą się jeszcze odwozić z powrotem. Ileż to naszych bogactw musi być w tych kufarach i skrzyniach, ile złota, srebra, brylantów, jedwabi, koronek, pieniędzy! Ot carat nabroił! Czy nie należało odstąpić odrazu za Bug, wciągając Niemca do kraju południowo-zachodniego, spaliwszy go uprzednio i zniszczywszy?? Tak zwyciężyliśmy Napoleona, tak wojowaliśmy zawsze z powodzeniem. I byłby pozostał carat, nie przyszłoby do bolszewizmu i ta banda nie ogołociłaby Rosji w najcięższych chwilach.

— Będzie rewizja! — zapowiada dostojnik z gwiazdą.

— Czyż można rozbijać skrzynie, rozwiązywać na dworcu tłumoki! — zawodzi frasobliwiewie pani, wystrojona jak na wizytę.

— Czy tyle przywieźliśmy tutaj? Mało naszego mienia zostało w Rosji, — dowodzi podstarzały jegość.

— Nie wniesiecie nic do wagonu bez rewizji! — obwieszcza bolszewik.

Tułacze są zaniepokojeni. Wolno wywieść odzież na sobie, jedną parę bielizny na zmianę, 1000 rb. kierenkami i jednego rubla srebrnego, zegarek, najkonieczniejsze przedmioty użytku codziennego i jedzenie na jeden dzień. Każdy miał te przepisy na względzie przy pakowaniu się, ale... Czyż można pozostawić pamiątkę rodzinną po kochanej babci? Oto broszka kolczyki, z którymi się nie rozstaje od 30 lat, pierścionek po zmarłym narzeczonym, flakonik, papierośnica...

Czyż pozostawię srebra rodzinne?! Wszak są na nich monogramy. Raczej sam z nimi pozostanę!

— A jeżeli „towarzysze zrabują je przy dworcu?

— To będzie przemoc, przeciw której będziemy się bronili—odpowie okazały pan.

— Łatwiej chyba bronić się tu wobec urzędników i świadków, niż na ulicy wobec zgrai napastników.

Niepokój wzrasta, gdy bolszewicy zabraniają wywozić samowarów i maszynek naftowych, ponieważ Niemcy konfiskują wszelkie wyroby z miedzi.

— A co się z nimi stanie?

— Zabierzemy i damy pokwitowanie.

Wobec tego, że jest to świstek, zaopatrzonego nieczytelnym podpisem, zaczyna się sprzedawanie naprędce lub pozostawianie u znajomych zabronionych przedmiotów. Płacz, klótnie, zawodzenia, wyrzekania. Prawu musi stać się zadość. Najmniej niepokoju zdradzają właściciele dużych, okutych kufrów, skórzanych waliz i innych środków opakunkowych, nie mających cech—pamiątek rodzinnych. Rzecz zrozumiała: bolszewik, jako wyraziciel współczesności, nie znosi tradycji. A może wchodzi tu w grę i inny czynnik? Właściciele tych nowoczesnych opakowań są w tak dobrej komitywie z rewidentami, że ich kufry nie ulegają nawet otwarciu. Dziwne zaufanie!

Rewizja zbliża się do moich walizek. Nie mam nic do ukrycia prócz rękopisów, na które należało uzyskać pozwolenie. Dwa tomy pamiętników z wojny, podręcznik higieny i materiały antropometryczne. Co dać na pastwę? Będę bronił „Memorabiljów“, i „Diaspory“ do upadłego. W najgorszym razie oddam je na przechowanie. Jednak rewidenci byli względni.—Sześć osób, ósm zawiniątek, stara bielizna, stara odzież i futra, trochę pościeli. A coto za papiery?

— Prace naukowe, materiały do badań antropologicznych.

— Własne? Tak? Że też się panu chciało bawić takimi głupstwami w tak gorących czasach! — dziwi się bolszewik, przeglądając zwitki, zapisane samymi liczbami. — Ale to nietajna korespondencja?

— Ocalały. Oddajemy tylko „prymus“ i parę rondli miedzianych. Tanim kosztem.

Po kilku godzinach otworzono wagony. Jako lekarz pociągu, posiadający mało rzeczy i czworo dzieci, dostaję dwie ławki w przedziale 3-ciej klasy. Obok rozmieszczają się staruszkowie, inwalidzi, dzieci, a na końcu kierownik pociągu p. Szymanowski.

Jesteśmy wreszcie w wagonach. Mieliśmy wyruszyć o 9-ej rano, a jest godzina 2 popołudniu. Jednak nikt już teraz nie wątpi, że wyjedziemy, choć z dużym opróżnieniem. Lokomotywy jeszcze niema, nie widać też służby kolejowej. Wśród podróżnych zaczyna się zniecierpliwienie jak przed przedstawieniem opóźnionem. A że nie słyhać tupania, klaskania i krzyków, to zapewne dlatego, że niema ich komu słuchać. Nawet p. Szymanowski znikł z widowni i niema od kogo zasięgnąć języka. Niejeden podąża na miasto, aby ukoić głód. Inni wyruszają po zapasy na drogę. Zjawia się kilku znajomych. Państwo Z, przynoszą nam garnuszek kaszy gorącej i pół bochenka chleba, zapewniając, że nie stanowi to dla nich uszczerbku, bo posiadają zapasy.

— Zosia przeprasza, że nie przynosi cukierków, ale cukiernie... pozamykane. Niech więc państwo na strzeziennego przetrąca kaszy,—mówi p. Z.

Nie dajemy sobie tego powtarzać. Dzieciaki zjadają ze smakiem, jak najlepsze ciastka, ja zaś mówię:

— Szczęście, że cukiernie zamknięte, bo Zosia wykupiłaby się jakim tortem lub paroma funtami cukierków. A tak nasyciliśmy się na cały dzień i możemy patrzeć jaśniej na życie. Wszak nie godzi się potę-

piąć w czambuł wszystkich poczynań bolszewickich. I tam znajdzie się niejedno zdrowe ziarno.

Zjawia się p. Dybczyński. Jest roztargniony, wzburzony. Przeprasza, że nie przybył rano, ale był pewien, że nie pojedziemy.

— Jako? Dlaczego? — pytani.

— Dokonano zamachu na posła niemieckiego, Mirbacha. Kanalja zabita. Bolszewicy zarządzili poszukiwanie sprawców. Żaden pociąg dziś nie odejdzie. Rewizje i aresztowania..

— Zapewne i pan miał z tego powodu kłopoty, jako prezes Związku W. Pol. i Komendant.

— Nic mi nie zrobią. Gorsza sprawa z pułkownikiem Majewskim. Siedzi już kilka miesięcy w Butyrkach. Żona jego i rodzina są w trudnych warunkach..

— Daliśmy im niedawno zapomogę. Może potrzeba... Służę. W kraju dam sobie radę.

— Pod względem pieniężnym poradzę sobie jakoś. Ale chodzi o rzecz gorszą: bracia Lutosławscy, uwięzieni również na Butyrkach, zwalają winę na Majewskiego.

— A nie przekładałem mu, że niewolno poczynać sobie tak lekkomyślnie?

— Książdz Lutosławski umknął w przebraniu. Dokumenty dostały się do rąk bolszewików. Jest dużo aresztowań.

— Stylowo! Tacy panowie są buńczuczni tylko wobec ciemnoty, którą oszalamiają gromkimi hasłami. A gdy trzeba stanąć do rzeczywistej walki, — wołają... w nogi. Teraz bolszewicy mają dowody, że neutralność złamał nie Majewski, lecz Lutosławscy z księdzem na czele.

— Zabójstwo Mirbacha pogarsza jeszcze położenie, bo Niemcy są dokładnie powiadomieni o sto-

sunkach z Paryżem, o milionach stamtąd. Żądają ustalenia związku pomiędzy zabójstwem a tą akcją.

— Fatalne powikłanie! Może ono odbić się bardzo ujemnie na naszym Związku. Powinien pan przeto w myśl naszej umowy zlikwidować swą działalność i wracać.

— To niemożliwe. Teraz jestem najpotrzebniejszy: w więzieniach siedzi dużo Polaków, bardzo wielu trzeba ułatwić powrót, nasze zabytki są jeszcze niezbrane i niezabezpieczone.

— Niech pan nie zwleka! — mówię. — Co prawda w całej tej sytuacji jest jedna rzecz pocieszająca, mianowicie ucieczka ks. L.

— Jak to pan rozumie? — pyta p. D.

— Skoro uciekł: 1) niema go w Moskwie, czyli brak tego, który wprowadzał największe zamieszanie w naszym życiu, skierowując je na mętne fale partyjnictwa i wstecznictwa; zawszeć będzie panu łatwiej bez niego, niż nam wszystkim z nim i sforą najmitów i agitatorów, którzy otaczali naszą Radę; 2) nie musi być widziany najgorzej przez Niemców, skoro przedarł się do Polski; wszak taki wytrawny dyplomata nie ryzykował by ucieczki z deszczu pod rynną.

— Ma pan słuszność. Z tych uwag zrobię nawet użytek przy dalszych poczynaniach, — mówi pan D.—Bez pana Związek byłby się dawno rozpadł, lub zeszedł na partyjne bezdroża, — zapewnia D., a na twarzy jego widnieje już pogoda i spokój.

Długo jeszcze gawędzimy o sprawach polskich w Rosji, o najbliższych zamierzeniach i dalszych planach. D. wybiera się do Homla, aby zabezpieczyć pomnik ks. J. Poniatowskiego od zagłady. Bolszewicy oceniają go ze stanowiska walki z imperjalizmem pod hasłem: „dałoj cari, ministry, generały!“ Odzyskanie tego pomnika w chwili rozbijania i niszczenia wszystkich w całej Rosji jest trudnem przedsięwzię-

ciem. Jednak p. D. ufa, że się mu ono powiedzie. Oby!

Rozstaliśmy się późnym wieczorem. Dziś już napewno nie wyruszymy. Na szczęście nie wracamy na Dokuczajew. Już go nie chcę więcej oglądać. Niechby stać tu nawet parę dni. Zawszeć to lepiej, niż patrzeć na ów parkan i śmietnik przed oknami, na szyby powybijane w przyległej oficynie, słuchać rozpraw politycznych ceratnika ze sklepikarzem i zdemobilizowanymi żołnierzami, kończących się grą koczacka na harmonji i nokturnów na bałabajce.

Kładziemy się do snu na ławkach, podłożywszy kołdry i poduszki. Jest nam wygodniej, niż było na podłodze. Przynajmniej nie łażą po nas myszy i niedające się wytępić owady domowe. Przez szyby widać gwiazdy. Dawno już nie oglądało się otwartego widnokręgu. Nie widać dziś na nim żadnej komety, która przed czterema laty nastroczała Jurasowowi pytanie, co zapowiada? Zapowiedź sprawdziła się, jak przepowiednia wyroczni delfijskiej: „Jeżeli Krezus przejdzie rzekę Halin, zniszczy wielkie państwo.“ Ale dopiero po dokonaniu tej przeprawy Krezus dowiedział się, że to wielkie państwo, które miało być zniszczone, była jego własna Persja. Różga komety, zwrócona na zachód, sprawiła chłostę przedewszystkiem Polsce. Niemcy podają się wciąż jeszcze za zwycięzców. A Rosja zwyciężyła: pozbyła się caratu i teraz podbija propagandą bolszewicką cały świat. Współczesność nie docenia sztuki egipskiej i haldejskiej: iluż to nieszczęść można było uniknąć, gdyby tak wznowić zaniechane czytanie z gwiazd. A możeby tak która powiedziała mi, jak prędko odjedziemy? Milczycie. Ale mrugacie wesoło. Pojedziemy napewno!

W oddali na tle lazurowem rysują się gmachy Moskwy. Miasto jest ciemne i głucho. Tylko

w czerezwyczajce musi wrzeć życie przy poszukiwaniu zabójcy Mirbacha. Muszą go znaleźć w imię... dobrych stosunków [z Niemcami. Wojna skończona. Pokój zawarty... Nie. Trocki orzekł: ani pokoju, ani wojny. Może zawieszenie broni? I to nie. Na froncie zaszły zmiany osobliwe: żołnierze w okopach orzekli sami, że mają wojny dość, że niema właściwie o co walczyć, niema i nie było. Wojnę wymyślił imperjalizm. Dziś car usunięty, uwięziony wraz z członkami swej rodziny. Na generałów i ministrów wydane wyroki, część ich już wykonana. Najtrudniejsza sprawa z oznaczeniem granicy. Niemcy dotarli do Orszy, zajęli prowincje Nadbałtyckie i chcą zagarnąć żyzne gubernie, śpichlerz Rosji. Na to niemożna się zgodzić nie dlatego, że to kraj prawosławny, lecz — że reszta nie zdołałaby się wyżywić. Wszak i car zawarł z Japonją pokój „bez aneksyj i kontrybucyj.“ Narazie więc trzeba przerwać wojnę, bo tego żąda naród i tak się ułożyli żołnierze w okopach. Niemożna już wojować choćby dlatego, że żołnierze sprzedali, lub wymienili na wódkę i tytoń armaty, karabiny i wszelki sprzęt wojskowy. Trzeba więc było narazie zostawić pod okupacją zajęte obszary i przyjąć posła niemieckiego w Moskwie. Ale imperjalizm niemiecki zachował się w całej pełni. Mirbach lekceważy komisarzy sowieckich, zachowuje się wyniosłe, wtrąca się do wewnętrznych spraw Rosji, rządzi się, jak zwycięzca wśród kafrów. Tego nie mógł znieść obywatel wolnej S. S. R. A w dodatku jest tu i jakaś obca intryga, która żąda zamętu i kłopotów dla komisarzy. Pojmać zabójcę, wysledzić intrygę trzeba dla wykazania swej potęgi. Rozstrzelać jeszcze tyśiąć, czy kilka tysięcy białogwardystów i kontrrewolucjonistów, to rzecz drobna. Ładunki są. Ale zato korzyść niewątpliwa, że następca Mirbacha będzie grzeczniejszy. Zresztą i w Niemczech będą rychło ra-

dy żołnierskie i robotnicze. Z nimi będzie porozumieć się łatwiej, niż z wysłannikami cesarza.

Przyglądam się Moskwie, pogrążonej w mroku. Śpi spokojnie. Sen musi ją pokrzepić, bo nic innego nie doda jej już sił. Głód wysuszył ciało, brak wódki nie pozwala znaleźć chwili zapomnienia, nawet cerkiew jest zamknięta, a jeśli pop w niej zawodzi „hospodi pomiluj“ jest ono głosem, wołającego na puszczy. Jeszcze tylko sen pozostał moskwiaczowi, jako ostatnia pociecha. Chyba że Pan Bóg zlituje się i przemieni. A jeżeli nie, to wypadnie zginąć.

Co się stało? Za cara było źle. Zdawało się, że się nie wytrzyma. Straszono Niemcem, że zajmie Moskwę. Lecz pocieszano się: jeszcze daleko, nie dojdzie. A chociaż zajął dopiero Orszę, jest się pod jego przemocą. Wszak bolszewicy to jego wysłannicy. Oni oblegli Moskwę w jesieni, zbombardowali ją i spalili, obdarli ludność do ostatniej koszuli... Położenie bez wyjścia. Trzeba... iść na służbę do bolszewików. Będzie chleb, wódka, odzież. A reszta?... Czort pobier! Czego tam więcej potrzeba? Dawniej żyło się dla cara i popa. I cóż z tego? Było źle, ale mówiono, że Rosja jest wielka i potężna i że poddany winien być z tego szczęśliwy. Dziś niema cara. Pokazało się, że pop łgał. I żadnej Rosji niema, bo każde miasto chce być samodzielne. Wszystko co było, było łgarstwo, wszystko co jest, jest łgarstwo, i wszystko co będzie, będzie łgarstwo! Prawdą jest to tylko, że człowiek jest głodny, że ma rozmaite potrzeby i że ten ma słuszość, kto umie je zadowolić. A więc... trzeba wstąpić do bolszewików.

Tak wyglądają dwa światopoglądy, wskazujące, że Rosja musi przejść przez bolszewizm. Łudzą się więc ci, którzy liczą jego panowanie na dni i tygodnie. Tak łudziliśmy się i my, wyliczając, że wojna może trwać jakie parę miesięcy. Podstawą tych wyliczeń

było podmiotowe odczuwanie ciężarów i cierpień. Ale życie wskazało, że niezdolni znieść je — wyginęli, a pozostali podźwigną jeszcze większe brzemie.

Rosja musi przejść przez maximalizm. Do tego przygotował ją carat. Poddany pożąda praw obywatelskich, wolności. Nagromadziło się zbyt wiele porachunków niezłaławionych. Zbyt wiele nieprawności było bezkarnych. Ciemnota przekroczyła granice, w jakich może utrzymać się naród. Chłop jest po raz pierwszy powołany do głosu w sprawach, które go naprawdę obchodzą, i to nie jako poseł do dumy, do której nie żywił zaufania, lecz sam u siebie w miejscu zamieszkania. Nauczono go już, że rządzenie nie wymaga jakiegoś specjalnego przygotowania, że wystarczy znać kilka formułek, które zastąpią w zupełności uniwersytety i inne burżujskie wymysły, obliczone na dopuszczenie na wyższe stanowiska jedynie klasy uprzywilejowanej, albo Rasputinów... Oto miliony uczniów traciło zdrowie nad pisownią. Tak zwani uczeni pisali tomy o literach; „jat“ i znakach twardych i miękkich. A pokazało się, że dość wydać jeden dekret, usuwający te litery z alfabetu i niema już obywateli, nieumiejących pisać poprawnie. Podobnie spory o kalendarz zostały złaławione przez wprowadzenie kalendarza Gregorjańskiego. — Niema już oficerów, odznak wojskowych, honorów, dostojników z olbrzymimi poborami. Wszyscy są równi. To przemawia bardziej przekonywająco do „muzyka“ i „sołdata“, niż obiecwana przez popa równość w przyszłym życiu.

Patrząc na Moskwę uśpioną. Nie doceniamy przewrotu, który się w niej dokonał. Wszak nie chodzi już o nas, lecz o sąsiedztwo, jakie będzie miała Polska na wschodzie. Pomimo wszystko jest ono korzystniejsze, niż dawny carat z jego prawosławjem. Może okres przewrotu bolszewickiego był dla nas

ciężki, jako dla tułaczów, ale zmartwychwstającej Polsce będzie z nim znacznie łatwiej. Czyż za caratu byłoby możliwe powstanie polskich organizacyj wojskowych w Rosji? Czyż po sławnej odezwie w. ks. Mikołaja do Polaków nie śmieli się moskale w kułak albo wprost w oczy nie tylko z uniżonych ugodowców, lecz nawet z naiwnych, obiecujących sobie... samorząd?

Nie doceniamy przewrotu. To też działalność takich Lutosławskich nie może być uznana za usprawiedliwioną. Jeżeli polscy socjaliści, np. Leszczyński, Weychert, Szczęsny walczą ze wstecznictwem polskim, jeżeli pułk Bielgorodzki zapowiada walkę z rządami biskupów, magnatów, — jak wygląda program ks. Lutosławskiego, który paliłby z lubością na stosie hereetyków i socjalistów? Z takim programem najwyżej... do Hiszpanji. Ale głosić go w dzisiejszej Rosji jest nieco dziecinne...

Późno w nocy zasnąłem na ławie. Śniło mi się, że wielkie stado kruków i wron zasłoniło mi słońce. Te chmary ciągną na zachód. Utyły na padle wojennem. Teraz lecą po nowy żer. Strzelam. Spada jedna wrona i rzuca się ku mnie z dziobem rozdziawionym, z iskrzącymi żrenicami, ciągnąc za sobą strzaskane skrzydło. To ta sama, którą strąciłem, jako 15-letnie pacholę. Ulękłem się jej wtedy, bo zdała mi się wcieleniem czarta, którego widziałem na obrazku. Ale dziś czekam, aż się zbliży, i dobijam ją uderzeniem w łeb. Raptem tysiące wystrzałów wstrząsa powietrzem i tysiące kruków i wron spada na ziemię. Inne zwracają lot na wschód. Na zachodzie robi się jasno. Słońce złoci niwy, wsie, miasta...

Budzę się. Ranek. Dzieci i żona śpią smacznie, Reszta podróżnych również wypoczywa. Spoglądam

przez okno. Z nad kopuły cerkiewnej zerwało się stado wron i kawek. Lecą, kracząc, ku wschodowi.

Szczęśliwej drogi! Na zachodzie mamy was aż zadużo.

II. Odjazd.

Dwa dni minęło nam w pociągu na wyczekiwaniu. Mamy wyruszyć niebawem, choć nic nie zapowiada prędkiego odjazdu. Zapasy już się wyczerpały. Do miasta strach iść, aby nie pozostać. Głód doskwiera. Przekupnie przynoszą trochę kaszy, mąki, chleba i sprzedają po cenie dowolnej. Jeden wagon mieści kuchnię, w której gotuje się krupniki, kaszę, ryż, nawet smaży kotlety. Z miasta nadchodzą wiadomości o wykryciu zabójców, o rewizjach, aresztowaniach i wyrokach. Mówią, że nasz pociąg został odwołany, czy też odroczone do nieokreślonego czasu. Podróżni są rozdrażnieni i pełni czarnych myśli.

Nagle zjawia się lokomotywa, daje parę sygnałów i po kwadransie pociąg rusza. Zamieszanie! Wiele osób wydało się do miasta. Parę pań dopędza wagony i wskakuje w bieg. Inni podążają tramwajem na dworzec północny. Zachodzi potrzeba pierwszej pomocy lekarskiej; jedna nauczycielka dostaje napadu duszności i spazmów. Zalecam rozluźnienie staników i tasiemek z dobrym skutkiem. Nawet w tak ważnej chwili, jak powrót do kraju, kobieta dba więcej o wygląd, niż o wygodę. Niedawno ratowałem na pogrzebie młodą wdowę, która dusiła się przy łkaniu. Musiałem rozciąć gorset niepomiernej wielkości, zaciśnięty szczelnie. Uratowana czyniła mi potem wyrzuty, że lekarstwo było bardzo kosztowne. Trudno: jaka choroba, takie lekarstwo.

Stoimy na dworcu północnym, z którego mieliśmy wyruszyć przed dwoma miesiącami. A może i teraz stwierdzą czynniki miarodajne, że nie wszystkim wymaganiom stało się zadość i może znów jaki pożar będzie nas ratował od dostania się w ręce zbirów? Czekamy parę godzin w niepewności. Wreszcie pociąg rusza. Szczęśliwa chwila odlotu! Wprawdzie nie powiem za ojcem zadżumionych: „jam do ciemnego już przywykł namiotu.“ Lecz raczej wołać będę z Kirgizem:

„Dość, dość żyłem! Nie sobie...
Ciemno, pusto, jak w grobie
Być zamkniętym w ścian czterech niewoli.
Mnie tu nuda zabije. Ha tam chyba ożyję,
Gdzie powietrza, gdzie stepu dowoli!“

Tak. Dość niewoli w tych ciemnych, brudnych ścianach. Nie zabiła mnie nuda, bo nie znałem nigdy tego odczuwania. Nie zżarła mnie nostalgia, bo nauczyłem się mieć Ojczyznę zawsze z sobą. Mam tu swoją gromadkę rodzinną i te szeregi rodaków w pociągu. Ale: „tam chyba ożyję... Bom na stepie się rodził, wiatr pustyni mnie chłodził, gdym na koniu biegł stada dozierać... Koniu i ty u toku tęsknisz, choć ci obroku, ani wygod nie brak stajennych. I tyś nie tu się chował. Ciebie kirgiz hodował! Nam nie wyżyć w tych jurtach kamiennych!“

Poemat Zielińskiego snuje mi się nicią promienną. Recytuję go moim dzieciom z takim przejęciem, jak wtedy, gdy jako czwartoklasista „deklamowałem“ go w gronie kolegów i dziewcząt. Oczarowana była Stasia. Ale niebieskooka Janinka z blond lokami, okalającymi jej rumiane buziaki, wołała... karmelki malinowe. Cierpiałem więc srodze... Któż me cierpień, któż me łzy policzy!? Nikt ich nie liczył. Każdy miał swe własne. I dziś w retrospektywie spogląda na nie z uśmiechem pobłażania. Ileż wkładało się

w nie zapału! Szkoła zagważdżała nam głowy dziesiątkami niezrozumiałych przedmiotów, nauczanych w niemilej mowie rosyjskiej. Nawet religji nauczono nas w tej obcej mowie za zgodą ks. prefektów ku udręce mózgow dziecięcych abstrakcjami katechizmowymi. Ileż nocy trzeba było kuć utwory poezji moskiewskiej. Jeszcze dziś umiałbym wyrecytować: „Kak nynie zbirajetsia wieszczij Oleg...“ „Kniaź Kurbskij ot carskago gniewa bieżał...“ „O czem szumicie wy narodnyje witi...“ i dziesiątki innych. Język polski był w zupełnej poniewierce. A jeśli w dni wypoczynkowe nauczyłem się na pamięć: „Kirgiza,” „Ojca zadzumionych,” „Przedświtu,” wielu urywków z „Pana Tadeusza“, „Konrada Wallenroda“, „Grażyny“, „Dziadów“, głównym czynnikiem były tu, przyznaję się otwarcie, lazurowe oczy Janki. Ale ona była nieczuła na piękno, ja zaś nie przejmowałem się zachwytem Stasi...

Dziś, wspominając te przeżycia, nie mówię już: „wszystko przeszło, czemu nie przejdą łzy moje?“ Lecz obejmując ostatnie 40 lat mego życia, stwierdzam, że moją polskość uratowała z potoku moskiewszczyzny poezja naszych wieszczów i młodzieńczy zapał wrodzony do sokratesowskiej kalokogacji (piękna i dobra), którą każdy niezepsuty chłopiec uosabniał w swojej Jance.

Recytuję „Kirgiza“ moim dzieciom. A gdy dojdę do strofki, głoszącej, że aby zrozumieć i odczuć piękno: „nie dość się zrodzić synem pustyni, trzeba kapłanem być tej świątyni“, tłumaczę im: — Już nie zrozumiecie tego tak, jak ja rozumiałem w mem dzieciństwie, „zrodzony w kajdanach, okuty w powiciu“. Wasze dzieciństwo przypadło na okres walk z caratem o wolność i zdobycie pewnych praw obywatelskich. Ale dla mojego pokolenia była całą ostoją tylko poezja wieszczów. Wprawdzie nasze sfery

zachowawcze przywiązywały główną uwagę do wyznania, uważając je za przeciwwagę wpływom obcym; jednak ta odrębność przemawiała nam do duszy mało, a to tembardziej, że prędko spostrzeżliśmy niższość kulturalną i gospodarczą narodów katolickich w porównaniu z protestanckimi. Jest to dorobek mojego pokolenia, choć stanowi jeszcze własność jednostek; tłum powtarza wiernie zdania swych przewodców. Toteż gdyby wypadło przeprowadzić w Polsce głosowanie powszechne, głosowi tłumu należałoby przeciwstawić głos jednostek. I pokazało by się, że myśl postępu góruje nad „unisono“ pospólstwa, jak arja solisty nad chórem.

Moskwa znikła nam z oczu. Wleczemy się z powolnością kilkunastu wiorst na godzinę. Na każdej stacji jest postój półgodzinny. Letnicy wylegają na dworzec, bo zbliża się pierwszy pociąg po parodniowej przerwie. Są żądni wiadomości o ostatnich wypadkach. Czy wykryto zabójców? Kto aresztowany? Jakie wydano zarządzenia? Niewiele mamy do powiedzenia. Wiadomo: „inorodcy“ nie przejmują się sprawami pierwszorzędnej doniosłości dla tubylców, którzy gościli ich tak serdecznie przez parę lat. Kryłow powiedziałby słowa lisa: „staraja chleb — sol zabrywajetsia“ (zapomina się o długach wdzięczności). służba kolejowa udziela nowin, otoczona letnikami o wyglądzie dostatnim. Nie znać na nich biedy ani braków. Przed mojem oknem rozbrzmiewa rozmowa głosem gardłowym, chrapliwym:

— Borhys Mojsiejehwicz, pohżałujtie k nam wiehczerom na thancy i kharty.

Dowiaduję się, że Borys, syn Mojżesza, niski, gruby brunet z orlim nosem, wywiniętą wargą dolną, odstającymi uszami, jest miejscowym komisarzem, a jego rozmówca również dostojnikiem bolszewickim. Spostrzegam teraz w tłumie dużo osobników o wy-

gładzie semickim. Jeden z nich nawiązuje rozmowę z podróżnym w sąsiednim wagonie i dziwi się, że rząd uruchomił pociągi dla „bieżencew“, gdy obywatel S.S. R. odcięty jest od stolicy. Ostateczna konkluzja bruneta o krzywych nóżkach, z krótkimi rączkami i zapadłą piersią brzmi: — inorodcy korzystają u nas z takich przywilejów, jakich nie zaznali nigdy rdzenni obywatele.

Korci mnie, aby się wmieszać do rozmowy i przypomnieć krzywicowemu przedstawicielowi wiecznych tułaczów, że jeszcze niedawno wypędzano ich tłumnie do Prywiślanja i że u nas wzbudzili oni nienawiść nie tylko Polaków, lecz i swych osiadłych współwyznawców. Jednak opanowuję pierwszy poryw, pomnąc, że obowiązuje mnie neutralność. Nie mam prawa wtrącać się do wewnętrznych spraw Rosji. To, że ziemie lechitów zostały podbite przed kilkunastu wiekami przez rosły szczep nadbałtyckich blondynów, którzy stworzyli kastę rycerską, nie jest wzorem koniecznym dla Rosji dzisiejszej. Rządzili w niej „wariagowie“, a w żyłach Romanowych, którzy obchodzili niedawno swe trzechsetlecie, nie pozostała od dawna ani kropla krwi rosyjskiej: wielu członków tej dynastji ma rodowód bardzo wątpliwy, niejeden pochodzi od poprzedników Trepowa, Rasputina, a żony ich i matki były niemkinie i dunki. Czyż więc jest jaka przeszkoda, aby dziś kastę rycerzy i władców stanowili niscy bruneci na krzywych nóżkach z zapadłymi piersiami, o krótkim siągu, nosach krogulczych i uszach odstających?.. Tak: naród ma taki rząd, jakiego jest wart. Słusznie, czy nie, spierać się nie będę. To pewna, że niema w Rosji ruchliwszych i sprężystszych działaczy. Mózg bierze górę nad mięśniami.

Borys Mojsiejewicz rozmawia z p. Szymanowskim. Uścisk dłoni na pożegnanie, potem sygnał. Rużamy.

— To był komisarz miejscowy? — pytam pana S.

— A tak! — śmieje się kierownik pociągu. — Dobrali pyszną kolekcję komisarzy...

Milczę przezornie, a pan S. prawi:

— W Rosji brak ludzi. Gdyby nie garść, nas, Polaków, i zastępy żydów, carat trzymałby się niewzruszenie. Nie podważyłby go czynownik, ani, pop, kupiec, obszarnik, ani chłop. A kiedy obaliło się tę twierdzą niewoli, któż był zdolny utrzymać zdobycz rewolucji? Podpory caratu zgłosiły się najpierw z deklaracją, że się zastosują do nowego porządku, byle nie usuwać ich z dawnych miejsc.

— O ci są gotowi służyć zawsze nowemu panu, byle dobrze zapłacił, — wtrącam mimochodem. — Jednak nie wszyscy. Taki gen. Mrozowski odmówił propozycji. Mam wrażenie, że to polska krew.

— Odmówił pierwszego dnia, a potem, gdy się namyślił było zapóźno. A co do jego polskiego pochodzenia, to nie ono zdecydowało o odmowie, tylko przeświadczenie, że carat jest nienaruszalny. Mamy dzielnych Polaków. Taki Dzierżyński...

— A co właściwie obchodzi Polaków ustrój Rosji? Czy nie korzystniej byłoby dla nas wrócić tłumnie do ojczyzny i pracować dla niej u siebie?

— O nie! — woła p. Szymanowski, a oczy jego pałają. — Rewolucja jest jeszcze młoda, niema oparcia w Europie poza Rosją, bo państwa burżuazyjne boją się, jej, jak zarazy. Musimy wzmocnić podstawy komunizmu, stworzyć przygotowanych agitatorów i dopiero wtedy zdołamy rozszerzyć dobrodziejstwa nowej nauki na inne kraje. My Polacy powrócimy wtedy...

— A ile potrzeba na to czasu? — pytam.

— Parę, może kilka lat. Spędzimy je na obczyźnie, chociaż mamy rodziny w Polsce. Trudno! Ktoś

musi wykonać tę pracę. Myśmy się jej poświęcili. I dokonamy dzieła.

— A jak dacie sobie radę z Niemcami? — pytam, chcąc zmienić temat i odwrócić uwagę od najdrażliwszego pytania: Ojczyzny.

— Niebawem wybuchnie w Niemczech rewolucja, — twierdzi p. S. — Jeżeli Niemcy wojnę przegrają, a na to się zanosi, stanie się z nimi to samo, co z Rosją. Tylko że oni mają własnych ludzi, a my musimy się posługiwać takimi, jakich pan widział na stacji i garścią Polaków.

— Mnie się wydaje, że w Niemczech komunizm jest niemożliwy. Są to zagorzali nacjonaści, przywiązani do kajzera, do dynastji, mają zorganizowany przemysł, związki zawodowe, opiekę społeczną; ich szkoła jest na wysokim poziomie, nie mają analfabetów, posiadają kościół narodowy, popierający państwo, które ma mocne podwaliny...

— Pan sądzi, że komunizm jest związkiem bandytów i zbirów, głupców i nieuków, biedaków i próżniaków, odszczepieńców i bezbożników? Tak źle nie jest. Spotyka się wśród nas może więcej, niż gdzie indziej, ludzi bez wartości. Ale skąd mogli wziąć się dzielni? Carat strzegł ciemnoty, jak najwyższego skarbu. Pierwszy nasz czyn polegał na sprowadzeniu z katorgi zesłańców, bojowników i na wypuszczeniu z więzień przestępców politycznych, o ile jeszcze nie wyginęli.

— Zapewne Niemcy posiadają zorganizowane stronnictwo socjal-demokratyczne, — powiadam, — ale od początku wojny stanęło ono na stanowisku nacjonalistów. Wątpię, czy można oczekiwać wiele od tej partji nawet w razie przewrotu.

— My też im nie ufamy. Komunizm nie wierzy socjalistom, bo oni zdradzają go zawsze z burżujami. Ale wśród żołnierzy i robociarzy mamy wyznawców.

Podczas bratania się w okopach wyrobiło się dużo dzielnych agitatorów. Niemcy nie wiedzą, gdzie ich obecnie schować: na froncie — niebezpiecznie, a w kraju — jeszcze gorzej.

— Zapewne osadzą ich w więzieniach i obozach, — mówię, patrząc na S., który zapala się coraz bardziej.

— Jest to możebne tylko do czasu! Im więcej przyjdzie do nas żołnierzy, tem więcej będzie komunistów, bo nasza nauka przemawia wprost do serca. Nikt rozsądny nie zdoła się jej oprzeć.

— A dla czego Niemcy w poselskowie moskiewskim są wyzywający i brutalni jeszcze bardziej, niż w Vaterlandzie? — pytam.

— To są elementy najgorsze... A jednak i oni się urabiają. Kto wie, czy powiodłoby się zabójstwo Mirbacha, gdyby..

Szymanowski urwał, spostrzegłszy się, że powiedział za dużo. Może zdradził tajemnicę urzędową. Nie pytam już więcej, choć chciałoby się poznać prawdę. Zaczynam z innej beczki.

— Jak dacie sobie panowie radę z popami? Wszak wywierają duży wpływ na klasy zachowawcze i lud?

— Pan sądzi, że pop wierzy w brednie, które głosi? Już seminarzysta wyrósł z wielu przesądów, a pop śpiewa jak mu każą, bo dlań wszystko — to zysk. Spotyka się i zagorzałych fanatyków. Obsadzi się ich w więzieniu, albo ześle. Ale ogół godzi się na nowe porządki. Zapędzimy ich do roboty.

Dotarliśmy do Wiaźmy. Idę po zakupy. Będzie dłuższy postój. Miasto zmieniło się w ciągu trzech lat nie do poznania. Sklepy, w których mięso, cukier, herbata leżały obok śledzi i beczek z naftą, są dziś zabite deskami. Może — ze względów sanitarnych? Nie, odpowiadają sklepy w śródmieściu, również po-

zamykane. Miasto wyludnione. Zdobywam z trudnością kawałek chleba i sera, nie wzbudzające wielkiego zaufania. Jednak trzeba czemś odpędzić głód.

W wagonie drzemią towarzysze podróży. Żona krząta się koło sporządzenia posiłku. A ja chodzę po dworcu, przyglądając się jego zniszczeniu. Szyby powybijane, gzymsy poobrywane, dach podziurawiony. Na liniach zapasowych stoi kilka połamanych wagonów. Lokomotyw nie widać. Szyny bocznicowe pokryte rdzą. A więc kolej przestała być środkiem komunikacji. Prawdopodobnie ludność wróciła do dawnych kibitek i tarantasów i to jej wystarcza. Kultura cofnęła się wbrew temu, co twierdzi p. S. Lecz oto skrzynka pocztowa. Przyglądam się jej. Orzeł dwugłowy zamazany, a na nim — gwiazda sowiecka. A możeby tak do kogo napisać? Obowiązkowo do p. Dybczyńskiego. I do kogo więcej? Do Bogdanowa! Trzeba pożegnać mego oprawcę. Siadam i piszę na karcie pocztowej: „Opuszczając Rosję, uważam za swój obowiązek złożyć panu ostatni raport: wyjeżdżam z mocnym postanowieniem nie powrócenia nigdy do miejsc mej kilkoletniej udręki. Pomimo wielokrotnych pańskich gróźb — żyję. Przebaczam panu wszystkie krzywdy, wyrządzone mi i tym, których miałem obowiązek bronić i otoczyć opieką. Rewolucja polityczna się z panem, zdarła z ciebie tak drogą twemu sercu podszewkę czerwoną i godność przewoschodicielstwa. Życzę panu, abyś się zdołał przystosować do nowego trybu. Będzie ci to zapewne trudniej, niż mnie do wojskowości carskiej. Ale że jesteś pojętny, może zostaniesz z czasem dostojnikiem bolszewickim...”

List podpisuję pełnym nazwiskiem. Dojdzie. Niech ten mój gnębiciel wie, że mogę mu darować krzywdy i pozostaję zawsze i wszędzie sobą.

Ruszamy w dalszą drogę. Zapada noc. Zbieramy się do snu. Bo i cóż lepszego można wymyślić

w drodze, obliczonej na kilkanaście dni wśród pustki i obojętnego środowiska? A przecież wojna nie dosięgła tych okolic. Wróg nie zdeptał ich i nie ogołocił. Kozak nie spalił i nie pognął ludności na wschód. Ta ziemia błogosławiona mówiła przez cztery lata wojny: nie boję się, Niemcy do nas nie dojdą. A pokazało się, że straszny jest nietylko obcy najezdca. Caratowi zdało się, że przeciw niemu wystarczy dyplomacja i liczna, karna, ciemna armja, zapatrzona w majestat tronu. A na wroga wewnętrznego miało się żandarmeria, policję, ochronę, popa, urzędnika, więzienie w każdym mieście i nieprzebyte przestrzenie tajgi Sybiru. Te wszystkie osłony wykazały swą kruchość. Zbrakło cara, tego symbolu władzy, i wszystko rozsypało się w gruzy. Życie wymaga czegoś więcej, niż symbolu. Podstawa władzy musi być bardziej stała. Nie wystarczy „idol” (bałwan) w górze i macki jego w dole. Czy bolszewicy zdołają stworzyć lepszą organizację?

Podstawą władzy cara była wiara w jego boskie posłannictwo. Krzewicielem tej zasady był pop i czynownik. Jednak zasada nastroczała wiele wątpliwości, bowiem od 200 lat żaden car nie umarł śmiercią naturalną, lecz zawsze naskutek zamachu. Ta boskość cara nie godziła się z jego znikomością. A dalej dowiadrywali się poddani, że można zdobyć dla siebie prawa, ograniczyć samowładztwo i samowolę i że się to osiąga na skutek rewolucji podobnie, jak w innych krajach. Wreszcie lud zdobywa przeświadczenie, że nie dość wymóc na carze ustępstwa: trzeba mieć przedstawicielstwo, zapewniające wykonywanie tych zobowiązań. W ten sposób podstawa władzy przekształca się stopniowo z mistycznego pewnika na realną umowę pomiędzy narodem a jego władcą.

Bolszewicy wyszli z innego założenia. Dla nich podstawą władzy jest wola ludu. Miało to wyraz w

zjazdach, które wybierały komisarzy, i w organizacji rad robotniczych i żołnierskich. Ta koncepcja przeobraziła poddanego na obywatela i podźwignęła go do roli czynnika miarodajnego. Nic więc dziwnego, że podstawa władzy zyskała odrazu na sile. Jednak spór pomiędzy odłamami myśli rewolucyjnej doprowadził do ugrupowań, z których każde chciało zagarnąć całą władzę dla siebie. Jak w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, powstały stronnictwa pod pozorem różnicy poglądów, a w rzeczywistości gwołi stworzenia własnego ośrodka władzy i wpływów. Więc walczyli między sobą maksymaliści, mieńszewicy, socjal-demokraci, anarchiści. Zwyciężyli bolszewicy. I podstawy władzy zmieniły się odrazu. Powróciło się do dawnej przemocy, opartej na orężu. Więc wprowadzono cały aparat fałszerstw, mających wskazać, że władza opiera się na woli ludu. Zaczęto tępić mieńszewików, najbliższych sprzymierzeńców, jako zdrajców i odszczepieńców, zaczęto organizować podstępny wyborczy, rozpędzać zjazdy, niezgodne z bolszewikami i t. p. W celu uspokojenia mas dało się im na żer klasy posiadające, pozwalając łupić je, rabować, wywłaszczać. I oto stało się widocznem, że ani wola ludu, ani wola nieba nie stanowią podstawy władzy, lecz... armja.

Razu jednego pytał żołnierz oficera:

— Wasze błogorodje, co to jest telegraf?

— Telegraf? A wiesz, co jest krowa?

— Wiem, wasze błogorodje. Krowa to jest..:

Krowa.

— Słusznie. I telegraf to jest... telegraf. Zrozumiałeś?

— Toczno tak wasze błogorodje.

W podobny sposób określa się dziś władzę: — władza to jest władza. A jeżeli nie jesteś, obywatelu w stanie zrozumieć tej definicji, to możesz ją pojąć

w sposób obrazowy na podstawie atrybutów władzy, która może cię pozbawić kartek żywnościowych, wyrzucić z mieszkania, zabrać twe ruchomości, zapasy, pieniądze, wysiedlić, osadzić w więzieniu, zesłać, rozstrzelać... Zrozumiałeś?

— Toczno tak, wasze wy... — urywa obywatel, przypomniawszy w tej chwili, że używanie wszelkich tytułów jest... przestępstwem. Więc poprawia się: toczno tak, towarzyszc komisar.

A ten go poucza dobrotliwie, jak mnie Bogdanow: — Odzwyczaj się, towarzyszc, od tych niewolniczych wyrażen caratu. Ludzie są sobie równi z urodzenia. Tylko za zasługi dla rewolucji nadaje niektórym rząd bolszewicki na wniosek delegatów robotniczych, włościańskich i żołnierskich stanowiska kierownicze. Zrozumiałeś?

Obywatel skrobie się na odchodnem w politycę, bo ani rusz wymiarkować, jakie to były zasługi. Jednak zapytany o znaczenie tego ruchu, zaprze się braku spostrzegawczości i zwali na... owady, które można zawsze znaleźć w ruskiem owłosieniu. Tak tedy prawda nie wypłynie na wierzch i obywatel stwierdzi, że sprytem, przebiegłością i kłamstwem jest, jak i dawniej, najłatwiej przeciskać się przez życie.

— Kim jest z zawodu p. Szymanowski?—pytam p. Kopytowską po jednej rozmowie politycznej.

— Maszynistą kolejowym. Z kraju wyjechał przed wojną. Wykształcenie ma elementarne.

— Rozumiem więc, że jest przekonany bolszewikiem. Katechizm bolszewików jest krótki, jasny, nie przeładowany balastem burżuazyjnej wiedzy. Wyjaśnia mi, że telegraf—to jest telegraf. Zrozumiał i... stupaj dalsze, jak mówił urzędnik dykcji oświecenia z Siedlec.

— Jestto człowiek oddany komunizmowi, choć przywiązany do Polski—zapewnia p. K.

— Zapął, oparty na wierze, a nie na wiedzy,

gaśnie, gdy oświetli go badanie i zastanowienie. W takim razie S. byłby zgubiony, bo bolszewicy patrzą podejrzliwie nawet na frasobliwe poskrobanie się w politykę—odpowiem.

— I ja nie rokuję mu dobrej przyszłości. Namawiamy go, by wrócił do kraju, ale on nic nie chce o tem słyszeć narazie.

— Szkoda go, — myślę składając się do snu.

Nad ranem zatrzymano, pociąg na jakiejś stacyi. Czerwonogwardziści otoczyli wagony, zapowiadając rewizję. Na pytanie, z czyjego rozkazu, legitymują się... karabinami. Pan S. zapewnia, że rewizja była zrobiona w Moskwie, że pociąg wysłano naskutek porozumienia dyplomatycznego, że jest pod jego opieką. To wszystko nie trafia czerwonogwardzistom do przekonania. Dopiero wiadomość, że pociąg jest uzbrojony, skłania rewidentów do odstąpienia. A więc tylko rzeczywista siła jest podstawą władzy. Wszelkie jej symbole w postaci gwiazd sowieckich, papierów, opatrzonych pieczęciami, są przeznaczone dla naiwnych. Wszak stwierdził to już Hus, powołując się na soborze na list żelazny cesarza Zygmunta. Zaprawdę więcej naiwnych zginęło od papierków, niż od broni palnej. Ilu to ich oddało naprzykład mąkę lub słoninę za bezwartościowe kierenki!

Z uczuciem ulgi wyruszamy w dalszą drogę. Czerwonogwardziści są niezadowoleni. Nic dziwnego: i pies kąsa swego pana, który, zbliża się do misy, postawionej mu przed chwilą. A tu jakiś podający się za komisarza, pozbawia krasnoarmiejców łupu, który się im słusznie należy. Gdyby tam jeszcze chodziło o swoich... Ale ci „bieżeńcy“. Kto się o nich upomni? Może ten biskup i książe z Warszawy, a może kajzer? To wyraźna zdrada. Ten kierownik pociągu polaczek... Wartoby poczęstować go kulką. Krzywdę wypadnie powetować przy następnym pociągu.

— Rabusie, bandyci, — mówi p. Szymanowski.

— Wszak krasnoarmiejcy, — wtrącam.

— Pan myśli, że wśród nich jest mało carskich żandarmów, policjantów, ochrony, czynowników?

— Więc bierze się do szeregów byle kogo bez sprawdzenia jego przeszłości? — Lecz w tej samej chwili pytam również siebie samego: — A małoż to szumowin było w Radzie W. P. i w komendanturze?

— Wszędzie jest ich bez liku; to jest stare pokolenie, przeznaczone na zagładę. Lecz przyjdą ludzie nowi...

— Skąd? Kraj jest wyludniony. Pijaństwo rozpusztą, choroby weneryczne niszczą rasę — wołam.

— Nasza szkoła wychowa porządnego obywatela. A z temi zbirami radzimy sobie poprostu: krasnoarmiejec składa uroczyste przyrzeczenie, że się będzie rządził przepisami. Jeżeli złamie przyrzeczenie — kula w łeb i basta.

— To carska przysięga różni się tem od uroczystego przyrzeczenia, że za złamanie tamtej można było być wydalonym ze służby, dostać się do więzienia, na Sybir, a za tę krótko węzłowato — kulka.

— Niema innego sposobu na wykorzenienie bezprawii, których odziedziczyliśmy po caracie ocean.

— Wszak bolszewizm zniósł karę śmierci, — mówię. — To było jego hasło.

— Pozostanie ono niezmiennie, ale dopiero po wprowadzeniu nowego życia, po stworzeniu nowych obywateli. Obecnie jest — niewykonalna.

— Czyż carat nie dowodził tego samego? Więził i zabijał swoich przeciwników, a rewolucja więzi i zabija swoich.

— Zapewne. Ale wszak nasze stanowisko jest słuszne?

— Każdemu, kto walczy, wydaje się, że ma słuszność, i że zapanuje raj, gdy powali wroga. Ale

jest to takie samo złudzenie, jak przy wchodzeniu na górę. Nad wzniesieniem, do którego dotarliśmy, zjawiają się nowe wyżyny, a do szczytu jest droga nie tylko mozolna, lecz nieraz zupełnie niedostępna. Czycha na niej śmierć i zagłada.

— Nie jest tak źle! — woła pan S. — Do szczytu dotrzemy. I wtedy w całym świecie zajaśnieje światło nowej prawdy.

— Czy zmieni się wówczas metoda walki, ustanną wojny, zabójstwa, przemoc, samowola, ciemność, samolubstwo?

— Niewątpliwie! Do tego właśnie dążymy.

— Daleka droga do tej ziemi obiecanej. Żydzi mieli błądzić na pustyni przez lat 40, zanim do tej ziemi dotarli, a ich wódz, Mojżesz, miał ją ujrzeć tylko z góry, ale do niej nie wszedł.

Pan Szymanowski wsparł głowę na ręce i zamyslił się głęboko.

Lokomotywa ciężko dyszy. Koła stukają głucho i przeciągle. Podróżni pogrążeni są w półśnie. Przed oknami przesuwają się pustkowia i dzikie pola...

Czy to tu ma się zrodzić ta wymarzona ziemia obiecana?!? Tu ma być to nowe Betleem ze stajenką, do której przyjdą królowie ze wschodu, by złożyć hołd? Stąd ma się rozejść po całej ziemi radośna nowina o równości wszystkich ludzi w życiu doczesnym i o przyrodzonym prawie ich do zadowolenia i szczęścia?

Wpatruję się w dal. Oko nie ma się na czym zatrzymać. Krzewy, krzaki, zarośla, wydma, bagniska mówią: „E nihilo — nihil“ (z niczego — nic). A może ta wielka myśl żąda oddalenia od zgiełku codzienności, aby mogła być poczęta?

III. Dalsza droga.

W naszym pociągu powstała rada delegatów wagonowych. Mamy więc organizację, która zbiera się parę razy dziennie na narady. Zostaję wybrany na delegata mojego wagonu. Pełnię więc podwójne obowiązki, zresztą niezbyt uciążliwe, ponieważ poza paru przypadkami zastosowania oleju rycynowego, zarzuconego przez lekarzy „postępowych“, jak twierdzi d-rowa Ł., nie było poważniejszych zapotrzebowań.

Przedmiot obrad jest różnorodny. Przedewszystkiem uchwalamy przepisy sanitarne. Zabramy, palenia tytoniu w wagonach, gotowania na maszynkach, picia wody surowej i jedzenia surowych pokarmów, nabywanych u przekupniów. Wielu wyborców sprzeciwia się tym uchwałom. Wytwarza się przykre położenie. Zaczynamy od przekładania, że dym tytoniu i maszynek szkodliwy jest zwłaszcza dla dzieci, że poważniejsza choroba którego z podróżnych może narazić wszystkich na kwarantannę. Niektórzy podróżni oświadczają wręcz, że to ich nic nie rozczuła i że się nie poddadzą uchwałom.

Brak nam egzekutywy, chyba zwrócić się do p. Szymanowskiego, aby skorzystał z przysługujących mu uprawnień. Poprzestajemy więc na przeniesieniu palaczy do oddzielnego wagonu i na stwierdzeniu, że wszędzie spotyka się ludzi nieuspolecznionych.

Wynik nikły. Wprawdzie zapowiada się pompatycznie, że te sprawy będą oświetlone po powrocie do kraju. Ale to działa, jak groźba sądu ostatecznego na komunistę. Może jest to dorobek z Rosji, gdzie poddany ustępował tylko wobec siły.

Redaktor Buchner proponuje wydanie zbiorowego pożegnalnego numeru „Muchy“. Udajemy się do

przedziału młodego lekarza bolszewickiego, który dyskretnie nie wtrąca się do naszych poczynań i poprzestaje na wydawaniu zapisywanych przezemnie lekarstw. W przedziale jest stół i krzesła. Możemy więc przystąpić do pracy. Redaktor składa parę rysunków, z których jeden przedstawia reemigranta, zajętego iskaniem bielizny sposobem paznogciowym. Ułożenie wiersza wspólnymi siłami idzie kulawo. Część „pisarzów“ wycofuje się z roboty. Nazajutrz zjawia się numer odręczny. Przechodzi kolejno przez wagony, budząc rozmaite uczucia. Ma on być ofiarowany na pamiątkę p. Szymanowskiemu.

Po czterech dniach dojeżdżamy do Smoleńska. Na Dnieprze niema statków ani tratw. Lazaret na górze Pokrowskiej zamknięty. Rudowłosa koleżka jest dziś zapewne komisarzem. Tam wznosi się cerkiew na pamiątkę świętowania niedzieli. Musi być dziś w specjalnem poszanowaniu, bo nigdzie nie widać pracy. A obronne mury miasta są dziś pewne, że Niemcy ulękli się ich potęgi, bo ich dotychczas nie widać. Nowy liść wawrzynu do zasług dziejowych tych murów.

— A jak tam z bolszewikami? — pytam je. — Niema już kapliczek w dawnych basztach; z ogołconych ścian sypie się gruz, strzelnice odrapane i zniszczone. Nic nie zapowiada, aby uszanowano waszą przeszłość. Traktują was, jak zwykle ogrodzenie, które wypadnie zwalić, aby nie hamowało rozbudowy miasta.

Dumne ze swej przeszłości oblicze murów milczy posępnie, jak ci z obywateli, których bolszewicy postawili „pod stienku”. Cóż mogą powiedzieć. Najwyżej: co za czasy?! Jednak trzeba się mieć na baczności. Byłby to wyraz kontrrewolucji, a szpiegów kręci się więcej, niż za czasów ochrony. Trzeba cze-

kać. Przeczeka się, jak wiele innych udreń. Ale zato przyjdzie i na was zemsta, rudowłosi komisarze!!

Z nad kopuł katedry wleciały stada wron i kawek. Istna chmura. Od trzech lat rozmnożyły się bardzo. Snać ucisk bolszewicki nie dosięga was. Czy zbyt wysoko? A może jesteście duchy pokrewne? Widziałem was we śnie przy wyjeździe z Moskwy. Zasłoniłyście słońce. Ale jeden strzał wystarczył, byście się rozpierzchły. Przyjdzie i na was czas...

Katedra zamknięta. Popów nie widać. Tablica marmurowa szczyi się wciąż zwycięstwem nad Polakami. A jak tam z czapką i sandałami Merkurego? Powinny mieć teraz olbrzymie zastosowanie, bo wielu obywateli cierpi na bóle głowy. A co porabia święty z głową ptaka? Może przywrócił swe dawne, piękne oblicze? Dziś uroda ma ogromne powodzenie.

Wspominam rozprawy z przed trzech lat ze świeżo nawróconym Eryksonem, nie odróżniającym orientalistyki od ornitologii. Stają mi przed oczami: Łoktiew, mający głos stanowczy we wszystkich sprawach lekarskich, naukowych, społecznych, politycznych i innych z tytułu stanowiska czasowego zastępcy p. o. lekarza głównego; młody profesor kliniczny Rachmanow, który był radcą stanu już w 35 roku życia, konsultantem, ktitorem, szczęśliwym mężem gracji o wyglądzie węgierki po pierwszym mrozie; dostojny Ławiagin, oczekujący na powrót na poczesne stanowisko w... policji; dobroduszny Franc kwadratowy, który dowiedział się już jako radca dworu, że „słuszajus” i „toczno tak” niezawsze pasuje do odpowiedzi dla „sijatelstwa”... Cała galerja zwierzchników i towarzyszków pracy staje mi przed oczami, gdy patrzę na tę wyniosłą katedrę i na te kawki i wrony, zadomowione na jej kopułach. Czyż nie zmienne są koleje losu? Któż mógł przypuszczać, aby przejście na prawosławie nie miało się stać początkiem wiel-

kiej kariery wojskowo-sanitarnej, aby wszelkie tytuły mogły być odrzucone, nawet policja przestała istnieć, aby... Ale to musi się zmienić! Kawki się rozmnożyły i zdolne są zaćmić słońce. Trzeba czekać cierpliwie! Przeczeka się, jak wiele innych udręk... Słusznie. I ja przeczekałem i wracam dziś do Ojczyzny, i Ojczyzna moja była cierpliwa przez 1 i pół wieku. Mury Smoleńska liczą blisko 400 lat i też nie tracą nadziei. Przeszły ciężkie koleje. Ich wieże obronne, niezbędne ongi na rubieżach Rzeczypospolitej, przeobraziły się na kapliczki, strzelnice zapadły się, bramy przekształciły się na składy i mieszkania. Ale z czasem może być znowu wszystko restytuowane, gdy Smoleńsk stanie się miastem pogranicznym... I wasze szlify generalskie, tytuły i stanowiska wróć, byle wrócił carat...

Ocknąłem się z rozmyślań. Smoleńsk na pograniczu Rosji!! A na zachód co będzie? Hinterland?? Nie! To niemożliwe! Będzie Polska! A carat, gdy powróci, będzie już kaleki. Odpadną mu Prywislanje, Litwa, Bałtyk, Finlandja, Polesie, Wołyń, może i Podole, Kaukaz, Syberja... Długo czekać będzie na nowego Iwana Kalitę, „zbieracza ziemi ruskiej”. Ale nie zalewajcie się łzami, ani nie wyrzekajcie, jak żebracy: ziemie rosyjskie pozostały nietknięte. Odpadły tylko ziemie obce, które chcieliście wcielić do swego imperjum, aby stworzyć olbrzyma — potwora. Ta idea, zrodzona w mózgach książąt moskiewskich, nie mogła się urzeczywistnić, bo władza była oparta na niewolnictwie. Patrzcie. Dziś jeszcze każdy z uciemnionych przez was narodów zachował swe odrębności rasowe, kulturalne, zwyczajowe, językowe.*) Nie zespoliły ich język państwowy i prawosławje, nie

*) Patrz. dr. W. Miklaszewski. Charakterystyka cielesna ludności naszych kresów wschodnich. 1921 r.

złamały ciężary, ucisk, prześladowanie, ani przywileje, nadawane możnym wśród uciemiężonych.

Przyglądam się katedrze i murom. Łudzicie się! Przegrałyście dużą stawkę. Już się nie odegracie. W granicach plemienia wielkoruskiego, na obszarach ks. Moskiewskiego, do Wołgi, może do Uralu, do Smoleńszczyzny, do Ukrainy, do ziem Tatarskich na północy będzie obszar waszego panowania. Odcięci od mórz, od ujścia wielkich rzek, będziecie musieli skupić całą energję nad pracą wewnętrzną, nad stworzeniem dzielnego obywatela, podźwignięciem go ze stanu dzikości do poziomu współczesnego. Skończyło się z waszemi wielkomocarstwowemi dążnościami. Carograd straci już w was niezrażających się odwiecznemi niepowodzeniami napastników. Armja nie będzie już najwyższem oparciem państwa, a urzędnik nie znajdzie już ujścia do ziem podbitych na stanowiska uprzywilejowane, lecz będzie musiał pracować dla własnej ojczyzny...

Nie marzcie więc panowie Bogdanowy, Zawadcy, Łoktiewy, Rachmanowy i tysiące innych o świetnej karierze, choćby bolszewizm upadł. Zapewne przypomnicie sobie o swej polskiej krwi generałowie Mrozowski, Januskiewicz, pułk. Szumskij a o swych niemieckich przodkach: Eryksoni, Müllerzy, Renenkampfi, Korfowie et tuti quanti. I dążyć będziecie do ziemi ojców. Ale ona nie powinna was przygarnać, jako tych, dla których zasadą było: „patria ubi bene”. Do nowego życia nie zdołacie się już nagiąć. Stare nawyki stwarzają szablonowych działaczy, niezdolnych przejąć się nowym duchem. Zasklepieńców w martwej formule caryzmu nie będzie potrzeba Polsce. Legły większe potęgi. Po Indiach pozostały tylko szczątki świątyń, wykutych w skale, po Egipcie — piranidy i swinsky, po Judei — klage-mauer i biblja, po wiecznem mieście — forum roma-

num, koloseum. Są rodzaje śmierci, po których nie-
ma zmartwychwstania: bo byłoby ono źródłem lęku
i zgrozy, straszakiem dla spokojnej ludności, która
woli zapomnieć o krzywdach i nieprawościach. I na
to nie poradzi już ani święty z ptasią głową, ani
czapka i sandały Markurego. Spójrzcie: całe ich sze-
regi z głowami orła, sępa, wołu, ze skrzydłami u tu-
łowia, z kopytami, z dziesiątkami rąk uzbrojonych
stoją dziś w muzeach. I nie zdołają przywrócić za-
marłego życia. Tylko badacz wskrzesza minione dzie-
je i rzeczy: na ołtarzu tego potwora składali kapłani
całopalenie, ofiarę krwawą ze zwierząt i pokonanych
wrogów, niewolników, myślicieli, reformatorów, od-
szczepieńców, działaczy, marzycieli o lepszym jutro.
Ale ludzkość wołała coraz stanowczej: dość krwi,
dość ofiar dla zmyślonego bóstwa! dość zbrodni,
krzywd, gwałtów, popełnianych w jego imieniu, dość
władzy, opartej na zastępstwie tego bóstwa przez
człowieka i na wyzysku ciemnego pracownika przez
chytrego próżniaka? Dość!!!

Słyszeliście te głosy? Widzieliście, jak upadały
twierdze władców, ich zamki i pałace, jak przekształ-
cano je na przytułki i ochrony dla ofiar ich przemo-
cy? Wiedźcie więc, że idą inne dni. W duszach tłu-
mów obudziło się poczucie Człowieczeństwa. Jest to
początek wyzwolenia się z pod władzy. Narazie wre
jeszcze „ludu gniew”. Ale niebawem przyjdzie okres
pracy twórczej, gdy nie będzie dziesięcin na ołtarze
potwornego bóstwa i pańszczyzny dla próżniaczych
władców. I wzniesie się jeden tylko ołtarz Ludzkości,
na którym każdy obywatel kraju złoży płody pracy
swojej, aby nie było już sierot bezdomnych, wdów
opuszczonych, inwalidów wojennych, obłąkańców, su-
chotników, pijaków, paralityków, wyuzdańców, wyko-
lejeńców, złodziei, zbrodniarzy, oszustów...

Wy, którzyście dziś sobie przypomnieli o swej

krwi polskiej, uciekacie z Rosji, bo ulękliście się łoskotu, z jakim walą się w ruiny podpory zgniętego tronu i budowle, wzniesione ku potędze caratu. Łoskot jest straszny. Boicie się, aby te zgliszcza was nie zasypały, nie stały się waszym grobem. Słusznie. Prowadzi was instykt walki życia o trwałość. Ale wiedźcie, że oprócz tego prawa przyrodzonego obowiązuje jeszcze inne. Podeptała je przemoc. Carat mu zaprzeczył istnienia i walczył z niem do ostakta, wsparty na popie, czynowniku, orężu.

Czy wy, którzyś nie byli również oporą tego ustroju, uderzycie się dziś w piersi, mówiąc: błędziliśmy, teraz otwarły się źrenice nasze ku widzeniu, a mózg nasz — ku rozumieniu. Jeśli niezdatni jesteście do tej ekspiacji, pozostawcie tam, gdzie upłynęło wam życie. Nie przenoście do Polski nawyknień i metod dziki j przemocy. Niech wam nie dodają odwagi te kruki i kawki, które obsiadły kapułę katedry. Ona się długo nie ostoi. Runie. Będą one musiały przenieść się ze szczytów niebosiężnych na drzewa przydrożne. Tam wytepią je wrogowie dzikości i krakania...

Wracam wzruszony z przechadzki po Smoleńsku. Znać na nim rządy bolszewickie. Znikły sklepy, jadłodajnie, pomniki, cerkwie są puste, po ulicach w ogrodach snują się towarzysze, żołnierze i niscy bruneci oraz ryzi. Nigdzie popa, oficera, kupca. Mijam ławeczkę, przy której pouczał mnie w ciemności wieczornej komendant miasta, że jestem obowiązany rozpoznać po ciemku jego szlify generalskie i złożyć mu należną cześć. Co porabiasz obecnie, generale? Może spoglądasz z za kraty na kruki na kopułach cerkwi i zazdrościsz im swobody, której nie zdołali pozbawić ich bolszewicy? Nie żyw tak niskiego uczucia do dusz siostrzanych, których nie dosięgnął jeszcze nowy porządek. Musiał uporać się naprzód z podwalinami. A tyś był jedną z nich. Na kawki przyjdzie kolej później...

Odwiedzam p. Śliziewiczów. I lietską podawne-
mu przy kolei. Witają mnie z rad ścią. Uważają się
wciąż jeszcze za mych dłużników, zem postąpił po
ludzku przed czterema laty z ich synem.

— Uratował pan chłopca! — Po kontuzji i cięż-
kiej chorobie byłby zginął w okopach. Dziś pracuje
samodzielnie.

— A co porabia siostra pani?

— Nie zdążyła wyjechać z Mińska. Podobno
jest jej jeszcze ciężiej, niż nam.

— Czy wybieracie się państwo do kraju?

— Radzi byśmy jednej chwili, ale bolszewicy
nie wybuszczają, bo pochodzimy z Mińszczyzny. Mąż
potrzebny jest im na kolei, gdzie pracuje za trzech.
Dzieci również w zajęciu. Jednak przy pierwszej spo-
sobności rzucimy wszystko, byle dostać się do swych.

— Ludzie pracy i dobrzy Polacy znajdą niewąt-
pliwie oparcie w Polsce, choć podobno pod ukupacją
niemiecką jest bardzo ciężko.

— Zawsze ze swoimi łatwiej. Pochodzimy
z Mińszczyzny. Tam nas nie zruszczono. Przenieśli
męża tutaj, więc stworzyliśmy kolonję polską, która
uchowała się również od wpływów moskiewskich. Mąż
gotów zostać w Polsce maszynistą, choć tu jest dy-
rektorem depot.

Żegnam p. S. i życzę im szczęśliwego powrotu.
Po godzinie odwiedzają nas w wagonie. Znów dożo
serdeczności i szereg wskazówek, jak sobie radzić na
granicy oraz niekłamana radość, że kończy się nasza
długa tułaczka. Na odchodnem wręczają nam paczkę.

— A to co? — pytam zaskoczony.

— Drobnostka kawałek chleba. W drodze przy-
da się. Przepraszam za tak skromny gościniec, ale
właśnie piekłam.. I w domu i w mieście niemożna
nic dostać.

Wzdragam się. Nie chcę przyjąć. S, są dotknię-

ci. Tłomaczą, że naprawdę nie posiadają nic więcej. Wytwarza się przykre położenie. Tłomaczę że już niezadługo będę miał chleba poddostatkim, że niemam sumienia pozbawiać ich może jedyne go posiłku. Nic nie pomaga. Muszę przyjąć dar. Pociąg rusza. P. Ślizniewicz powiewają chustkami. Jeszcze jeden rzut oka na mury i katedrę, na koszary narwskie, kominy dwu nieczynnych cegielni, wielkie przestrzenie, porośnięte krzakami i krzewami, gdzie nie pasą się już dziś stada krów i koni. A dalej,.. już tylko pustkowia, porośnięte dzikimi ostem, perzem, zaroślami.

Dzieci odwijają paczkę. Wielka radość: Chleb! Nie mieliśmy go w ustach dawno. Pół bochenka prawdziwego razowca. Dotykam go. Czerstwy. Pani S. skłamała: chleb pieczony nie „właśnie“, lecz conajmniej przed tygodniem. A więc ci ludzie oddali nam może ostatni swój posiłek! Łzy cisną się do oczu. Gardziel zaciska się kurczowo. Więc to dar z pod serca, ofiara wprawdzie bez krwawa, lecz z narażeniem zdrowia i życia własnej rodziny! To jest wyraz uznania, że się było kiedyś ludzkim... Ludzkość? Wielkie słowo. Czyż jesteś taką rzadkością? Czy ci rodacy na obczyźnie nie spotykali Cię nigdy? Czy też dusza polska uważa się za wieczną dłużniczkę, jeśli kiedykolwiek coś dobrego doznała?

Dzieci zjadają chleb łakomie i zapraszają mnie również na tę ucztę. Nie zdołałbym przełknąć. Łzy cisną się do oczu. Wstaję. Przechadzam się po wagonie. Rozglądam się po pustkowiu, na którym niema nietylko już Ludzkości, ale nawet życia. Gdzie tu szukać uczuć podniosłych, kultury, postępu? Może istotnie p. S. ich nie spotykali. Wracam. Siadam na swym miejscu. Dzieci ponawiają zaproszenie na chleb, który smakuje, niczem piernik.

— A wiecie, moi drodzy, co ten chleb oznacza?

— Chleb, jak chleb, tylko że po kałabaszkach

wygląda, jak miękkie łóżko po twardej desce. Ale czy pp. S. nie zrobili sobie zbyt wielkiego uszczerbku? O chleb tak trudno.

— Ten półbochenek, dzieci moje, to największa nagroda, jaką w życiu dostałem. Otrzymywałem pochwały, pochlebne krytyki, upominki od zwierzchników, od pacjentów, czytelników, przyjaciół. Ale poraz pierwszy oddał mi głodny swój chleb. Ta ofiara znaczy w jego rozumieniu: powszednie może zginąć, bo jest pospolite, ale rzecz niezwykłą trzeba ratować od zagłady, bo bez niej świat zginie. Jest to naiwne, lecz szczerze i serdeczne. Tę ofiarę złożył człowiek prawy na oltarzu bóstwa, które ma z czasem stworzyć lepsze życie. Temu bóstwu na imię: Ludzkość. Mnie uważają ci ludzie w swej prostocie za kapłana tego bóstwa. O jak mi do tego daleko! Jednak jak mnie cieszy, że są ludzie, w których ta Ludzkość już dziś żyje, zanim zrodziła się ku radości świata!

Jedziemy. Zbliża się wieczór. Zbieramy się na zwykłą naradę delegatów. Jest dużo spraw do omówienia. Jutro będziemy w Orszy, na pograniczu ziem okupowanych. Rozstaniemy się z p. Szymanowskim. Trzeba obmyśleć sposób wyrażenia mu uznania za prawdziwie polską dbałość o nasze potrzeby i zabezpieczenie od rewizji, napadów, szykan, wyzysku. Panna Kopytowska jest przekonana, że S. nie przyjmie żadnego upominku. Uchwalamy więc wystosować doń podziękowanie na piśmie z podpisami wszystkich uczestników i złożyć mu sumę, uzyskaną w drodze składek na cel, jaki uzna on za właściwy w związku z powrotem do kraju tułaczów. Jednocześnie postanawiamy uczcić i p. Kopytowską za pracę i zabiegi przy uzyskaniu prawa powrotu grupy nauczycieli.

Delegaci mają zebrać składkę na te dwa cele. Znowu zjawiają się sprzeciwy. — Jaki? pyta jeden prawowity patryjota. — Temu bolszewikowi?!

— Co za zasługi pożyła, ta socjalistki? — woła stara panna, wysłużona w zakładzie rusyfikatorskim i zamierzająca powrócić do Moskwy po odwiezieniu rodziców.

— Dziwię się że zechcieliście państwo skorzystać z ich pomocy. Wszak ani jedno, ani drugie nie udawali, że należą do obozu ks. Lutosławskiego. Przyjmuje się grzeczności, pomoc, upominki tylko od ludzi, którym jest się gotowym odwzajemnić.

— Bierze się, co komu potrzeba, nie oglądając się, skąd pochodzi, — twierdzi stara panna.

— Tak dowodzi Łamanosow, piewca wdzięków Katarzyny, — wtrącam: „Bieri, bieri, bolszoi w tom niet nauki, bieri wsie, czto tolko możesz wziat, k czemu przywieszony nam ruki, kak nie ktomu, czto brat!!” (Bierz. Niema tu nic mądrego, bierz wszystko, cokolwiek można wziąć. Na cóż przywieszono nam ręce, jak nie poto by brać.

Stara panna jest rozgoryczona i rozdrażniona. Czyżby tem, że musi wysupłać parę rubli? A może tem, że wypadnie wrócić do Rosji, bo w Polsce dzieci nie będą się napewno uczyły... Łamanosowa.

Ostatecznie zbieramy w całym pociągu około 1,500 rb. Będzie więc zasiłek dla kilku sierot i inwalidów na powrót. Mam pewność, że te pieniądze zostaną użyte na ten cel. A przytej sposobności pytam, co się stało z funduszem powrotu do kraju, który zbierali nie bolszewicy i nie socjaliści, lecz podający się za jedynie prawowitych Polaków? Czyżby ofiara, gromadzona na ołtarz Ludzkości, miała być użyta dla dawnego bóstwa, opatrzzonego w dziesiątki rąk oraz „księżę oczy, popie gardło“?

Lecz oto spotykamy pierwszy pociąg. Wiezie jeńców rosyjskich z Niemiec. Są zbiedzeni, wychudli, obdarci. Wielu z nich wygląda na gruźlików. Dziwią się naszej odwadze, że jedziemy dobrowolnie pod Niemca.

— Obedrą was z ostatniej koszuli, zabiorą wszel-

kie wyroby z metali, pieniądze, zapasy, zapędzą do kopalń fabryk, folwarków, gdzie będziecie musieli pracować o zupie z brukwi. Masa ludu wyginęła u nich w obozach więzieniach, podziemiach. A my czy podobni do siebie?

Jeńcy są ożywieni najlepszą nadzieją, że dostaną się do raju. O jak szybko pryśnie to złudzenie! Zresztą kto wie? Może odżyją na łonie rodziny. Może zachowano dla nich w zakamarkach trochę maki, kaszy, słoniny. Sam widok własnej rodziny działa krzepiąco. Z wruszeniem niejeden powie. „Otoż mój dom ubogi, też lepione ściany, też okna różnoszybne, piec niemalowany i niska strzecha moja. Wszystko tak jak było, jeno się ku starości nieco pochyliło“... Bo nie masz środowiska po nad to, gdzie się człowiek urodził i wychował. Najpiękniej świeci tam słońce i gwiazdy, najzieleniej mają się łąki i pola, najśodsze są owoce i jagody, najkraśniejsze dziewoje. „Extra Hungariam non est vita. Si est vita, non est ita“, — mówi przedstawiciel nie tylko każdego narodu, lecz każdego miasta, osady, wsi. A jednak jestem pewien, że nie jeden jeńiec będzie żałował powrotu.

— Nie zastaniecie już dawnych porządków, — zagaduję siedzącego na podłodze tieptuszki jeńca.

— Sława Bogu! Cara djabli wzięli, będzie łatwiej!

— Nie lubiliście go? Gnębił, wyzyskiwał...

— Towaryszcz nie był pod jego rządami? Pop zadarm, czynownik — cała władza. A ty, bracie, płac jednemu, płac drugiemu, a jak nie dogodzisz — w tiurmu. Pognali jak bydło na wojnę. Po czorta! Ggyby przynajmniej uzbroili i dali jeść. Ale armaty inne pociski inne, prowianty i tabory nigdy nie przyszły na czas. Wzięli nas w Prusach do niewoli i pracowaliśmy na Niemca 4 lata.

— A kiedy dowiedzieliście się o przewrocie?

— Zaraz w marcu. Niemcy sami donieśli nam:—

waszego cara już niema. Rewolucja. Starajcie się dobrze, to zagarniemy całą Rosję i będziecie mogli wrócić... Czort pobieri cara i Rosję ale Kostromę chce się zobaczyć.

— A co zamierzacie robić po powrocie?

— Jakto co? towarzyszc. Naprzód wypocząć i odkarmić się, a potem... do armji.

— W Rosji głód.

— Dla obszarników, burżujów, popów. Ale rewolucjonista napewno z głodu nie zginie. Już o to dbają rady żołnierskie, włościańskie i robotnicze. Jedzie nas 600 i wszyscy do armji czerwonej.

— Wszak umowa z Niemcami zabrania jeńcom...

— Umowa? To bumażka (świstek). A robi się, jak trzeba. A jak Niemiec się wtrąci, to będzie mu, jak Mirbachowi!

Nie tracił czasu w niewoli, myślę, życząc towarzyszowi szczęśliwej drogi. Wykształcił się w Niemczech na porządnego bolszewika i zapoznał się z metodami dyplomacji niemieckiej. Kto byli jego oświeciciele? Wszak to nie mogło dokonać się podczas kilkogodzinnego przejazdu od Orszy. Widocznie w Niemczech istnieją placówki komunistyczne. Przezornie. Po co sprowadzać elementy, nadając się „pod stienku“, lub na gałęź? To wydatek bezcelowy... O jak inaczej rozumowali organizatorzy naszego powrotu! Naprzód sieroty, inwalidzi chorzy, na końcu powrócą zdrowi i silni. Wyraźnie nie posiadamy uzdolnień do rządów silnej ręki, bez których każda władza jest krucha.

Jeńcy proponują wymianę pieniędzy na polskie i niemieckie. Poraz pierwszy mam w ręku papierki, drukowane po polsku, opatrzone w orła białego i zobowiązanie rządu niemieckiego. Jeńcy drożą się, jak przekupnie. P. Szymanowski ostrzega, że Niemcy uważają posiadaczy polskich pieniędzy za szpiegów. Mają ku temu dużo podstaw. Niedawno przyłapano

osobnika, który miał napisaną całą korespondencję na głowie. Ostrzyżono go i ptaszka—za kratkę, niech śpiewa. A pod podszewkami, w krawatach, nawet w obcasach nałapano masę dokumentów.

— Niedawno zdarzyło się, — opowiada jeden z podróżnych, — zatrzymanie na granicy delikatnej hrabiny T. Znalaziono u niej dużo kosztowności i pieniędzy, a przy rewizji osobistej — na pośladkach jakieś niewyraźne napisy. Sforografowano hrabinę en face od „średniego dzwona“.

— Hrabinom przytrafiają się pełniejsze zdjęcia podczas pokoju, — śmieje się jeden ze słuchaczy.

— Klisze rzucono na ekran i okazało się, że jest to odbitka ze starej... gazety. Wyjaśniło się, że hrabina ma zwyczaj podkładać przy pewnych czynnościach gazety w miejscu użyteczności publicznej.

Zebrani buchnęli śmiechem. A p. Szymanowski prawil: — Hrabina i szpiegostwo? Oni załatwiają te sprawy inaczej: „Armaty pod Stoczkim zdobywała wiara rękami czarnemi od pługa. Panowie w stolicy palili cygara, gwarząc o braciach z za Buga“... Swoją drogą hrabina została słusznie poniżona za staranne oddzielanie się od ogółu obywateli: do pałacu—wstęp za biletami, w kościele — oddzielna ławka, własny powóz, własna łoża w teatrze, własny przedział w wagonie, grób w podziemiach kościoła więc własny, sedes. Ogółem pogardza się, od niego stroni. O cześć wam panowie magnaci..

Paru podróżnych ciągnie: „za naszą niewolę kajdany. O cześć wam książęta biskupi, prałaci za kraj nasz krwią bratnią zbryzgany!“

— Śpiewajcie panowie tę pieśń wszędzie w kraju. Niech to będzie hymn narodowy, zwiastujący zbliżenie się chwili, kiedy naród odtrąci swych ciemniców, aby uzyskać wolność, —kończy p. S., utkwivszy błyszczące oczy wdal..

IV. Orsza.

Zliża się chwila przełomowa. Niebawem dotrzemy do stacji granicznej. Oczekują nas dwie rewizje pożegnalna i powitalna. Podróżni robią raz jeszcze rachunek sumienia rzeczy zakazanych, akt żalu, że ograniczenie są barbarzyńskie i mocne postanowienie nie oddawanie niczego. Jednak w miarę zbliżania się do Orszy zaczyna górować strach. Jego oczy stają się co raz większe i bardziej ruchliwe.

— Gdzie bezpieczniej: przy sobie czy w walizie, na wierzchu, czy pod spodem? Pokazywać samemu czy pozwolić przeszukiwać? A może dać w łapę?

Takie i podobne zagadnienia niepokoją towarzyszków podróży. Ale o odpowiedzi trudno. Poza ogólnymi wskazówkami każdy rewident posiada jeszcze własne metody działania, własny spryt i węch. W dodatku niejeden podróżny jest na liście osób podejrzanych, więc nawet nie wie, kiedy, skąd i jakie mogą się posypać nań gromy,

Cóż począć? Święty grzeszy 77 razy na godzinę. Ileż win musi dźwigać na sobie zwykły tułacz?! Pamiętam, jak cenzor kreślił mi we „Wrażeniach z podróży po Afryce” rozmaite ustępy, w których nie było nic podejrzanego, np. z wiersza, naśladującego plusk podziemnej rzeki Rumla pozostała tylko pierwsza strofa: „Z dalekich gór i dzikich skał pędzi nas szwał hen w morza dół”. A inne, jako to: „Potężny wał powstrzymał nas na wieczny czas daremnie chciał. Choć rozbił w pył szlak naszych fal, nam płynąć w dal nie zabraknie sił...” — zostały uznane za przenośnię do stosunków do Polski i... skreślone.

Ale za to cenzor nie spostrzegł, że w całej książce, gdy mówi się o Francuzach, uciskających obcoplemieńców, myśli się o moskalach, że w każdym momencie, dotyczącym zaborczej polityki i kultury europejskiej po tamtej stronie Morza Śródziemnego, pyta się: a jak tam jest w Polsce? W walce z cenzorami nauczyłem się partyzantki. Gdyby nie szpiegostwo rodzimej reakcji, tych panów, którzy „w stolicy palili cygara”, nie byłbym na pewno zmuszony bronić mych książek przed sądem. Ale też nie starano się sfotografować duszy mojej, w której znalazłoby się niezawodnie dużo więcej podejrzanego dla rządów przemocy i stęchlizny średniowiecznej, niż na... pośledniej części ciała męczennicy-hrabiny.

W moich węzełkach tułacza są tu te zdjęcia mej duszy, jej przeżyć i pragnień. Możecie zabrać mi te przezrocza. Ale czyż przez to zaginie ich wspomnienie? Wprawdzie na Forum Romanum opadają z pozostałych kolumn kamienie, jednak z tych gruzów i rumowisk odtwarza badacz obraz minionej potęgi. Krzewiciele nowej wiary i twórcy nowej władzy spalili biblioteki, dzieła sztuki, pomniki. Jednak uczeni zobrazowali te zabytki przynajmniej częściowo i wytknęli drogę, po której kroczyła myśl od wieków, nie zrażając się przeszkodami, stawianymi zawsze i wszędzie przez zacofanie, przywdziewające maskę obrońcy niewzruszonych, wiekuistych podstaw przed uroszczeniami myśli, uczucia i dążności do czegoś wyższego poza własną potęgą.

Czy rozgrzebiecie rumowiska Kapitolu, którego wieczność, niezniszczalność opiewał poeta słowy: „dum Capitolium scandet cum tacida virgine pontifex”, (póki na Kapitol będzie kroczył kapłan z wesalką), czy obejrzycie w Syrakuzach „ucho Dyonisjusza”, (pieczara, w której tyran dręczył jeńców), czy na Capri — skałę Tyberjusza (skąd strącał wrogów do

morza), czy poszperacie w dokumentach papieżstwa od jego początków aż do reformacji i upadku świeckiej władzy, czy zajrzycie do aktów św. inkwizycji, która spaliła 32.000 uczonych i nowatorów i ukarała w ciągu 327 lat 340.000 rzekomych przestępców, wszędzie stwierdzicie obawę chwilowych władców przed „nowinkami” i stałe zwycięstwo myśli i uczucia poddanych. Rewolucja to nie romans miłosny, ani bohater-ska epopea, lecz to jest wyrwa, którą uczyniły w tamie wody wezbrane, dążąc do pokrycia całej okolicy równą głądzią. Jeżeli chcecie ustrzec się powodzi, stwórzcie nie potężną tamę, lecz układ kanałów, jakie zbudował już starożytny Egipt, zamieniając zagładę na źródło życia i pomyślności.

Dzieło myśli i uczucia można zniszczyć, jak każdy twór materialny. Lecz raz powołane do życia, odrodzą się z popiołów. Wszak pierwsze odpisy ewangelji pochodzą dopiero z IV wieku; przez trzy wieki żyły one, jak pieśń, przekazywana w szeregu pokoleń. Jednak nie zginęły, bo były rozumem i pięknem. Zaginie tylko brzydota i bezmyślność, przemoc i samolubstwo. Ludzkość wyrasta z nich, dążąc do wyższych celów. I tylko żądne władzy wstecznictwo dowodzi, że poza słupami Herkulesa jest pustka, że ziemia jest płaska, jej cele są poziome, a słońce, księżyc i gwiazdy zostały dla niej stworzone.

Wstecznictwo musi ustąpić. Już Horacy pouczał:

„Nil mortalibus arduum est.
Coelum ipsum petimus stultitia, neque
cavimur per vetitum nefas
iracunda Jovem rumpere fulmina”.

(Niema nic trudnego dla śmiertelnych. Porywamy się zapamiętale nawet na niebo, nie bojąc się, aby Jowisz poraził nas piorunami za przekroczenie rzeczy zabronionych).

Spoglądam na walizkę, w której spoczywają mo-

je rękopisy. Rewidenci mogą je zabrać. Wtedy skazane są one na zagładę. Ale wy, dzieci moje, znacie je i powtórzycie następcom. Nic więc nie mam do ukrycia...

Przeciągly świst lokomotywy. Kilka urywanych wydechów kotła. Chrapliwy okrzyk konduktora: Orszaaaa... Głośny rozkaz: — Nie wysiadać!

Pozamykano drzwi wagonów. Po dworcu snują się czerwonogwardziści i niscy bruneci z orlemi nosami. Jeden z nich podchodzi do p. Szymanowskiego, wypuszcza go na dworzec i odbywa z nim dłuższą naradę, połączoną z żywą gestykulacją. Po jakimś czasie zostaje wezwana p. Kopytowska z listą podróży.

Czekamy. Wspominam czasy carskie, gdy na granicy żandarmi rewidowali paszporty. Na widok tych „fijołków”, pobrzękujących ostrogami, drętwiały łydki najspokojniejszemu podróżnemu. Nuż jaka niedokładność w paszporcie, jakie podobieństwo do poszukiwanego „przestępcy politycznego“, jaki kufer podejrzany... I poczekasz, pasażerze, do czasu wyjaśnienia sprawy... — Ile? — Ile będzie potrzeba: kilkadziesiąt godzin, parę dni, tygodni. Potem mogą ci powiedzieć, że przeszkód niema. Ale zjazd, na który jechałeś, już się odbył, albo czas na wypoczynek już upłynął. Gdy zaś zgłosisz pretensje, odpowiedzą ci tajemniczo: ciesz się, że się tak tylko skończyło.

Zaprawdę, piękne to były czasy! Ale i to, co się teraz dzieje, jest nie gorsze. Cała różnica, że na granicy są towarzyszczy w czerwonych rubachach, a nie eleganci we fioletach. W widmie słonecznym są to barwy skrajnie przeciwstawne. W życiu zlewają się w szarzyznę. Na szyi żandarma wisiał srebrny medal z podobizną cara, a na piersi czerwonego widnieje tylko gwiazda. Ale fizjognomje pozostały te same: gęby szerokie, nosy zadarte, czerwone, nieraz pła-

skie, oczy ruchliwe, świdrujące, przenikliwe, wyzywające. Niech wróci tylko dawny porządek, obejdzie się bez zmian nadzwyczajnych: przebierze się tychsamych ludzi w inną odzież, zawiesi się nowe oznaki i basta! To jak w teatrzyku, gdzie aktor gra dziś Karola Mora, jutro Geldhaba, potem Papkina, Hamleta, kupca weneckiego... Człowiek to ruchome wieszadło, na którym zawiesza się szaty i oznaki, wskazujące stanowisko, na którym stoi. Całe życie państwowo-społeczne to jeden wielki teatr, gdzie improwizuje się nadzwyczajne widowiska. Na miejsce Polaka, wysłanego do Rosji, przysyłało się prawosławnego z przygotowaniem kancelisty, wywieszało się w urzędach ogłoszenia, zabraniające mówić po polsku, ubierało się uczniów, studentów, nauczycieli, urzędników w mundury, zapisywało się unitów i potomków małżeństw mieszanych jako prawosławnych, na miejsce wież kościelnych stawiało się kopuły cebulaste o barwach jaskrawych, przemaalowano pałac Staszica tak, że warszawiacy mówili: „Kopernik ma z tyłu piernik”, ufundowano z przymusowych składek z całego zaboru cerkiew na Placu Saskim i t. d. i t. d...

Kto mógłby po tych przeobrażeniach wątpić, że Prywislanje, Litwa, Kraj Zachodni nie są rdzennie rosyjskie? Na wszelki wypadek stawia się na stacji Granica kapliczkę prawosławną ze składek, wymuszonych od urzędników. Niech przyjezdny z zachodu nie ma wątpliwości, że Ciechocinek leży w Rosji.

Tak cechuje się swe posiadłości.

Czyż jednak i my nie posługujemy się podobnymi metodami? Małoż to „przemaalowanych” osobników snuło się u nas w Związku i Komendanturze, w komisariacie do spraw polskich? Napewno spotkamy dziś masą gorliwych patryjotów, którzy opowiadają o swej nostalgji do Polski, dorobiwszy się majątków w Rosji, na Syberji, w Austrii. Prusach, na drugiej

półkuli, i zapomnieli... języka ojczystego. To są kandydaci do przemalowania na barwy narodowe, które będą niezawodnie bardziej jaskrawe, niż amarant...

Siedzimy parę godzin. Pan S. prowadzi rozmowy z komisarzami. Jaki będzie wynik? Raptem wagony zostają otwarte. Wkraczają czerwonogwardziści... Chwila napięcia. Wszystkie oczy są skierowane na rewidentów. Oni kroczą majestatycznie, powoli. Są już na stopniach, w korytarzu, w przedziale...

— Osmotr bagaża, gospoda!

Podróżni szykują się do otwierania kufrów i waliz... Klucze dzwięczą, zamki brzęczą, panie jęczą...

— Czy nie wieciece wyrobów włókienniczych, herbaty, mydła, tytoniu?

— Nie! — odpowiadają chóralnie podróżni.

I oto rewidenci są już w następnym przedziale, gdzie powtarza się ta sama scena. Po pół godzinie rewizja jest skończona. Nie znaleziono nic zabronionego. Podróżni otrzymują dobry stopień ze... sprawowania.

— A nie mówiłam, że djabeł nie taki straszny, — woła stara panna, która piorunowała na socjałów.

— Tego nie słyszałem. Natomiast było pomawianie p. Kopytowskiej o działalność wywrotową. A dlaczego to rewizja odbyła się, jak w Szwecji?

— Osłania nas Rada Reg. — zapewnia stara panna.

— Złupili nas w Moskwie, — mówi właściciel kufrów i walizek nowożytnych.

— Boją się pod boki Niemców, — twierdzą inni.

— A ja sądzę, że jest to skutek bezpośrednich starań p. Szymanowskiego. On nas znowu obronił od legalnego napadu.

— Nie mam zaufania do bolszewików, — ciągnie stara panna. — Gdyby tylko mogli, napewnoby ograbili, a że nie ograbili, to dowód, że nie mogli.

— Zupełnie zgodnie z zasadami Łamanosowa! Przypomina mi to dowcip Kostrzewskiego: pan, godząc lokaja, pyta—czemu masz twarz spuchniętą? — A bo mój pan chciał mi dać trzy razy po gębie. — Skąd wiesz, że trzy razy? — A bo dał. — Więc czemu mówisz, że chciał? — Bo gdyby nie chciał, to by nie dał. — Różnica zachodzi tu tylko co do czasownika: módz i chcieć.

Jeżeli wyjechaliśmy z Moskwy i dotarli tak pomyslnie do Orszy, zawdzięczamy to wyłącznie p. Szymanowskiemu i p. Kopytowskiej. Są ludzie, którzy pozostają Polakami niezależnie od przynależności stronnicy i wyznaniowej. Jednak mamy niestety przewagę takich, dla których wyznanie lub partja stoją ponad narodowością i poczuciem obowiązku względem Ojczyzny i rodaków.

Spór o zasady, przynależność wyznaniową, narodowościową, partyjną — wre. Drżący przed chwilą na widok rewidentów są teraz pewni siebie, nieustraszeni rycerze. Usuwam się od nich z politowaniem w kąt wagonu i przyglądam się ich deklamacji aktorskiej. O tak. Cały świat jest olbrzymią sceną, na której rozgrywa się nieustanna akcja. Role nie są wyuczone, narzucone, jednak aktorzy recytują je, powtarzając dokoła tesame frazesy w mniemanie, że są to ich własne myśli i poglądy. Bo i gdzież w potoku wpływów, działających na obywatela od dzieciństwa, zdoła się on połapać, który z nich nadał mu kierunek. Wzór wychowawczy to szablon, wdrażany w bierne umysły gwoili podciągnięcia ich do wspólnego poziomu. Tylko nieugięta osobowość wyrывa się z tych więzów. Jednak zwykle doznaje zawodu i rozczarowania.

Lokomotywa gwizdże. Łoskot zamykanych wagonów... Ruszamy.

Godzino 5-a minuto 20-a d. 16 Lipca 1918 r.,

bądź nam błogosławiona! Jesteś erą naszej tułaczki,
początkiem nowego życia na własnej ziemi, dla niej
i dla rodaków, przerwaniem udręki, zatruwającej dziś
i zohydzającej jutro... Rosjo, z którą zespoliło się
życie sześciu naszych pokoleń, Rosjo, z którą nic nas
nie łączyło prócz przymusu i przemocy, Rosjo, któraś
nie miała dla nas litości, współczucia, sprawiedliwo-
ści, — niech Los będzie dla ciebie łaskawy!

Za zaborczość twoich carów.

za knowania przeciw Rzeczypospolitej Polskiej,
za Targowicę, przedawczyków i zdrajców,
za Repninów, Igelstromów, Paskiewiczów,
za sejm Grodzieński, za rzeź Pragi,
za męczenników powstań polskich,
za naszych zesłańców na Sybir,
za popieranie wśród nas ciemnoty i wstecznictwa,
za upodlanie mas i sprzyjanie ugodowcom,
za Murawjowów, Nowosilcowów, Bergów, Hurków, Skallonów,
za Apuchtinów, Własowskich, Klajgelsów, Uthoftów,
za wszystkich przedajnych rusyfikatorów,
za oprawców gnębieli i wyzyskiwaczy,
którzy mieli zgładzić polskość z oblicza ziemi, —
nie żądamy pomsty. Niech Los będzie dla ciebie, Rosjo,
łaskawszy...

Runęła ostoja przemocy, która gnębiła nas i ciebie.

Poniżeni zostali rzecznicy bezprawia,
wytracenikaci i czarnosecińcy...

A jednak napróżno. Rosjo, łakniesz spokoju i ciszy!
Opanowali cie przybysze, których nic nie łączy z twą prze-
szłością.

Niszczą podstawy caratu, a orężem ich jest tasama
przemoc...

O nowych ludzi błagamy cię, Losie!

O Ludzkość człowieka błagamy cię, Losie!

O nowego zbawcę, któryby nauczył;

że równość ludzi jest z tego świata,

że władza pochodzi od współobywateli,

że źródłem władzy jest tylko

wyższość rozumu i głębia miłości,

że wrodzoną dążnością człowieka jest postępek, dobro i piękno,

że celem jego jest Ludzkość...

że na jej ołtarzu winien już dziś złożyć całopalenie

ze swych cierpień, bólów, niedoli,
z gniewu, nienawiści, zemsty,
ze swych radości, uniesień, nadziei..

Fortuno. bądź nam miłościwa!

Niech z twych oczy spadnie zasłona nieprzejrzysta,
niech twem kołem stanie się orbita ziemi.

Dotrzej wszędy, dokąd dociera promień słońca,
I bądź szczodra i życiodajna, jako jest ten promień;
Ludzkości, rodząca się w duszach naszych,
Przebacz tysiącleciom, że Cię zapoznały;

Naucz potomnych, że człowiek żyje ku doskonaleniu
się i radości,

Że przekleństwo cierpienia było błędem, albo fałszem,
A rozkoszą najwyższą jest praca w pocie czoła...

Długa litanja pragnień i dążeń snuje się
w mej podnieconej wyobraźni.. Aż nagle uderza mnie
widok niespodziany. — Czemu te drzewa odarte
z kory? — pytam p. Szymanowskiego.

— Widzi pan te tłumy, obozujące pod gołym
niebem w ogrodzeniach z drutu kolczastego?

— Widzę. Te tysiące to zapewne reemigranci?

— Tak. To oni. Siedzą tu po parę tygodni.
Kwarantanna. Szczepi się im ospę, tyfus, cholerę.
Czekają na dowody i pozwolenia na przejazd. Tę ko-
rę oni pozrywali. Mielą ją z mchem i wrzosem na
wypiek chleba...

W oczach mi pociemniało!... Te szeregi drzew,
połyskujących nagością pni, wydały mi się przestwo-
rzami gór śnieżnych, gdzie giną zesłani powstańcy...

— O Ludzkości! Na twych ołtarzach złożono
dotychczas ofiary tylko cierpień. Któż złoży okup,
aby tych cierpień już więcej nie było?!

— I państwo mieliście odbyć tu kwarantannę.
Udało mi się jednak uwolnić was od niej. Fortuna
była dla was łaskawsza...

— Fortuno! Ciągle jeszcze masz oczy zawiąza-
ne i toczysz się na małym kółku. Promienie Apolli-
na jeszcze do ciebie nie dotarły. Ludzkość winna
zniszczyć twą opaskę i tve koło...

Znowu świst przeciągły. Pociąg staje, Orsza niemiecka. Na dworcu kręcą się żołnierze w szarych kitlach...

— Nicht aussteigen! — brzmi donośny rozkaz.

A więc nowa władza obejmuje nas pod swe skrzydła. Jest nią orzeł czarny. Czy będzie względniejszy, niż dwugłowy? Nic nie przemawia za tem. Tu obowiązuje: „Steuer zahlen und Maul halten.“ A jednak błogo jest, że się już nie usłyszy przemowy, zaczynającej się od wołacza „towaryszcz,” kończącej się nieraz trybem rozkazującym: „pod stienku.“

Niebawem wkraczają do wagonu żołnierze. Dopytują się o liczbę dorosłych i dzieci. Oczekujemy rewizji. Po pół godzinie zjawiają się znowu, dźwigając kosze. Prawdopodobnie zabiorą w nie rzeczy zakazane. Aliści wydostają z koszów: chleb, powidła, cukier. Nie chce się wierzyć, że to dla nas. Potem zjawiają się kotły z kawą. Dostajemy jej $\frac{1}{2}$ litra na osobę, $\frac{1}{2}$ kilo chleba dla dorosłego, $\frac{1}{4}$ dla dziecka, po 2 kawałki cukru, po łyżce powidel..

Uczta! Staropolskie przyjęcie na wstępie do zaboru niemieckiego. Żadnych szykan, nawet niema rewizji. Chleb jest półrazowy, smaczny, marmolada — słodka, doskonała... A tak straszono Niemcami, ich łupiestwem! Ciągłe wypomina się im jeszcze Kalisz, jak żydom ukrzyżowanie Chrystusa. E, z tym Kaliszem musiało być inaczej. To tylko pewno urzędnicy moskiewscy narobili hałasu, bo poraz pierwszy sami doznali przemocy, którą stosowali zawsze do innych. Czy tak dzieje się po tamtej stronie drutu kolczastego, gdzie tysiące zgłodniałych tułaczów objadają korę z drzew? Krew ścina się w żyłach na ten widok. Ostatni wyraz, jaki wymówię na pożegnanie po waszemu to: podlecyc! Nigdy już nie splami się mój język waszą mową...

Po posiłku wstępuje otucha w skołatany mózg, Napewno nie będzie już tego głodu, tego lęku o każdy funt mąki, tego nieustannego dociekania: „towariszcz“, co niesiesz, co posiadasz, co myślisz? Będą trudności, ograniczenie, nawet ucisk, ale skończą się bezprawia, samowola, niegodziwości. Takie błogie nadzieje ogarniają nas od pierwszej chwili pobytu poza bolszewją. A może to tylko łudzenie się, jak... po dobrej kolacji?

Zbliża się wieczór. Rozsiedliśmy się tłumnie na kłocach drzewa przy torze. Gwarzy się o przeszłości i wypatruje, co da jutro. Naraz pytanie: — kiedy odjazd? — przebiega, jak prąd elektryczny z ust do ust. I cała rzesza nasycona i uspokojona mówi tylko: odjazd! Jednak niema się z kim porozumieć w tej sprawie. P. Szymanowski jest nieobecny. Służba i żołnierze sądzą, że czeka nas kwarantanna w pobliskich barakach.

— Kwarantanna, kwarantanna! — rozbrzmiewają głośnie skargi i ubolewania. — Ile czasu? Nie wiadomo. Może 5 dni, może 2 do 4 tygodni, jeżeli będą przypadki chorób zakaźnych.

— Ależ jesteśmy wszyscy zdrowi! — przekonywa żołnierza pani, której spieszo, jak na godzinę umówioną.

— To odemnie nie zależy, — mówi żołnierz.

— Kwarantanna, to kwarantanna, — mówię do swoich. — Zawsze ją wolę tu, niż po tamtej stronie, byle nie było: „Trzy razy księżyc odmienił się złoty, Jak na tym piasku rozbiłem namioty“

Wtem zjawia się lekarz obozu, N. Spędził wojnę w Czerwonym Krzyżu, choć mógł był z powodzeniem służyć w armji. Komu jednak chciałoby się znosić trudy i podlegać rozkazom stupajek, skoro można było ukryć się w tej rosyjskiej organizacji?

— Natłok reemigrantów jest kolosalny, — opo-

wiada N. — od rana do nocy ma się z nimi do czynienia. Oględziny, badania, szczepienia, leczenie to trochę za dużo jak na mnie..

— Ilu tułaczów mieści się w barakach?

— Ile wlezie. Większość obozuje pod gołem niebem, Chorych bierzemy do szpitala.

— Jakże można przeprowadzić kwarantannę, skoro brak urządzeń?

— Owszem. Całe przestrzenie są otoczone drutem kolczastym. Jednak oni z poza niego uciekają. Ale żołnierze są tak wytresowani, że łapią większość.

— A jedzenie dostają?

— Wielu ma duże zapasy, wywiezione z Rosji. Jednak dajemy zupę i kaszę.

— A chleb?

— A tak, często i chleb, o ile jest. Uciekinierzy są strasznie zuchwali. Co dnia tysiące pretensyj, skarg, wymówek, awantur. Niedawno powiesił się jakiś starzec, choć mógł być śmiało doczekać się śmierci naturalnej w Rosji. Tu znowu matka utopiła się w gliniance z dwojgiem dzieci...

— To znaczy, że warunki kwarantanny muszą być nieznośne. Może, jak po tamtej stronie drutu kolczastego?

— Świetnie nie jest, ale na tułaczce powinni się byli przyzwyczaić do niewygód. Trudno. Brak środków. Może byście państwo pobudzili po powrocie ofiarnosc na ten cel.

A więc byliśmy znowu wybrańcami Fortuny, myślę, kładąc się do snu w wagonie. Inni objadają korę z drzew w klatkach z drutu kolczastego, pozbawiają się życia po wydostaniu się z rąk bolszewickich i złorzeczą losowi, który oddał ich na poniewierkę. A gdzie jest Ludzkość? Po tamtej stronie drutu mówią bolszewicy: — a co, nie ostrzegaliśmy was, że burzuje czychają na waszą zgubę? Więc cierpcie.

I cierpieć będziecie dopóty, aż rewolucja powszechna nie zniszczy zgniłych podwalin imperjalizmu, kapitalizmu i burżuazji. Powtórzcie to po powrocie do kraju. Zaraz przestraszą się hrabiny, księżne, biskupi, prałaci i zaczną zbierać składki na reemigrantów. I znowu pieniądze zostaną w czyichś kieszeniach, a wy się będziecie nadal modlili o przemienienie Pańskie i pocieszali rozkoszami na... tamtym świecie.

Długo w noc nie mogę zasnąć. Nie myślę już o męczennikach, odbywających tu kwarantannę. Nie jeden z nich powtórzy za ojcem żadzumionych;

„... Stałem się wreszcie, jak wąż, gdy ochłodnie,
I przechodziły mi dnie i tygodnie
Bez żadnych bólów, pamiątek, omamień,
Stałem się twardy i zimny, jak kamień.“

I nad niejednym ulituje się już nie człowiek, ale stary towarzysz — wielbłąd, albo stary siwek, który dowiózł tułacza aż do miejsca kwarantanny... do Orszy.

Inne widma stają mi teraz przed oczami. Te tłumy, sponiewierane na obczyźnie, są upojone nadzieją spokoju w kraju. I oto na samym wstępie dowiadują się, że ci, którzy pozostali spokojnie w swych domostwach, nie pragną powrotu wysiedleńca i stawiają mu wszelkie trudności, aby się zabezpieczyć od zarazy: duru, cholery, czerwonki i... komunizmu. Tak; to jest kwarantanna...

— Widzisz, jak dba o ciebie Rada Regencyjna? — pyta bolszewik, — ci panowie, co w stolicy palili cygara, gwarząc o braciach z za Buga, aby im nie przynieśli nowego powiewu, światłości ze wschodu.

— Kłamstwo! — wołam. — Tych tułaczów gnębiecie wy i wasi sprzymierzeńcy, Niemcy. Rada Regencyjna nie ma tu głosu.

— A na twoim dokumencie podróznym, czyj jest podpis, towarzyszu, czyja pieczęć?

— Wszak nie uznajecie Rady Regencyjnej.

— Bo nie wierzymy rządóm panów, biskupów, prałatów. Czy nie mamy słuszości? Wszak lud jest dla nich tylko siłą pociągową, a nie równymi im ludźmi, krzywdzonymi od wieków. Panowie mają ich dość w swych majątkach, fabrykach, kopalniach, więc wolą, by lud pozostał w Rosji i wyginął.

— Nieprawda! Jesteśmy na obszarach okupowanych a nie w wolnej Polsce.

— A widziałeś, towarzyszu, jak wracają Niemcy?

— Widziałem. Mają porządny obóz w Moskwie. Po kilku dniach wywczasu jadą pociągami osobowymi parę dni do Niemiec.

— Czemu Rada Regencyjna nie postąpi tak samo? Woli odwołać się do miłosierdzia publicznego, zbierać składki, urządzać bale i koncerty.

— Jest skrępowana przez was i Niemców. Robicie to celowo, aby oburzyć przeciw niej Polaków. Ale myśmy przejrzeni tę grę podstępna...

Po upalnym dniu przyszła parna noc. Gwiazdy błyszczą. Cisza wokół. Tylko od strony lasu i ogrodzeń kolczastych dochodzą głucho jęki, zawodzenia, przekleństwa. A cóż tam dziać się będzie gdy ziemię pokryje śnieg, gdy wichur wędruje się nie tylko do skleconych z prostych desek baraków lecz i do buchającego ciepłem kominka? Ci ludzie skazani są na zamrznięcie, gdyby mieli tu pozostać!

Ranek zapowiada się rozkosznie. Krople rosy lśnią blaskami brylantów. Trawy uginają się pod ich ciężarem a powietrze promienieje barwami tęczy, bijącymi od każdego źdźbła. Na tle tego bogactwa przyrody odbija obóz w oddali, jak cuchnąca sadzawka wśród uroczego ogrodu.

O 8-jej odbarzono nas śniadaniem. Znowu kawa

z cukrem, chleb i powidła. Syty i zadowolony widokiem posilonych dzieci podążam do baraków, by odwiedzić wczorajszego gościa, pomóc mu w razie potrzeby w czynnościach lekarskich i zasięgnąć języka, jaki los nas czeka. Przechodzę przez las, mijam zagrody kolczaste i docieram do drewnianego baraku. Lekarz i jego współpracownicy są pogrążeni... we śnie, Nie wierzę oczom! Mija 9-ta. Świeży, ciepły poranek aż prosi, aby go spędzić przy pracy.

— Mielicie jakie zasłabnięcia gwałtowne w nocy? — pytam pielęgniarkę, — Nie? A kiedy zaczyna się u was robota?

— Rozmaicie. Jak p. doktor wstanie.

— A dużo macie chorych?

— Niewiele dzięki Bogu. I do szczepienia też niewielu, bo reemigranci przywożą z sobą świadectwa.

— A dużo ludzi odbywa tu kwarantannę?

— Tylko ci, którym trzeba szczepić ospę, lub nie mają dokumentów w porządku.

Wracam do pociągu. A więc nie jest tak źle, jak opowiadał N. I on nie jest przepracowany, skoro może spać do południa. Znać przyzwyczał się do wygody podczas wojny. Niechby tak spróbował być z Bogdanowem! Ten byłby go nauczył pracować dla tronu i ojczyzny. Ale od czego spryt? Wykręcił się w jakiś sposób od wojska, choć w mundurze byłoby mu do twarzy. W Warszawie będzie pewno opowiadał o wielkich czynach przy reemigracji.

Koło południa zjawił się N. w naszym pociągu. Mówił że był od rana zapracowany, że jednak poparł naszą sprawę i ma nadzieję, że będziemy zwolnieni od kwarantanny w Orszy.

Podróźni są zachwyceni. A dobroczyńca zapewnia, że mógłby wrócić do Warszawy, jednak woli pozostać na tej niskiej płacówce, gdzie można być naprawdę użytecznym. Wśród reemigrantów jest dużo

nędzy. Środków na to brak. Temu powinni zaradzić szczęśliwi podróżni, powracający wygodnie do kraju. i zarządzić doraźną składkę, która ukoi cierpienia najbardziej dotkliwe.

Słowa są przekonywające. Mówca ma niewątpliwie dar trafiania słuchaczom do... kieszeni. W wolnych chwilach musiał uprawiać sport kwestarski z jego pełną wdzięku mimiką od miłego uśmiechu aż do schylenia głowy, zginań tułowia i wszelkich innych łamańców. Aż szkoda marnować takiego wyrobienia w jakiejś tam Orszy. Jednak może taki emisariusz kwestarski dotrze tam, dokąd niema dostępu społecznik, uczonec, badacz, lekarz, urzędnik, kapłan. Wszak już w czasach napoleońskich wypróbowano w Polsce dobrodziejstwa kwestarstwa.

To jest działalność u podstaw. Na obecnym pograniczu spotykają się w Orszy dwie kultury: wyprobowana od wieków średnich kultura zachodu z jej miłosierdziem i nowa kultura wschodu, stawiająca na miejsce zdyskredytowanej miłości bliźniego—samopomoc i opiekę społeczną. Rewolucjoniści ośmieszają miłosierdzie, dowodząc, że w jego imię był spalony Hus i tysiące uczonych reformatorów i działaczy, bibliotek, szkół, dzieł sztuki. Jest to fałsz oczywisty, wymyślony przez krytyków i odszczepieńców, których ks. Lutosławski paliłby z lubością na stosie, aby uratować ich dusze od ognia wiecznego. A przeciwko metodzie opieki społecznej bolszewików czyż mało da się powiedzieć? Nędza powszechna, głód choroby, wycieńczenie, upadek moralności, a na to jedyny środek zaradczy: więzienie i czerezwyczałka.

Wyprobowane przez wieki miłosierdzie nie da się zastąpić przez jakie kolwiek wymysły. Przeto kwestarze i nadobne kwestarki są wyrazem wyższej kultury naszej nad wschodnią. I dobrze jest, że w Orszy na samem pograniczu istnieje taka placówka. Zda ona niewątpliwie sprawę ze swej działalności podobnie,

jak zbieracze funduszu powrotu do kraju. Wtedy usłyszycie nazwiska i dowiedzie się, że nazwisko Rabo-ka było tylko kryptonimem dziedzica Soplicy.

Południe. Dostajemy znowu jedzenie: zupa po $\frac{1}{2}$ litra na osobę i chleb. Nie jest to wprawdzie tak znakomita potrawa, jak ta zupa dziadowska, którą raczyliśmy się na odjeździe z Moskwy. Nie bucha z niej para kłębami i nie ściele się w zwoje fantastyczne. Ale zawsze! Wszak jadało się zupki z garnkuchni na Dominikowce i na bulwarze Twerskim. Trzeba było zamykać oczy, aby nie widzieć, co ta mieszanina zawiera. Nie pytał wtedy nikt o smak. Zadawała się świadomością, że się łyka coś gotowanego i że żołądek nie będzie miał prawa opowiadać o swych krzywdach.

Około 2-iej zawiadomił nas p. Szymanowski, że przełamał opór władz niemieckich. Świadectwo lekarskie moje i lekarza pociągu, zapewniające, że niema wśród podróżnych chorób zakaźnych, zostało uznane za wystarczającą rękojmię. Nasze, nie kwestarze N...

Ruszamy w dalszą drogę.

V. Baranowicze.

Jedziemy. Znowu przesuwiają się niezmierzone przestrzenie nietknięte pługiem, zdziczało pola, łąki, pastwiska, na których nie widać koni bydła, owiec, trzody, ani kopic zboża, stogów, stert, brogów, stodół. Te ziemie wywoziły dawniej swój plon zagranicę. Dziś nie mogą się same wyżywić. W rumowiskach na wzgórzu rozpoznaję „ludu gniew“. Tu był dwór. Z rozległego parku pozostały tylko pojedyncze drzewa i masa wysokich pni. Te kolumny potłuczone zdobiły zapewne werendę, a ten gruz pozostał z podmurowania. Tam zwaliska stajni, tu śpichrza. Z ostów i pokrzyw wynurza się altanka...

„Z ogrodowej altany wojewoda zdyszany..“

Nie przeszła tędy zawierucha wojenna, bo nie widać okopów, ogrodzeń kolczastych, a wieś okoliczna stoi nietknięta. Zapewne towarzysze, powracając z frontu, uchwalili wraz z miejscowymi parobkami, że czas skończyć z panowaniem dworu. Uchwałę wykonano przed najazdem Niemców.

A dalej widać gdzieś tam wieś spaloną, opuszczoną karczmą na rozstajach, wyludnioną osadą lub miasteczko, zarosłe trawą drogi.

W pobliżu Mińska zmienia się obraz. Coraz więcej poniszczonych osiedli, coraz częściej ślady strzelaniny, pocisków, okopów, ogrodzeń z drutów kolczastych, rozwalonych dworców i budek dróżniczych.

Docieramy do Mińska. Znowu długi postój i kolacja, złożona z kawy i chleba. Grozi nam i tu kwarentanna. Trzymają nas w zamkniętych wagonach. Zadawałamy się widokiem z okien, który ujawnia pustkę, zniszczenie, wyludnienie. Czyżby doprawdy uciekli stąd wszyscy, których widziałem gotowych do drogi przed trzema laty? To pewna, że władze nie pozostały. Zawadzki powędrował zapewne wgląb Rosji. Widziałem go przed rokiem w Moskwie już bez czerwonej podszewki i szlifów. Miał minę cierpką i zapewniał, że bolszewizm nie utrzyma się długo, bo cała ludność praworządna nie zniesie takiego ucisku i poniżenia. — Naród prawosławny, nienawidzący żydów, nie zgodzi się na ich panowanie. Wszak prawda, kolego?

— Nie wtrącam się do wewnętrznych spraw Rosji, jednak stwierdzam, że po usunięciu d-ra Bogdanowa przez rewulucję odżyłem na swym stanowisku.

— Podlec! Ile mi napędzał trudności i kłopotów! — woła b. przewoschoditelstwo.

Taką opinię wydałeś przed rokiem o swym następcy. Opinia była lapidarna, ale słuszna. Jednak

przewidywania co do upadku bolszewizmu nie sprawdziły się. Wspominając twoje rządy, myślę: Co się z tobą stało? Napewno nie utonęłeś. Twoi współplemieńcy rządzą dziś Rosją. Przypomniałeś sobie twe frankistowskie pochodzenie, niezatarte w cechach antropologicznych pomimo podwójnego chrztu. Wśród komisarzy jest dużo takich, jak ty. Znalazło się tam miejsce i dla ciebie. Umiesz przystosować się do nowych warunków. Chciałbym cię zobaczyć. Jednak nasze drogi już się nie zejdą.

Nad ranem opuszczamy Mińsk. Im dalej na zachód, tem wymowniejsze są ślady wojny: dworce leżą w gruzach, mosty są pozrywane i zastopione wiązaniami z belek, tory zapasowe pokryły się rdzą i trawą. Okolica jest pusta, zdziczała. Gdzieś tam widnieją nieogrodzone cmentarze z szeregami jednakowych mogił z jednostajnymi krzyżkami, lub bratnie mogiły, oznaczone dużym krzyżem, kamieniem, czasem pomnikiem. Coraz więcej zardzewiałych ogrodzeń z drudu, transzei, wyrw w glebie po pociskach. Martwota, pustka, zniszczenie!

Nagle odsłania się wielka poręba, Połać kilkowłótkowa wycięta doszczętnie. Tam biegnie kolejka dojazdowa, tu warczą tartaki parowe. Dworzec zawalony belkami dębowymi, sosnowymi, deskami, podkładami i wszelkim materiałem drzewnym. Setki chłopów ładują drzewo do wagonów pod komendą Niemców. Ruch, pośpiech, jak przy pożarze... Chwilowi okupanci zaopatrują się nagwałt. A w tej gospodarce nieznac Niemca; na porębach pozostają stosy wierzchołków, gałęzi, pni, a tylko odziomki dostają się do tartaków. Gdzie się podział pracowity i oszczędny gospodarz, u którego nie marnowały się nawet trociny? Przeobraził się w rabusia, którego hasłem jest: "dziś!".

Z odpadków, z bali, wierzchołków układa się

na prędcy szosy drewniane, aby przewozić swobodnie armaty i wywozić produkty rolne i wszelkie inne, potrzebne dla armji. Bo też oplakane są drogi w tym dzikim kraju. Okupant wprowadza więc kulturę, czynając od naprawy dróg. A potem każdy właściciel krowy musi przynieść mleko do centryfugi i cieszyć się, że dzięki temu armja niemiecka będzie miała masło; hodowca drobiu musi dostarczać codziennie jaja, kurczęta, kaczki, gęsi; właściciel konia musi go wymienić na takiego, który będzie mógł opowiedzieć mu wiele rzeczy zajmujących o wojnie, bo chłop porozumie się z koniem łatwiej, niż z Niemcem.

Im dalej na zachód, tem bardziej rozrósł się przemysł rolny i leśny. Oto spotyka się już wagony masła, sera, śmietany, owoców, marmolady, konserw. Nieraz ukaże się pług parowy, kultywator, lokomobila. Prawie wszędzie spotyka się oświetlenie elektryczne, zwłaszcza w tartakach i mleczarniach. Co za zdobycze kultury! Niejeden chłop może dziś mówić:

„Wojna! Wojna. Nie było w Litwie kąta ziemi
Gdzieby jej huk nie doszedł. Pomiędzy ciemnymi
Borami i lasami, chłop, którego dziady i rodzice
Pomarli, nie wyszedłszy za lasu granice,
Który na niebie innych nie rozróżniał krzyków
Prócz wichrów, a na ziemi — prócz bestyryków,
Gości innych nie widział prócz współbiedników,

Teraz widzi: na niebie dziwna luna pała.
W puszczy loskot. To kula od jakiegoś działa,
Zbłądziwszy z pola bitwy, dróg w lesie szukała,
...Był to spękany granat. Kręci się, wre, świszcząc
Pękł z hukiem, jak piorun... Żubr pierwszy raz w życiu
Uciekł, by w głębszem schronić się ukryciu“...

Tamta wojna, — powie Niemiec, — cóż mogła dać chłopu? Lęk, zniszczenie, nędzę. To dar Napoleona. My zaś przynosimy chłopu kulturę. A że za nią musi płacić, — trudno. To kosztuje. Lekarz i kapłan ciągną nawet z nieboszczyka. Moskal zostawił wam zgłiszczca. Powywoził nawet dzwony cer-

kiewne, szyny, mosty, wagony, łódki, statki. Ale nie wywiózł i nie spalił lasów, bo nie wiedział, jakie to bogactwo. Niech się chłop o tem dowie. On zresztą wiedział, ale sam mieszkał w zgniłej chacie, krytej słomą, a na opał musiał kraść gałęzie, bo drzewa nie dawano mu w kraju, gdzie połowa ziemi jest zalesiona. My mu damy wierzchołki i gałęzie darmo. Nie ma chyba prawa narzekać. A jeżeli jest niezadowolony, nie chce pracować na rzecz wojny na miejscu, to go poprosimy do Niemiec. Tam dopilnują go nasi feldfeble i inwalidzi, którzy przelewali dla sprawy krew, Wywrotowcy uważają to za okrucieństwo. Niech gadają. Nasz żołnierz nie zarazi się komunizmem, bo kocha kajzera. A że tam ktoś narzeka — trudno. To wojna!

Zbliżamy się do Baranowicz. Niebawem opuści nas p. Szymonowski. Delegaci gromadzą się na pożegnanie. Przemowy są krótkie, lecz serdeczne. Wręczamy mu sumę, zebraną do jego rozporządzenia i podziękowanie z podpisami. S. dziękuje i zapewnia, że radby sam wrócić do kraju, lecz jeszcze dziś nie może, bo ma dużo do zrobienia. Obowiązki względem ojczyzny można spełniać i pozanij. Zresztą z niego byli by niezadowoleni ci, którzy dzierżą dziś władzę. Poczeka. Stosunki w Polsce muszą się zmienić. Wtedy przyjdzie czas na niego. S. opanowuje wzruszenie. Jednak z urywanej jego mowy widać, że wraca do Rosji bez zapału. Mus go woła. Ten Mus wygląda u każdego z nas inaczej. Najczęściej ma postać nostalgji, tego nieokreślonego odczuwania, że w danem środowisku jest nam źle i że „dla hucuła niema życia, jak na Połoninie, gdy go losy w doły rzuca, wnet z tęsknoty ginie.“ Nawet pińczuk siedzi w błocie „bo przywyknął.“ Inny stęsknił się do rodziny, do swego warsztatu pracy, do spokoju. Innego zabija nuda na obczyźnie, jeszcze

inny pragnie pomodlić się przed ołtarzem we własnej parafji... Ale są i ludzie, dla których Mus jest nasłuchiwaniami „tęten tu od Krakowskiego gościńca,” świadomością, że „trza się do dzieła brać“...

Takim zda mi się w tej chwili p. Szymanowski. Nie mówi nam na rozstanie, że w Polsce są rządy burżujów, klerykałów, imperjalistów, nie zapowiada, że Rosja uwolni Polskę od plagi wstecznicstwa, nie zaleca nam pieśni „Gdy naród do boju wystąpił z orężem...”, jako hymnu narodowego. Dziś jest na gruncie obcym i zachowuje się neutralnie. W granicach Rosji pouczał nas o podstawach rządzenia. Teraz niech każdy rządzi się własnym rozumem.

O, jak dobrym nauczycielem mógłby się stać p. S. dla niejednego naszego działacza, wtrącającego się do obcych spraw na podobieństwo carskiego żandarma, albo dewota, albo przeciętnej starej ciotki. Ofiary tego wścibstwa siedzą dziś w więzieniach bolszewickich, czekając na wyroki. To pewna, że zasada: „cel uświęca środki” powinna wreszcie ustąpić sumiennemu wykonywaniu zobowiązań nawet w stosunku do wroga. Będzie to staropolskie: „verbum nobile”, którego nie zmyje nawet krew Warneńczyka, sądzącego naiwnie, że jest mocen ktokolwiek uwolnić od danego słowa...

Baranowicze!

Zjawiają się urzędnicy i żołnierze niemieccy. Grzmi rozkaz: Aaussteigen! Gepäck mitnehmen!

Wysiadamy, ciągnąc za sobą tłumoki. Żegnaj nam wozie, któryś był naszym domem przez dwa tygodnie! Zostawiasz miłe wspomnienie. Przewieź jeszcze wielu tułaczów. I ty, kierowniku pociągu, bądź dla naszych następców takim samym opiekunem, jak dla nas.

Udajemy się do baraków na kwarautannę. Mijamy szeregi domów, skleconych z desek nieheblowa-

nych. Te budy, otoczone drutem kolczastym, mogą pomieścić podobno 40,000 ludzi. Z poza ogrodzenia widać ludzi zbiedzonych, siedzących na gołej ziemi. Są to przeważnie włościanie w zdartych kapotach i samodziałowych sukniach. Gdziegdzie zaczerni się kubrak i kapelusz. Siedzą tu całe tygodnie. Nasz pociąg ma wyznaczony barak na końcu ulicy. Ma być to najczystsze pomieszczenie dla inteligencji.

Pierwsze wrażenie naszego baraka jest nader niekorzystne. Buda piętrowa o ścianach nieszczelnych, małych okienkach, dachu przeświecającym posiada jako całe umeblowanie kilkanaście pryczy. A więc z konieczności trzeba spać na brudnej podłodze. Nasi poprzednicy sheblowali ją już butami i własnymi plecami. Ich pobyt nie przeszedł bez śladu. Pozostały wspomnienia dosłownie „żywe”. Chodzą teraz po ścianach, pryczach, podłodze, jak oswojone kurczęta. Przeważają czerwonoskóre o swoistej woni, z którą osoby delikatne zaznajomiły się chyba w malinach, o ile nie mieszkały w Rosji, gdzie te owady są nie-tykalne nawet w domach zamożnych narówni z gołębiami. Drugi gatunek wywodzi swój ród podobno z Egiptu, skąd mieli go wyprowadzić izraelici i strzec przez lat tysiące, jako cenną pamiątkę domu niewoli. Ten gatunek, niepomny swych arystokratycznych tradycji, sprzymierzył się z zarazkami duru wysypkowego. Przez ten nieprawy związek musimy dziś odbywać kwarantannę. Trwała ona u narodu wybranego 40 lat na puszczy. Drobiazgiem więc będzie nasze kilka dni, choć nie dostaniemy napewno manny i przepiórek.

Trzeci gatunek żywych wspomnień jest czarnoskóry lub rudawy i odznacza się zwinnością akrobaticzną, o jakiej nie może marzyć żaden baletmistrz ani cyrkowiec, bowiem skacze na wysokość, przewyższającą jego wzrost setki razy i spada na równe nogi,

nie doznając ich połamania, ani wstrząsu nerwowego, niczem bohater z popularnego filmu. Gatunek bruneci jest dokuczliwy, jednak podług obecnego stanu wiedzy nie jest tak groźny dla najwyższego gatunku zwierzęcego, dla człowieka, jak baranek egipski, blondynek bez temperamentu. To wskazuje, że talmud nie rozstrzyga ostatecznie wszystkich zagadnień biologicznych: bowiem rabin, który miał wyjaśnić laikowi, że w dzień sabatu można zabić pchłę, bo ona ucieknie, niewolno zaś zabić wszy, bo ona poczeka, ujął tę sprawę powierzchownie. Tępić należy największych szkodników. Tak uczy ks. Lutosławski, z którym nie znalazłem dotąd wspólnej platformy. On paliłby na stosie odszczepieńców i socjalistów, a ja — wesz.

Nie wyczerpałem gatunków fauny, która nas otacza. Mamy tu roje skrzydlatych napastników, brzęczących koło uszu. Jeden z nich opisał dokładnie p. Wojski, niezrównany wirtuoz na rogu, którego p. Jętkiewiczowa poniżyłaby, porównując z cymbalistą Jankiem. Pan Wojski wynalazł specjalny oręż, plackę, do walki z napastnikami, ale stulecie bieżące uznało ją za przestarzałą podobnie, jak paznokieć w walce z barankami egipskimi, zamiast którego posługuje się truciznami, a nawet buduje ogromne komory dezynfekcyjne. Higiena dzisiejsza zaleca jako pewny środek najdokładniejszą czystość. Z tego właśnie powodu nasze baraki, najlepsze z pośród wszystkich, są niewspółczesne. Wprawdzie widziałem karawany arabskie, mieszkające pod Kartagimą w cysternach po zburzonych akweduktach, i zaglądałem do kurnych chat na Polesiu, w których czadzie i dymie nie mogą wytrzymać nawet pluskwy i muchy; jednak takiego brudu i zaniedbania, jak w naszych barakach nie widział chyba człowiek od czasu stosów kuchennych. Tu mamy odbyć kwarantannę!?!

To się nie mieści w głowie. W tych smrodli-

wych szalaszach, zapelnionych robactwem, na tej wyd-
mie piaszczystej, gdzie o kilka kroków od baraku znaj-
duje się parkan z napisami: „Für Herrn” i „Für Da-
men”, z najpierwotniejszemi dołami, a o kilku kro-
ków studnia, do której przesącza się zawartość ustę-
pów, co stwierdza powonienie i wzrok bez wszelkich
badań chemicznych i bakterjologicznych,— tutaj mają
tułaczę dowieść, że nie są niebezpieczni dla środo-
wiska, dokąd powracają?!? Wszak tu właśnie można
się zarazić wszelkiemi możliwemi chorobami. To nie
kwarantanna, lecz próba odporności na zarazki!

Tak postępują Niemcy?! Czy jest to niedołęstwo,
obce ich kulturze i wyrobieniu, czy też jakaś piekiel-
na akcja krzyżacka, znacząca ni mniej, ni więcej tyl-
ko: niech tu wyginą, nam będzie z tem lepiej??

Siedzimy za oparkaniem z drutu kolczastego.
Nie jest to więzienie w ścisłym słowa znaczeniu.
Można łatwo z niego się wydostać, wylegitymowawszy
się przed wartą... rublami albo markami, które są tu
równouprawnione i równoupragnione. I znowu celo-
wość kwarantanny staje się wątpliwą, ponieważ mie-
szkańcy rozmaitych odrutowań mogą się stykać z so-
bą, a więc przenoszenie się chorób zakaźnych jest
niewylączone. To znaczy, że zatrzymanie pociągu,
wprowadzenie względnie czystych i zdrowych, a przy-
najmniej niedotkniętych ostremi chorobami podróż-
nych do tak urządzonego obozu niema bynajmniej
cech zapobiegania sanitarnego. Przekonywam się
o tem niebawem, wybrawszy się z p. Buchnerem do
komendanta etapu. Nasze argumenty, że w pociągu
nie było podczas podróży ani jednego przypadku
choroby zakaźnej, że przetrzymywano nas już paro-
krotnie, że posiadamy dowody szczepień ochronnych,
nie trafiają do przekonania władcy. Dopiero jego po-
mocnicy pouczają nas, że należy... się wykupić. Za-
rządzamy więc nową składką po rublu od głowy. Pan

B., znający dobrze niemczyznę, zostaje obarczony tą drażliwą sprawą.

A więc cztery lata wojny, czy też styczeńność z urzędnikami rosyjskimi i austrackimi, zaraziły i Niemca przekupstwem i łapownictwem. Każde zarządzenie władz jest rozumiane nie z punktu widzenia jego myśli przewodniej, lecz jako sposób gnębienia poddanych w celu wyciśnięcia z nich pieniędzy... Gdyby tak było tam, gdzie Niemcy chcą utrzymać swe panowanie, a wojna zakończyć się miała ich zwycięstwem, ta korupcja byłaby gorsza w następstwach od przegranej. Może jednak ziemie okupowane traktowane są jako przeznaczone na wyszanie przez najgorsze elementy na zasadach dotychczasowego podboju i osadnictwa. Wszak Meksyk i Peru miały mieć wysoką kulturę podczas opanowania ich przez Europejczyków, jednak uległy zupełnemu zniszczeniu przez tych, którzy uważali za najważniejsze zadanie złupić je w imię... wprowadzenia nowego kultu. Nowo odkryte kraje uległy podobnemu losowi. Stwierdziłszy tę dbałość o postęp na własnej skórze w okresie porozbiorowym. Będziemy więc teraz znowu ofiarą nowej okupacji, posiadającej zastępy wyrobionych dręczycieli. Po utracie kolonij afrykańskich i azjatyckich zastosują ci kulturtregerzy metody wypróbowane. Okrucieństwa w Poznańskim, na Pomorzu, w Prusach wschodnich, w kolonjach afrykańskich, w Chinach znajdą i tu swój wyraz, ale obszary zagarnięte są zbyt wielkie na to, aby wystarczyła tylko garść oprawców. Trzeba będzie zwiększyć ich szeregi a przez to zniżyć poziom moralności Niemców.

Zacisnąwszy zęby, spełniam uchwałę rady delegatów, choć za nią nie głosowałem. Przy tej składce niema już żadnej opozycji, czasem tylko wyrzekania, iż wypada za często płacić. Jednak ogół przyzwyczaił się już tak do rozmaitych łapówek, że niema

nic i przeciwko tej, byle uwolnić się od groźnej kwarantanny.

Przed wieczorem zbieramy się w miejscowym klubie na kolację. Poraz pierwszy od kilku miesięcy zasiadam do stołu, nakrytego obrusem, mam przed sobą porządne nakrycie i wybieram z jadłospisu, liczącego kilka pozycji. Gdyby nas ujrzał tera bolszewik, powiedziałby napewno: wartoż to było wypuszczać tych burżujów? Dorwali się, jak nasi komisarze. Zapomnieliście już zakupkę ze zdechłego konia i kałabaszkę, którąście „niuchali“.

Brrr... A jadło się! Odzwyczało się od noża i widelca, bo wystarczała łyżka. Palce nie trzymają ich dość pewnie, jak gdyby zasiadło się do fortepianu po paroletniej przerwie.

Zajadamy. Ketlet wieprzowy smakuje nie gorzej, niż przed 30 laty w taniaku. Inni raczą się cielęciną, befsztykami, kurczętami, popijają piwo, wino, wódki, kawę... Zaprawdę skończyła się już głodówka. Wraca się do...

— Zahlen! — oznajmia kelner.

I płaci się frycowe. Ale jest się naprawdę sytym. A jak tam będzie w Warszawie? Czy starczy na takie wydatki? Musi starczyć... albo się ich zaniecha.

W tej chwili zasiada do fortepianu jeden z nauczycieli, p. Cymbaliński. Grzmi mazurek Dąbrowskiego, a potem „Z dymem pożarów“... Jesteśmy wzruszeni do głębi. Tu w Baranowiczach, zdała od bolszewików, pod okiem kręcących się urzędników i wojskowych niemieckich... nasze pieśni narodowe, które śpiewało się i grało z tłumikiem. I nikt nie stawia przeszkód... Swoboda, wolność!... Ale Komentant Piłsudski więziony jest w Magdeburgu. Dziwna jakaś ta swoboda, ta wolność...

Późno wieczorem powracamy do naszego drutu kolczastego. O spaniu w barakach niema mowy, bo

fauna wyprawia tam straszniejsze harce, niż w Świ-tezi rusalki. Rozkładamy więc dzieciaki na tłomocz-kach na dworzu, sami zaś sadowimy się obok nich. Śpią nasze pociechy, jak na puchach. Przeszły dobrą szkołę. Nie wymagają wielkich wygód.

Noc jest chłodna, wietrzna. Ranek posepny, mglisty. Jestem zmęczony, niewyspany, zziębnięty i w dodatku doznaję jakiegoś przykrego swędzenia skóry. Oglądam ją przy wschodzie słońca. Wyraźne ślady pokąsań. Śpieszę więc pod studnię, pełniąc jednocześnie obowiązki umywalki, i robię tualetę, jak na kąpeli słonecznej. Jednocześnie dokonywam obławy w bieliźnie, odzieży i włosach. Połów jest obfity, a krew leje się i bruka... me paznogie. Jako krwawy zwycięzca powracam do mej śpiącej grupki.

— Państwo spali na dworze? — pyta jedna z pasażerek, — ależ to można się przeziębnić i dostać tyfusu.

— Właśnie chciałem się od niego zabezpieczyć, bo w baraku pełza on po tapczanach, podłodze i ścianach. Jednak i to jest nie lepiej, — powiadam odsłaniając śpiące dziecko, po którym łążą owady.

— Rzeczywiście spać nie było można, tak kąsało, ale przynajmniej było ciepło w baraku.

— Ta kwarantanna może pociągnąć za sobą dużo ofar. Niewątpliwie byli już tu chorzy na dur wysypkowy. Spadek po nich może zarazić całe szeregi następtych więźniów tego etapu. Nie mieści mi się w głowie, ażeby władze niemieckie mogły znosić takie źródło zarazy. Wszak dur musi wybuchnąć nagminnie w Polsce i przenieść się do Niemiec.

Przy studniach robi się ruch, tworzą się kolejki.

Mycie sprowadza się do rozsmarowania brudu na t. z. ołtarzyku, czyli twarzy i rękach. Tylko nieliczni tułacze zdejmują odzież, a wyjątkowi rozbierają się do pasa. Napewno wszyscy są zaopatrzeni

w owady. Gdybyśmy więc wyjechali nawet bezwłocznie, nie unikniemy już niebezpieczeństwa, o ile baranki egipskie były zakażone. Starodawny wajdelota śpiewał Konradowi:

„Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
Jej przyjście wieszczka odgadnie źrenica;
Bo leśli słuszna wajdelotom wierzyć,
Nieraz na pustych cmentarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewica
W bieliznie, z wiankiem ognistym na skroniach,
Czołem przenosi białowieskie drzewa,
A w ręku chustą skrawioną powiewa...”

Ta morowa dziewica stoi dziś wśród pustkowia i powiewa chustą skrawioną. Kto jest ona? Poznaję. Na imię jej Germanja.

„... Zgubne zjawisko!... Ale więcej zguby
Wróżył Litwinów od niemieckiej strony
Szyszak błyszczący ze strusiami czuby,
I płaszcz szeroki, krzyżem naczerniony.
Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczem jest klęska wiosek albo grodów.
Cała kraina w mogiłę zapadła...”

Twoja pieśń, wajdeloto, nie straciła nic na prawdzie w ciągu ubiegłych stuleci. Zmienił się szyszek i płaszcz, ale stopa niszcząca pozostała ta sama. I cała kraina w mogiłę zapadła. Czego nie zgmiotła stopa, zniszczy zaraza. Jej przyjście wieszczka odgadnie źrenica. Widzi ona, że ty, Germanjo, chcesz wygubić ludność Polski, bo nad krajem pustym, zniszczonym i bezludnym łatwiej jest zapanować, niż nad ziemią kwitnącą. Te baraki możnaby urządzić tak, aby spełniły swe zadanie. Nietrzeba na to ani wielkich nakładów, ani licznej obsługi, Zrozumiałem wasze zamiary!

Przed południem zjawia się młodziutki lekarz wojskowy w celu stwierdzenia stanu zdrowia podróż-

nych. Przegląd trwa krótko i nie wykazuje niczego podejrzanego. Snać nasz okup musiał już dopłynąć. Badanie polega na przemaszerowaniu całej partji w tempie przyspieszonym. Obchodzi się bez wszelkich oględzin. Kto słania się lub porusza z trudnością musi się usprawiedliwić. Ale wystarcza na to wiek, zmęczenie, niewyspanie, zwłaszcza gdy podejrzany umie wytłomaczyć się po niemiecku. Zapłaciliśmy rogatkowe, czy kopytkowe, albo pogłównne i możemy jechać dalej.

Kilka osób zgłasza reklamacje, że poginęły, im różne rzeczy wartościowe. Między innymi i żona moja straciła podczas mycia się złoty łańcuszek. Wszelkia ogłoszenia nie dają wyników. Snać, morowa dziewczica potrzebuje dziś czegoś więcej, niż bielizny, wianka ognistego i chusty skrwawionej. Co ocalało od bolszewików, wpada w jej ręce. Idź złoto do złota!

Na odjezdnem zgłasza się do mnie brunecik z orlim nosem, piersią wklęsłą i krzywych nóżkach. Poznaję w nim jednego z członków Komitetu do spraw polskich w Moskwie. Ten przedstawiciel kasty rycerskiej prosi o poparcie swego skromnego życzenia, aby mógł dostać się do Warszawy naszym pociągiem. Spieszy się bardzo. Chce ujść pościgu. Przekradł się przez granicę. Zerwał wszelkie stosunki z komunistami...

— Nie mogę nic panu dopomóc: do pociągu mają prawo wejść tylko posiadający odpowiednie dowody. Wszak podróżni mogliby być narażeni. Zresztą pan jest już poza wpływami bolszewików, — tłomaczę, zastanawiając się, co mogło skłonić tego obiecującego młodzieńca do złamania świetnie zaczętej kariery? A może to tylko wybieg emisariusza? Zresztą gdyby to miał być nawet jakiś Zarębski, który już ukończył kontrolę safesów i woli zniknąć z Rosji

bo mu się rachunki nie schodzą, czyż Polska ma dawać takim osobnikom asilum?

Rycerz jest struty. Jednak myszkuje. Porozumiewa się nawet z urzędnikami niemieckimi. Zawiadamiam delegatów wagonowych, aby się mieli na baczności. Należałoby właściwie wyświetlić tę sprawę, czy ma się przed sobą nawróconego Szewła, czy też zwykłego złodzieja, uciekającego od kary, albo wysłańca komunistów, mającego zlecenia. Jednak na etapie niema z kim tej rzeczy ogadać.

Koło południa przewozimy rzeczy do pociągu. Składa się on z kilkunastu wagonów towarowych, bydłowych. Do każdego z nich może wejść najwyżej dwadzieścia parę osób. Musimy więc ugrupować się inaczej. Wyłączamy z naszego wagonu parę osób, któremi było najwięcej trudności. Są one z tego niezadowolone i darzą nas przy rozstaniu potokiem krasomówstwa w stylu iście rosyjskim. Ale cóż: od dzieciństwa nauczyło się już, że łatwiej jest przelknąć nawet rycynę odrazu, zamknąwszy oczy i zatkawszy nos, niż rozłożyć sobie tę porcję na dużo dawek. Zwłaszcza teraz, gdy będziemy musieli siedzieć na podłodze wagonu, lub na tłomokach, posiadając nieokreślone miejsca w salonowym wagonie dla koni, powinniśmy się starannie ugrupować. Cały przewiew daje małe okienko zakratowane w górze i drzwi zasuwane, które wolno jest najwyżej uchylić. Powonienie wskazuje, że w tych wagonach jechało niedawno bydło, a wzrok stwierdza widome ślady poprzednich pasażerów. Jednak radzi jesteśmy, że opuszczamy baraki w Baranowiczach i tracimy z oczu morową dziewczę. Kto wie, czy jej nie spotka się w dalszej drodze: wszak nie otrzymaliśmy formalnego pokwitowania... z odbycia kwarantanny, a każdy następny etap upomni się o swój... haracz.

Na pożegnanie dają nam obiad, złożony z ja-

kiejs czarnej zupy i chleba. Na wygląd... czernina, zapewne z kaczkii. Ale woń i smak prostują zawodność wrażeń wzrokowych. Jest to jakiś kleik przypalony, jak się mówi „z kapucynem”, z trochę nieobronych kartofli, bez śladu tłuszczu. Snać po wczorajszej kolacji popsuł się nam smak. Grymasimy. Łyka się po parę łyżek tej „czarnej polewki”, zerkając jedno na drugie, czyby to nie było najlepiej zrobić jakiś ruch niezręczny i wylać zawartość miski na ziemię. A możeby tak na obiadek do klubu? Będzie stół nakryty, jadłospis, kelner...

— A pamiętasz, bracie młody, zupkę z garnku chni na Dominikowce? Nie dopuszczales tam do głosu ani wzroku, ani powonienia, ani smaku, lecz chłonałeś ją w skupieniu i z przejęciem, dopóki dno talerza nie blynęło swem szklivem, jak wilk, oznajmiając, że to już koniec.

— Takie przypalone, — skarżą się dziewczynki, — przełknąć niemożna.

— Mam nadzieję, że po tej polewce nigdy w przyszłości wasi mężowie nie będą się uskarżali na kapucyna w zupie — odpowiem.

— Mój — nigdy, — zapewnia Grażyna, a oczy jej pałają szczerością i pewnością siebie. Ale po chwili powieki opadają i gorący rumieniec oblewa jej oblicze.

— Mój niech się troszczy sam, aby się mu zupa nie przypaliła, — mówi stanowczo Halina.

— A ja to już z mamusią będziemy sobie gotowały razem. — szepcze Aldona, tuląc się do matki.

— Dziewczyna powinna nauczyć się gospodarstwa, — tweirdzi Szczęsny, — aby być w przyszłości dobrą żoną.

Przyglądam się moim dzieciom. Ileż ważnych rzeczy dowiedziałem się w tej chwili. W ciągu czterech lat wojny nie było czasu na sprawy rodzinne.

Pierwszy rok przeszedł nam w rozłące, trzy lata tułaczki pochłonęła walka o byt, obowiązki wojskowe, zawodowe, społeczne, praca naukowa i literacka... Na badanie własnych dzieci i kierowanie ich rozwojem zwracało się za mało uwagi. A jednak to odruchowe wypowiedzenie się Grażyny, a potem jej rumieniec i oczy spuszczone znaczą, że moja 12-letnia dziewczeczka miała już jakieś plany i marzenia na przyszłość. A tak... Napewno! Po owej jasełce w szkole była zachwycona ks. J. Poniatowskim; podczas wakacji w Suchonie podobali się jej koledzy brata... Moja Janinka nie znała się w tym wieku na takich sprawach, ani na deklamacji, ani na poezji. Wołała karmelki malinowe. Ale ona mieszkała w zacisznych Puławach, dokąd przyjeżdżałem na letnisko, a moja Grażyna obiegła już kawał świata, widziała wiele, dużo przeżyła. Gdy jej deklamowałem przy wyjeździe z Moskwy „Kirgiza”, była przejęta i zachwycona. A „Przedświtu” nauczyła się na pamięć...

Chwilę ciszy przerywa Halina.

— Ja tam za mąż nie wyjdę. Będziemy z Hanką mieszkały na wsi. Będziemy uczyły i leczyły chłopskie dzieci. Ona zajmie się gospodarstwem, ja ogrodem. Będziemy miały ładne jabłuszka, gruszczyki i arbuzy takie, jak kupowało się w Moskwie na początku po 50 groszy.

— A Władka porzucisz? — pyta Szczęsny. — Taka to stałość kobieca?

— Nic mnie nie obchodzi, nigdy go nie lubiłam, — odpowiada gwałtownie Halina, — pilnuj lepiej swojej Loli...

Chłopiec się czerwieni i gotów wybuchnąć, że zdradzono jego tajemnicę. Przerywam więc im spór:

— Czarna polewka nie taka zła, jak się wam wydawało, Niejeden nie dowiedział się tyłu nowości

przy kuflu, lub kieliszku, ilu ja przy tej misce. Zostanie mi w pamięci ta zupka...

— To nieprawda, co mówi Halina, — tłumaczy się Szczęsny.

— A gdyby była prawda, nie byłoby w tem nic nadzwyczajnego. Lola jest miła i przyzwoita dziewczynka, nie dziwię się, że ci się podoba. I ja ją lubię.

Chłopiec się prostuje. Gniew z twarzy ginie. Oko nabiera wyrazu pewności siebie. Jestem pewien, że skorzysta z pierwszej sposobności, aby pomówić ze mną w cztery oczy. Tylko Halina jest niezadowolona z zupy i [rozmowy. Spuściła oczy i zajada chleb. Przerywam ten nastrój.

— Piękne macie plany. Czy jednak uda się je urzeczywistnić? Hanka wyjechała przed pół rokiem na Krym. Nie wiemy o nich nic. Boję się, że będzie im jeszcze trudniej, niż nam, wydostać się z Rosji. Wprawdzie pani K., jako dentystka, zarobi zawsze na utrzymanie, jednak powrót napotka na wielkie trudności.

— To być nie może, — dowodził Grażyna. — Hanka musi wrócić. Umówiliśmy się z nią.

— Nie rozstaniemy się nigdy, — potwierdza Halina, patrząc już prosto w oczy. — Lubię ją bardzo. Zdolna dziewczyna, ma dobre serce i doskonały słuch. Trzeba będzie uczyć ją muzyki.

— Gdy się zejdziecie, niemożna wysiedzieć, — mówi Szczęsny. — Krzyku, wrzasku, śmiechu, śpiewu... bez końca. Nie lubię tej kozy, bo jest bardzo płytka, niema nic w niej poważnego.

— Nie każda jest taka poważna, jak Lola, — docina Halina.

Znowu oczy błyszczą, znowu chęć odcięcia się. Więc mówię:

— Nie dziwię się Szczęsnemu, że woli dziewczęta poważne. Wszak pracował już samoistnie i po-

znał wartość myśli i wysiłku. Dla was, dziewczynki, byle gwarno, wesoło to i dobrze. Ale gdy zaczniecie poważnie pracować...

— Gdy pójdę do szkoły, — zapewnia Halina, — nie będzie czasu na zabawy.

— Ucz się, dziewczyno, — zachęca Szczęsny, przybierając poważną minę, — bez nauki daleko nie zajedziesz...

— Ktoby przypuszczał, żeś taki doświadczony, — ironizuje Halina; — jeszcze przed miesiącem musiano cię napędzać do książki. Szósta klasa — nie byle co!

— A zapomniałaś smaku chleba, który przynosił z Kremla? Zdobyty jego własną pracą.

— To drobnostka, — mówi chłopak, a wyraz twarzy jego jest naprawdę poważny, oczy wlepione w dal. — Chleb można wszędzie zdobyć pracą i wytrwałością. Ale nie dla niego pracowałem w Kremlu...

— Więc — aby pomóc bolszewikom? — pytam.

— Nie! — mówi Szczęsny, cedząc powoli każde słowo, jakgdyby się wahał, czy je wypowiedzieć. — Nie miałem zamiaru im służyć. Ale... trzeba było tam być!... Dziś mogę już ojcu powiedzieć... Należałem do organizacji... Było nas kilku... Mieliśmy ważne zlecenia wojskowe...

— Jakie? Wszak nie byłeś w wojsku?

— Mieliśmy wysadzić Kreml w powietrze, — mówi Szczęsny spokojnie, jak zdeterminowany zamachowiec.

Zdrętwiałem. Nie pytam już o szczegóły, rozumiejąc, że tę sprawę trzeba ogadać na osobności. Tu, wśród świadków, ludzi bliżej nieznanych, pod bokiem władz niemieckich mogłoby to mieć poważne następstwa. Przenoszę więc uwagę dzieci na inne przedmioty. A sam myślę:

— Baranowicze, kwarantanna, czarna polewka... Ileż od was się dowiedziałem w tym dniu o własnych

dzieciach! Jakież sądy straszny wydałyście na mnie, żem je zaniedbał, pochłonięty obowiązkami społecznymi. Co mogło być stać się, gdyby spiskowcy, posługujący się dziećmi do swych celów, mieli byli możliwość je urzeczywistnić?!

Zaprawdę ciężka była kwarantanna w Baranowiczach!

IV. Przez Polesie i Podlasie.

Po południu żegnamy Baranowicze. Zapewne ja tylko wywożę z nich głębokie wrażenia. Wielu z towarzyszków wykonywa dziwne ruchy rękami i zapuszcza je w głąb zwojów odzieży. Towarzyszą temu zwykle błogosławieństwa i oznajmienie: pamiątka z Baranowicz! Paru podróżnych dzieli się swymi wrażeniami kulinarnymi. Inni zajęci są jedynie usadowieniem się wygodnym na tłokach, aby pograżyć się najprędzej w stan półświadomości.

Parę sygnałów lokomotywy, kilka głębokich jej oddechów i naraz... spadamy z siedzeń, lub uderzamy się głowami o ściany wagonu. Wstrząs i łoskot jest tak silny, że bydło, które tu jechało, musiało dostać rozstroju nerwowego i stracić ochotę do życia, połączoną z popędami samobójczymi. Przed laty, jadąc okrętem kupieckim z Genui do Neapolu podczas burzy, byłem świadkiem, jak wyzionęła ducha $\frac{1}{5}$ część transporty nierogazizny. Hurtownik, nie chcąc narażać bydła na takie ciężkie przejścia, musiał je pognać wprost na rzeźnię. Może i nasz los będzie podobny?

Jedziemy. Każde uderzenie kół o spojenie szyn to już nie łoskot, jak w wagonach osobowych, lecz wstrząs. Zaczyna się rozumieć różnicę w traktowaniu bydła a ludzi: resory, które uważało się lekko-myślnie jako ot, takie sobie żelastwo dekoracyjne, są naprawdę wyrazem zdobyczy humanitaryzmu. Jeżeli pierwiastki chemiczne naszego ciała mają pamięć

dawnych wcieleń, mogą ocenić postęp ludzkości i jej zdobycze. Taki węgiel, azot, tlen, wodór, które jeszcze niedawno były częściami składowymi wołu, świni, lub barana, a dziś uważają się za część integralną naszych tkanek, przyznają niezawodnie, że lepiej jest człowiekowi, niż bydlęciu nawet... w pociągu. Ale tego prostego spostrzeżenia i wniosku nie są w stanie uczynić nietylko belki i deski, jakimi naładowane są setki wagonów, które właśnie mijamy, lecz nawet ogół ludności Polesia. Do dziś panuje tu zwyczaj krępowania niemowlęcia, aby nie mogło ruszyć rękami i nogami, i tchnąć pełną piersią, i system trzęsienia go w zawieszanej u belki kobiałce, jak w pociągu bydlęcym. Zapewne dlatego to przezorna matka — przyroda nie daje noworodkowi zębów, aby ich nie postradał przy poleskiej metodzie usypiania. Prawdopodobnie i wielu z nas będzie musiało odwiedzić po powrocie dentystę. Będą się przytem uskarżali na... przeciągi w wagonach i na zaziębienie. A kiedy już mowa o ludności Polesia, wartoby, aby jaki badacz stosunków ludnościowych postarał się przeprowadzić równoleżnię pomiędzy tem „okuciem w powiciu” i trzęsieniem w kołysce, a duszą pańszczyźnianą, na której opierał się zawsze każdy carat.

Takie myśli nasuwają się pod wpływem nieustannych wstrząsów wagonu bydlęcego, wielkich poręb leśnych, które mijamy, olbrzymich składów materiałów drzewnych i nieobjętej pustki bezludnej. Kraj był lesisty, bagnisty, poprzecinany rzekami, strumieniami, usiany moczarami i torfowiskami. Nazywał się Polesie, jakgdyby w przewidywaniu, że po lesie pozostaną tylko pnie, gałęzie i wierzchołki, a wody będą mogły gospodarzyć sobie po dawnemu, doprowadzając wszelkie twory roślinne do gnicia i butwienia, hodując na bagniskach miliardy komarów i zimnicę, odcinając człowieka od łączności z ludźmi. Ta kraina,

przecięta linjami kolejowymi, dążącemi do Łunińca, do Brześcia, do Wołkowyska, zachowała wygląd czasów, gdy wszystko na północ od państwa Rzymskiego nazywało się Scytją. Ostatnie wieki panowania to Moskwy nie zmieniły wyglądu Polesia. Przybyło trochę biednych osiedli z chałupami o małych okienkach, strzechach, porośłych mchem, izbach kurnych, obok których mieściły się konie, krowy, nierogacizna, drób pod wspólnym dachem. Wzniesiono staraniem rządu dużo cerkwi o jaskrawych kopułach cybulastych, domy dla popów, urzędników i policji, gdzieś niedzie szkółkę cerkiewną, sąd, więzienie, skład wódki „monopolki”... No i wszystko. Liebhen, was willst du noch mehr?

Dziś zmiany wielkie, kultura niemiecka. Rozszerza się widnokreśl. Najbardziej zawadza las, więc trzeba go wyciąć. Odsłaniają się moczary. Niech schną na słońcu. O rowach, kanałach, śluzach będzie czas pomyśleć, gdy się zagarnie te obszary na stałe. A chwilowo niech chłop ścina drzewa, odrąbują konary i wozi kłocę do tartaka. Kozacy popalili wsie i miasta, zniszczyli zbiory i zasiewy, uprowadzili mężczyzn, bydło i konie do Rosji; ale nie zapuścili się w błota i zarośla, gdzie się ukryła część ludności. Siedzieli tam długo, aż do zimy ze stadami. Taki to już zwyczaj Pińczuka. A gdy ścisnęły mrozy, musiał wrócić na pola i do wsi, jeśli ocalały, albo zamieszkać w dawnych okopach i lepiankach. Doskonałe schronienie dla tego brudasa, kołtuniarza.

Tak rozumuje nowy okupant. I ma ze swego punktu widzenia słuszną podobnie, jak plantator, kupujący murzyną. Czyż bowiem włościanin z takiej Dywińszczyzny, przenoszący się na całe lato do późnej jesieni w nieprzebyte dla człowieka kulturalnego błota, hodujący tam stada bydła i koni i przygotowujący dla nich wielkie zapasy grubego siana i wyszaru,

włóścianin, mieszkający w lepiance, żywiący się chlebem, jagodami, grzybami i mlekiem, odziany zawsze w kożuch, obuty w sandały z łyka, brudny, ciemny, strawiony przez zimnicę, pielęgnujący wstrętny kołtun, jako amulet przeciw chorobom, czy może ten dziki człowiek pojąć wysoce kulturalną działalność nowoprzybyłego władcy?

Przypominam wiele opowieści mego teścia o polesiakach. Jedną — bardzo charakterystyczną. Pan Czarnecki z Lubieszowa nie zastał swego powozu na stacji w Juchnowiczach. Najmuje więc wóz chłopski. O parę wiorst od stacji doganiają go żydzi, przepraszają jaśnie pana i żądają zwrotu maźnicy (pendzel do smarowania kół). Chłop oświadcza stanowczo, że jej nie brał, Żydzi przeszukają wóz i nic nie znajdują. Kiedy ujechali kilka wiorst, pan C. pyta chłopca: — ukrał, czy nie ukrał? — Ukrał, prosze jaśnie pana, ale i dobre schował. — A gdzie ty schował? — Chłop skrobie się w potylicę i mówi: — żyd czortaby zjył, a nie naide... W pańsku walizu.. Pan otwiera pospiesznie walizkę: garnitur balowy, koszule webowe i inna zawartość wypeckane doszczętnie dziegciem. A chłop promienieje radością: — a sczo, czy by naszol? — Maźnica warta była z 10 groszy.

Kultura Polesia, związana z błotami i charakterem roślinności, odróżnia się bardzo wydatnie zarówno od zachodu, jak i wschodu. Po zniesieniu pańszczyzny chłopci dostali duże nadziały, dochodzące do 24 dziesięciu (46 morgów). Było na czem gospodarzyć, choć ziemia jest naogół piaszczysta i torfiasta. Ale pokolenie trzecie doszło w drodze podziałów do kilku morgów, a następne, — do paru zagonów. Córki nie otrzymują już wiana w postaci ziemi, lecz „groszy,” albo konia, krowę i trochę pościeli i przyodziewka. Po zmarłym chłopie dziedziczy nie wdowa, lecz jego rodzina. Widziałem, jak

wyrzucono z chaty i z ziemi wdowę, której ostatnie dwunaste dziecko umarło. Jestto prawo zwyczajowe, na które nie poradzą żadne sądy, bo najwyższym sędzią jest w takich razach zemsta, nieraz podpalenie, od którego może zginąć cała wieś. Los rodziców, niezdolnych do pracy na roli, jest opłakany. Muszą „odpisać“ ziemię na synów, a sami ida „na wycug,“ albo na „żebry.“ Dziewczyna, nie posiadająca ziemi, a przynajmniej inwentarza, zostaje starą panną, choćcy była pięknego oblicza. Zresztą zdarza się to rzadko: u kobiet spotyka się dużo cech mongolskich (policzki wystające, oczy nieco skośne, nos płaski, wzrost niski). Najwięcej danych do zamęścia ma wdowa z ziemią i inwentarzem. Wdowiec rozgląda się już na pogrzebie za nową gospodynią i sprowadza ją nieraz do siebie, odkładając formalności ślubne na później. Swoją drogą nie spotyka się na wsi prawie zupełnie nierządu i dzieci nieślubnych, chyba w pobliżu miasta, albo, zwłaszcza dawniej, dworu, gdzie przechowało się w pewnej postaci „jus primae noctis.“

Wpływ popa na wieś był przed wojną doniosły. Ojcowie pamiętali jeszcze unję i wiele kobiet posługiwało się zachodnimi dewocjaljami. Ale młodsze pokolenia pogodziły się już zupełnie z prawosławiem, które przemawiało do nich nie tylko jaskrawością barw i wystawnością nabożeństw, lecz i mnogością świąt i postów. Kontrola na ich przestrzeganiem była tak ścisła, że chłop nie wyruszył po siano lub zboże w pogodny dzień na Iju (Eljasz), lub Hanę, przeświadczony, że porazi go piorun z jasnego nieba, jak o tem zapewnia pop. A w okresie najgorętszej roboty w polu chłop ledwo trzymał się na nogach z powodu rozmaitych „piotrówek,“ „spasówek,“ „pilipówek,“ wśród oraz piątek przez cały rok. W te dni umartwienia chłop jadał tylko chleb, o ile

nie zbrakło go na przednówku, kartofle, cebulę i kwas. Obrońcy postów dowodzą, że są one korzystne dla ustroju, przeładowanego mięsem. Otóż polesiak widywał mięso raz na rok, a nacodzień zadawał się kartoflami, krupnikiem bez okrasy, trochą mleka i twarogu, czasem ogórkami, jagodami. Nie było właściwie poczem stosować tego postu. Bo też miał on znaczenie zupełnie inne: była to tasama pańszczyzna, lecz nie na „pańskim,” a na popim i carskim gruncie. Chłop nie powinien przyzwyczajać się do dobrobytu i wygod, by nie zapragnął wydobyć się z położenie niewolniczego, będącego podwaliną caratu.

Ta polityka rządowo-cerkiewna przenikła cały byt chłopca. Nawet ten, który przesiedział kilka lat w Ameryce, wracał do dawnych porządków na swym zagonie, ponieważ środowisko i pop nie dawali mu spokoju. Do jakiego stopnia był silny ten wpływ wskazuje badanie w pińskim sądzie zabójcy: — Czemu zabiłeś żebraka? — pyta sędzia.

— Dla groszy,—odpowiada bez wahania chłop,— nałaz sorokiwku.

— I pewno ją przepiłeś?

— Zołotówku popił...

— A za dziesiątkę kupiłeś kielbasy?

— Nie, panie, była piatnica, (piątek).

W całym stosunku cerkwi do życia było tylko skrępowanie formalistyczne i brak idei, mogących mieć wpływ na podniesienie kultury i moralności. Tą formalistyką przesiąkło życie Polesia, jak cesarsko-królewski urząd austriacki. Oto do dworu w K. w Pińszczyźnie, w którym kwitło nieustanne karcjarstwo, pijaństwo i rozpusta, dostarcza faktor żyd, kilkanaście dziewcząt, zwerbowanych pod cerkwią po spowiedzi, mających nazajutrz przystąpić do komunji. Jeżeli szkoła, pop, wreszcie matka nie umieli zaszczepić tym dziewczętom zasad i zrozumienia obrzędów, zna-

czy, iż było to dla tego środowiska zbyt oderwane. Pińczuk żył na początku XX wieku życiem wczesnego średniowiecza. Nawet ten, który był „w moskalach” (służył w wojsku), powracał bez rozszerzonego światopoglądu, chociaż przywdziewał moskiewką „rubachę” (koszulę), czapkę z daszkiem i przywoził szereg obcych zwyczajów.

Stan zdrowotny ludności przedstawiał się fatalnie: rozwój cielesny upośledzony, mała odporność, duża zachorowalność i śmiertelność. Zwłaszcza zimnica szerzyła się nagminnie. Zwalczali ją znachorzy przy pomocy sposobów czarodziejskich, wyzyskując ciemnotę. Środkiem leczniczym był między innymi... kołtun, który był w oczach ludu nietykalny. Napróżno namawiałem chorego, aby usunął zbitą masę włosów, okrywających głowę w postaci twardego pancera, gdzie gnieździły się miliony wszy. Lud był przekonany, że kołtun ma siłę magiczną wyciągania choroby i unieruchamiania jej w swych splotach. Śmiałek, któryby ważył się usunąć go, będzie napewno połamany, pokręcony, porażony. Z siłami tajemnymi trudno walczyć. Nie pomogły dowody, jakie dawałem chorym, że po zdjęciu kołtuna wystarczy okryć głowę watą przez kilka dni, aby nie zmieniać zbytnio ukrwienia mózgu. Wiara w nadprzyrodzone własności tego świadka niechlujstwa miała w sobie cechy „sacro-sanctum” (nietykalny). Troską rodziny w czasie choroby było przyspieszenie zwinięcia się kołtuna. W chorobach gorączkowych, mających parotygodniowy przebieg, w ciągu których chory nie posługuje się grzebieniem, zabicie się włosów w jedną masę jest możliwe. Gdy ono nastąpi, zjawi się już zazwyczaj kryza, a to uważane jest za przyczynę wyleczenia. Natomiast przy ostrym przebiegu choroby (np. zapalenia płuc, mózgu, gardła), gdy chory umiera w pierwszych dniach,

uważa lud za przyczynę śmierci to, że kołtun nie zdążył się zwinąć.

Tak wyglądał lud. Obywatelstwo miało również, cechy właściwe. Wiele majątków polskich skonfiskowano podczas powstania a dobra klasztorne i kościelne przeszły na rząd. Ale dużo ziemi polskiej przegrano w karty, przepito i prze hulano. Przędowała w tym względzie Pińszczyzna. Wprawdzie sprzedaż ziemi moskálowi uchodziła za przestępstwo, bo Polak był pozbawiony prawa jej kupna na całym obszarze t. z. kraju południowo-zachodniego; jednak było sporo sprzedawczyków, a ogół obywatelstwa jęczał pod długami żydowskimi i w rozmaitych bankach ziemiańskich, zwłaszcza w Tulskim i Wileńskim. A byli to obszarnicy, posiadający setki i tysiące włók ziemi, łąk, lasów, istne księztwa udzielne. Gospodarka polna podobno nie opłacała się, ponieważ Wołyń i Podole dawały ziemiopłody taniej. To też zaprowadzono przemysł rolny, zwłaszcza gorzelnie, krochmalnie i hodowlę bydła. Gorzelnia dawała dochodu parę kopiejek od wiadra wódki i wywar dla bydła. Aby podnieść ten dochód urządziło się dla władz akcyzowych polowania i przyjęcia, a za to zegar kontrolujący wódkę był ustawiany... łaskawiej. Tak nawiązywało się stosunki naprzód urzędowe, potem towarzyskie z czynownictwem. We dworze rozbrzmiewała coraz częściej mowa rosyjska. Nawet niekiedy oddawało się synów do... korpusu kadetów, a córki do instytutu Maryjskiego, bo wykształcenie ich wypadło wtedy bardzo tanio.

Wprawdzie spotykało się i dwory obywatelskie, prowadzone w duchu szczerze polskim, gotowe raczej znosić szykany i nadmierne ciężary materialne, niż wpuścić czynownika poza próg kancelarji. Ale ogół pogodził się już z okupantem. Kiedy zaś po rewolucji 1906 r. zniesiono kontrybucję „za powstanie,”

ściąganą przez ostatnie lata nieprawnie, i kiedy car pozwolił nabywać ziemię Polakom od Polaków, nastrój względem cara stał się przychylny. Jego wyrazem była między innymi odezwa hr. Milewskiego do tronu, zapewniająca o zupełnie wiernopoddańczych uczuciach ludności polskiej, która pragnie pracować dla wielkości Rosji i prosi jedynie o pozwolenie wyznawania wiary katolickiej! Z podobną odezwą wystąpił i drugi arystokrata. Głosy obywatelstwa podzieliły się; większość wypowiedała się w duchu odezw, przekonana, że co innego poezja, a co innego życie.

Obywatelstwo rosyjskie posiadało przeważnie majątki skonfiskowane, sprzedane im tanio, lub darowane. Gospodarka była tu prowadzona naogół nieumiejętnie, a dwory urządzone wspaniale i życie w nich wystawne. Tylko pojedyncze majątki, np. Zakoziele hr. Bobryńskiej, postawione były pod względem kultury i urządzeń na wysokości zadania, jednak nie dawały właścicielom dochodu skutkiem wadliwej administracji.

Duchowieństwo katolickie pozostawało pod ścisłym dozorem. Położenie jego było niewątpliwie uciążliwe. Jednak wielu księży przystosowało się do tych warunków i żyło nawet w stosunkach zażyłości z popami i innymi dozorcami, dbając przeważnie o swe potrzeby doczesne.

Nie będę wytykał ich wad i braków, uwydatnionych naogół silniej, niż w innych dzielnicach. Podkreślić jednak muszę, że jego stanowisko i zachowanie się nie przyczyniło się do podtrzymania polskości wśród wyznawców.

Najmniej sympatyczni byli żydzi, Dobrze znane cechy litwaka: krzykliwość, aragancja, nienawiść do wszystkiego, co polskie i rosyjskie, połączona z nieustannym prowokacyjnym posługiwaniem się językiem państwowym wśród Polaków, stałe nastawienie w kie-

runku afer podejrzanych, szacherek, zatargów z setką artykułów kodeksu karnego, nie mogły usposobić nikogo przychylnie względem tej ludności. Swoją drogą każdy dwór miał swego pachciarza i szereg pośredników w miastach. Sąsiad nie sprzedał sąsiadowi konia, krowy, świni, kartofli bez pośrednictwa żyda dla tej prostej przyczyny, że ostatniego można było zwymyślać za zawód, nie przyjąć od niego towaru, nie zapłacić pieniędzy, a sąsiad uważał sobie za punkt honoru, aby nie wywiązać się należycie z umowy. Ale w miarę bogacenia się żyd nabierał innego tonu i cisnął niemiłosiernie dziedzica.

Rząd rosyjski gnębił żydów, zabraniał im mieszkać po wsiach, chętnie wysyłał ich za Bug, nawet z granic państwa. A żyd odwzajemniał się zato. Więc wywoził chłopów w wieku poborowym do Ameryki, poił włościan i urzędników wódką, wykonywał przeróżne transakcje na szkodę skarbu i ludności i prowadził agitację przeciw rządową. W Pińsku liczącym podczas rewolucji 1906 r. 40,000 żydów, zdołali oni przeprowadzić agitację socjalistyczną nawet wśród miejscowej załogi kozackiej. Był to triumf nielada. Wytworzyła się groźne położenie, gdy kozacy, najpewniejsza podwalina tronu, odmówili strzelania do manifestantów, ciągnących pochodem ze sztandarami i pieśniami rewolucyjnymi.

Tak wyglądał przed wojną ten kraj błot, lasów, puszczy, ciemnoty, dzikości, kołtuna.

Cóż zmieniła w nim wojna? Zniszczyła, wyludniła, spaliła, zrabowała. Bo i cóż mogła była więcej uczynić?

„Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczem jest klęska wiosek, albo grodów:
Cała kraina w mogiłę zapadła!
Ach! kto litewską duszę mógł ochronić,
Pójdź do mnie, siądziem na grobie narodów,
Będziemy dumać, śpiewać i lzy ronić...”

Otak: patrzę na grób grobów... Było tu cmentarzysko kultury, ziemia martwoty, muzeum średniowieczne z jego bezdusnością, formą i formułą, w którą był wtłoczony człowiek, skrępowany od powicia i trzęsionny na uspokojenie i na sen. Spał. A sen jego był trwarty i ciężki. Snił mu się obuch karbowego, pańszczyzna pańska, popia, carska, straszło go widmo głodu, chorób, bezsilności, bezprawi i wyzysku, poboru w moskali, wojen krwawych, skąd się nie wraca zgoła, albo wraca kaleką. Momentem jasnym w tym ciężkim, wiekowym śnie był błogi stan zapomnienia, jaki dawała wódka, i nadzieja wyrwania się do Ameryki na ciężką pracę, wyciągającą wszelkie siły, lecz dającą wzamian dolary i ładną odzież, dobre jadlo, inne obejście i dużą wiedzę. A jednak na obczyźnie nie każdy mógł wytrzymać. Tęsknota gnała go z powrotem do martwoty, biedy, poddaństwa. Dolary przechodziły prędko do żydów, a dawna niedola wracała bez nadziei na lepsze jutro.

I oto dzisiaj patrzę na to cmentarzysko. Jego rzeki płyną ospale, ich brzegi nieujęte tworzą rozległe rozlewy, porośłe trzciną, tatarakiem i krzewami; liczne jeziora, stawy, sadzawki, zapatrzone swą gładzią w błękity, zdają się pytać ich o swój przyszły los; nad bagniskami unoszą się roje komarów i much w zaroślach gnieźdzą się stada kaczek, gęsi i wszelkiego ptactwa, w lasach mają swe kryjówki wilki lisy, niedźwiedzie. Tak było tu od wieków. Tylko lasy osłaniały te przestrzenie nietknięte przez kulturę. Nie było na nich człowieka, a jeśli był, podporządkował się przyrodzie a nie nagiął jej do swych potrzeb, był nieśmiałym gościem, zamiast być pewnym siebie gospodarzem.

A dziś nie widać go zgoła. Jego osiedla znikły z powierzchni ziemi. Na zgliszczach rozrosły się osty i pokrzywy, a ślimak, wynurzywszy swe cielsko oślig-

łe ze zwiniętej skorupy, rozgląda się ospale po swem królestwie i pełnie w poszukiwaniu zdobyczy. Gdzieś-
nigdzie ślady zburzonej budki dróżnika, stacji kolejowej, tam sterczą zgliszcza dworu, gorzelnia, para kominów każe przypuszczać, że była kiedyś wieś... Lecz oto okopy, otoczone drutem kolczastym, a w nich...

Co to jest? Z jamy w głębi rowu wychodzi postać ludzka: twarz blada wzrok ponury, długa broda i włosy zbiły się w kołtun, wytarty kużuch pokrywa jego ciało, łapcie z łyka umocował łachmanami. Przeciera oczy, patrzy na wlokący się pociąg. Potem skrobie się w potolicę i rozgląda, jak ten ślimak, który wylazł ze skorupy...

Zaprawdę! Niemasz różnicy między niemi. Chyba ta, że jeden mierzy kilku centymetrów, a drugi 165, jeden waży jakie 50 gramów, a drugi z 50 kilo... A skorupa? Wloką ją za sobą obadwaj. Tylko że ślimak wytworzył ją sam z własnych tkanek, a temu dwunogowi nałożył ją carat i nie zdjął jej nowy okupant.

A oto i nowe okopy i podobne w nich lepianki. Dookoła jakieś zagony, czy grządki, zasadzone kartoflami. Zamorusane dzieci w obdartych koszulach spoglądają w stronę pociągu. Zrodziły się w tych lepiankach i nie zdają sobie sprawy, że poza niemi istnieje jeszcze świat. A cóż się dzieje tam wdali od linii kolejowej, od drogi kołowej? Całe Polesie jest dziś królestwem ślimaka, który patrzy ze zdumieniem na najeżdzcę, trzebiącego lasy i rabującego zasoby rolne. Nie widać dotychczas człowieka, który umiałby i chciał zaprodukować dorobek, zdobyty mozolnie przez tysiąclecia. Sądzi on zapewne, że niewarto występować przed pustą widownię, i że dzikusy nie poznają się napewno na jego zdobyczach. A jednak ktoś musi zacząć tu tę robotę, bo inaczej kraj zamieni się w nieprzebyte trzęsawisko. Z kanałów

Królewskicich, przeprowadzonych tędy jeszcze w końcu osiemnastego wieku, pozostały tylko ślady. Polska usiłowała wydzwignąć Polesie ze stanu dzikości. Lecz sama pogrążyła się w trzęsawisko; zaś okupanci uznali za korzystniejsze zaniedbać kanały Królewskie i podtrzymać tylko kanał Ogińskiego, aby nie przerywać łączności Niemna Dnieprem.

Przejeżdżamy właśnie przez rzekę Szczarę, lewy przyływ Niemna. Most żelazny leży połamany i zardzewiały w jej nurtach. Prześlizgujemy się powoli po moście z kłoców drzewa, które uniosą pierwsze roztopy wiosenne i pierwszy przybór. Zabiorą, to zrobi się nowy pomost z drzewa, którego jest pod dostatkiem. A żelazto niech się płóczy, dopóki nie zostanie ustalone, kto tu będzie panował. A Szczara korzysta, że jest to teraz królestwo ślimaka: więc zagarnęła nieobjęte przestrzenie, jako zapas na okres wylewu. Chwilowo rośnie sobie tam sitowie i trzcina, gnieździ się ptactwo. Niech więc nikt nie gderze, iż niema tu życia. Potem wcieli się te rozlewy do rzeki; będzie szersza. Wszak na południowschodzie łączy się z jeziorem Wygonowskim, przez które przechodzi kanał Ogińskiego do Jasiołdy. Musi więc posiadać zapas wody dla niego, aby się nie powstydział kanału, łączącego Muchawiec z Piną. Są one dziś nieczynne, bo koryta i śluzy uległy zniszczeniu. A zresztą co ma teraz Niemen i Bug wspólnego z obcym mu Dnieprem? Skończył się przymus moskiewski; dziś, jak ongiś:

„Wilja gardzi doliny kwiatami,
Bo szuka Niemna, swego oblubieńca...
...Niemen w gwałtowne pochwyci ramiona.
Niesie na skały i dzikie przestworza,
Tuli kochankę do zimnego łona
I giną razem w głębokościach morza.“

I co do tego Dnieprowi? Ma on własne zmart-

wienia i kłopoty, własne ukochania i pragnienia. Choćby widok murów Smoleńska i pamiątkowej katedry czyż nie każe mu zapomnieć o obcych wodach Szczary i Muchawca, o dawnej zażyłości z Niemnem i Bugiem, która zapewne została zerwana bezpowrotnie?

Ktokolwiek będzie panował nad Polesiem, musi wskrzesić kanały Królewskie i zbudować cały ich układ. Niech to nie będzie nawet kanał Geteborski, którym można dojechać do Sztokholmu; lecz niech przynajmniej mają dokąd spłynąć te masy wód stojących, które uszczuplają zakres pracy człowieka i pogrążają go w dzikość i martwość. Nowe życie Polesia nie może być oparte na zasadach caratu. Preto wygląd tego kraju musi się zmienić a z nim — i wygląd ludności oraz ich kultura.

Zbliżamy się do Kartuskiej Berezy. Skąd wyruszyłem przed 3-ma laty do Smoleńska. Stacja zniszczona. Dokoła pustka. Dowiaduję się, że zabudowania w Derewnej spalone, a pp. Z. mieszkają w części ocalałej gorzelni. O naszym Dymsku nie wiedzą tutejsi włościanie, bo odległy jest o trzy mile. Żona jest zmartwiona, chciałaby tu wysiąść i sprawdzić stan rzeczy na miejscu. Jednak o opuszczeniu pociągu niemoże być mowy; jest on pod ścisłą kontrolą. Niema też co liczyć na otrzymanie koni: konie wojują, a ludność posługuje się własnymi nogami zarówno do chodzenia, jak i do uprawy roli łopata. Na sprawdzenie, czy wszystko spalone, będzie jeszcze dość czasu. Teraz jedźmy dalej.

Zapada wieczór. Puste przestrzenie, toną w białej mgłę, ścielącej się płachtami nad senną ziemią. W poświcie zachodu, stojącego w różnobarwne wstęgi obłoków, łączących południe z północą, mającą na białych płachtach widma fantastyczne. Tu poprzez las dziewiczy kroczy Grotgerowska śmierć z kosą, czepiając się stuletnich konarów. Tam na roz-

stajach stoi morowa dziewica, powiewając chustą krwawą, dalej błyszczą w krzakach robaczki świętojańskie, a może oczy zgłodniałych wilków... Jakąś tęsknotą wieje od tego obrazu. Dzwieczę mi strofy:

„...Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona.
Idzie samotna dusza polem.
Idzie ze swoim złem i bólem.
Po zbożnym łanie i po lesie,
Wszędy zło swojej swój ból niesie.
I swoją dolę klnie tułaczą
I swoje losy klnie straszliwe,
Z ogromną skargą i rozpaczą
Przez zasepioną idzie niwę...
Idzie, jak widmo potępione,
Gwiżdże koło niej wiatr i tańczy —
W która się kolwiek zwróci stronę,
Wszędzie gościniec jej wygnańczy...“

Towarzysze podróży wyrzekają na chłód. Zasu-
wamy więc drzwi wagonu, Jest zupełnie ciemno, tyl-
ko przez małe okienko w górze wpada trochę blas-
ków zachodu. Moznaby urządzić seans spirystyczny.
O duchy nader łatwo. Obejdzie się bez Racheli
i chochoła. Na nasze wesele zeszłoby gości wiele.
Ci wszyscy, których wywiozły kibitki, i których gnano
w śniegi Sybiru, i ci z legjonu Dąbrowskiego, i ci
z pod Szybki, i ci z pod Cuszyny, i z pod Raszyna,
Pragi, Berezyny... i z legjonu Piłsudskiego. Nasz wa-
gon nie pomieściłby ich wszystkich z czterech stron
świata, choćby z okresu walk o wolność człowieka,
od czasów rewolucji francuskiej, która zbudziła du-
cha swobody, stanowiącej integralną część duszy pol-
kiej. Te widma byłyby straszniejsze od krwawego
Szeli który nie wołałby już: „Dajcie, bracie, kubek
wody, ręce myć, suknie prać... Nie będzie znać.“
lecz rzekłby: — Bracie Dierżyński, bądź mi pozdro-
wiony, żeś mnie zaćmił dziełem czrezwyczajki! — I po-
tworniejsze od targowiczana, którego wzywają ro-
dacy: „Nie żałujta hetmanie kieski, brało się grosik

moskiewski, ej hetmanie, hetmanie Branewski!“ Bo odpowiedziałby im z dumą: — Mój ród nie wyginał. Małoz-to targowiczanie jest wśród was?! Te widma byłyby hojniejsze od dziada z lirą, Wernihory, Przyniosłyby nam nie podkowę złotą, którą gospodyni ukryje w skrzyni, przymawiając: „szczęście swoje się szanuje, światom się nie pokazuje,“ — ani złoty róg, który ściągnie niezdarne Jaśkowi jakiś czort u rozstajnych dróg; lecz pokazałyby nam morza własnej krwi, która była posiewem wolności, i perły myśli i uczucia, któremi olśniewają nas po dziś dzień polscy wieszczowie i uczeni...

Słysząc chrapanie podróżnych i jednostajny łoskot kół. Mrok, chłód, zaduch biorą górę nad widmami przeszłości i majakami przyszłości. Zapadam w stan odrętwienia. I zda mi się, że ten miarowy łoskot jest szumem fal, rozbijających się o piaszczysty brzeg. Dokoła niezmierzone przestrzenie wód szmaragdowych, na których unosi się gdzieś białe grzbiec fali wspaniałej, niby stado owiec, ginące raptem w toni. Tam rysuje się ciemny grzbiec reki-na, pogrąża się i znów wypływa. A wybrzeże, usiane jest muszlami, gwiazdami, skorupiakami, polipami, wodorostami, które zdają się mówić: tak było tu wczoraj; czy dziś nie dało wielkiego postępu?

Ocknąłem się z zadumy. Tak jest! Polesie było dnem Bałtyku. Gdzie dziś ciągną się bory, płyną rzeki, rosną trawy, trzciny, wznoszą się stada ptactwa, była dawniej martwość morza, przelewającego bezcelowo fale, dążące ślepo do pustego brzegu. Czyż to nie wielka ewolucja? Jest ona może powolna, bo ciągnie się setki tysięcy lat. Jednak dokonywa się sama. Świat roślinny toczy walkę zwycięską z wodami. Zepchnął je do wąskich szlaków i zbiorników, odciął od łączności wzajemnej. Ptactwo skorzystało z tego zwycięstwa i zagnieździło się w zaroślach i na konarach, wskazując rybom i płazom swą wyż-

szość biologiczną. Teraz kolej na istotę rozumną, aby dała wyraz swej myśli i swemu zamierzeniu. Już były w tym względzie usiłowania w postaci kanałów królewskich. Jednak carat wolał mieć tu twierdzę wstecznicstwa i ostoję ciemnoty. Więc kanały porosły chwastem trawami i krzakami, a wody zalały wielkie przestrzenie.

Ta kraina czeka jeszcze na człowieka. Ten który ją zaludnił, był tylko ślimakiem, a ten, który ją najechał — tylko rabusiem. Ale musi przyjść tu człowiek nowy, który każe wodom spłynąć do rzek, umocni je w korytach i zapanuje nad roślinnością, rybami, gadami, i ptactwem. I zacznie się tu takie same życie, jak na Mazowszu, które było również kiedyś dnem morza, jednak wcześniej znalazło człowieka, zdolnego zbudzić je do kultury. Może nie-jeden piewca piękna dzikiej przyrody i zwolennik niewolnictwa wzdychać będzie do stanu, jaki się tu utrwalił w ciągu ostatnich dwu wieków. Jednak dążność do postępu stanowi cechę wrodzoną człowieka, więc niemożna wątpić, że ten kraj i jego ludność zmienią swe oblicze.

Nad ranem docieramy do Żabinki. Pozostała z niej tylko nazwa, trochę gruzów, popielisko. Dokoła pustka. Była to niegdyś stacja węzłowa. Z trudnością odszukuję tor, prowadzący na Pińsk. Porósł zieliskiem, a szyny pokryły się rdzą. A jednak przed wojną krążyły tu na zachód pociągi ładowne zbożem, kartoflami, owocami, bydłem, spirytusem, nabiałem, drobiem. Dziś widać tylko belki i deski, czasem wagon masła. A więc okupanci nie zdołali ożywić tej części Polesia.

Przed południem dojeżdżamy do Brześcia. I znowu pustka. Z wielkiego gmachu stacyjnego pozostało tylko parę ścian. Tu była wielka poczekalnia, a u wejścia stał rosły, tęgi portjer, dzwoniąc co

kilkanaście minut i przemawiając tonem profesorskim, „gospoda! pociąg do Mińska, Smoleńska, Moskwy, albo Kobrynia, Pińska, lub: Kowla, Kijowa...” A tam w głębi była ikona, przed którą liczni wyznawcy wybijali pokłony i stawiali świeczki. Tu był bufet, obsługiwany przez tatarów, których władze osadziły na dowód, że na wschód od Bugu zaczyna się... ziemia Mongołów. A w tym miejscu wisiał w pierwszym dniu wojny rozkaz komendanta fortecy, von Lajninga, grożący sądem wojennym każdemu, ktoby się uchylił od jego rozporządzeń.

Muszę zobaczyć, jak wygląda miasto i forteca, która miała stawiać opór wrogowi do ostatniej kropli krwi, nie wypuściła zaś ani jednego pocisku.

Przedostają się poza stację. Główna ulica, prowadząca do fortecy, wygląda, jak Pompea, odkopana z pod lawy i popiołów: gołe ściany z cegieł, resztki spojeń dachów, gdzieniegdzie potłuczone naczynia szklane i fajansowe, szczątki rynien, drzwi, okien...

Skąd to zniszczenie? — pytam przewodnika. — Wszak Niemcy zajęli miasto bez wystrzału.

— To następstwo wybuchów w fortecy. Lajning miał do dzieci nauczyciela niemca. On wysadził fortecę i miasto w powietrze, a potem znikł jak kamień w wodę.

— Carat żył się zabardzo z Niemcami, aby mógł z nimi wojować, — mówią. — A czy robi się co w celu odbudowy?

— Teraz? Miasto opustoszało. Ludność zaledwo zaczyna powracać. Na uporządkowanie tych gruzów potrzeba będzie dużo czasu.

Zbliżamy się do kościoła. Przewodnik wskazuje cmentarz wojenny na miejscu dawnego ogrodu owocowego. Niemcy wycięli drzewa w pień na materiał meblowy. Przy samym kościele usypali długie szeregi mogił, ozdobionych niskimi krzyżami. Każdy grób

ma swój numer. Na wielu krzyżach wiszą wianki z napisami niemieckimi, oznaki wojskowe, gdzieś, stoi tablica z napisami żydowskimi.

Różnojęzyczność i wielowyznaniowość znalazły tu pojednanie na obszarze zmarnowanego ogrodu owocowego. Pośrodku wznosi się sześcian murowany z napisem, że pod tym pomnikiem spoczywa 10.000 ciał nierozpoznanych.

To dzieło Niemców stanowi zaprzeczenie wszelkiej kultury. Wycięcie pięknego ogrodu owocowego dowodzi, że nie spodziewali się tu długo pozostać. Czy nie korzystniej byłoby wywozić stąd piękne owoce, niż drzewo. Miejsce na cmentarz wybrano z pominięciem wymagań sanitarnych, w nizinie, w pobliżu kościoła i osiedli, chociaż opodal znajduje się puste pole, nadające się wzupełności na ten cel. Chodziło więc o zrabowanie co się da, i o dokuczenie ludności.

— Pan sądzi, że Niemcy robią nam tylko takie szkany? Na każdym kroku czujemy ich ciężki but. Pozabierali nam wszystkie wyroby metalowe, zwłaszcza samowary, rondle, klamki, dzwony, lichtarze. Właściciel krowy musi im oddawać mleko, konie pozabierali nam bez pytania, mężczyzn młodszych wywieźli do kopalni, a starszym każą rąbać las, pracować w tartakach, przy centryfugach, wozić towary na stację, kopać mogiły, robić krzyże, usuwać gruzy, murować i budować domy... I gdyby to jeszcze obchodzili się z nami po ludzku, człowiek by się pogodził z losem. Ale oni traktują nas jak niewolników i wyszukują rozmaite sposoby udręki. Oto przerobili cerkiew w fortecy na kino, urządzają tam ucztę i pijatyki, chociaż w cerkwi pozostały obrazy święte.

— Tak odwzajemnili się moskalom za przerobienie kościoła na salę balową i teatralną — powiadam.

— Zapewne moskale zrobili źle, ale zawszeć to nie kino — mówi przewodnik.

— Trudno je było założyć przed kilkudziesięciu laty, kiedy nie było jeszcze wynalezione. Zresztą sądzę, że z biegiem czasu znajdzie ono zastosowanie i w dewocji. Był przecież czas, kiedy walczono o usuwanie obrazów ze świątyń, a jednak potrzeba plastycznego wyobrażenia rozmaitych postaci i wydarzeń zwyciężyła i znajduje swój wyraz w malowidłach, dekoracjach, w jasełkach I obrazy świetlne znajdują tu zastosowanie. Chodzi tylko o wybór tematów do tych pokazów.

— O tak! — woła mój przewodnik. — Żeby pan wiedział, jakie bezceństwa wystawiają oni w tej cerkwi! Że też Pan Bóg nie pokara ich piorunem.

— Nie starczyło by piorunów, aby karać wszystkie nieprawości. Najskuteczniej pozostawić je czasowi, który umie poniżyć dumnych i podźwignąć poniżonych.

— Za długo czekać! Człowiek chciałby ujrzeć własnymi oczami, że jest na świecie sprawiedliwość. Drugie pokolenie już zapomina o krzywdzie.

— Sześć pokoleń zносиło tu jarzmo moskiewskie... I nie zapomniały. Nawet ten kościół, przerebiony na salę balową, nie zagubił pamięci przeszłości, chociaż podzielono go na trzy piętra, wybito otwory na okna i drzwi, porobiono schody i korytarze. Pozostały jednak kolumny, sklepienia, ornamentacje, ogólny charakter budynku, które powiedzą dziesiątemu pokoleniu, jak tu poczynał sobie okupant. Nie powiedzą te mury: „Myśmy wszystko zapomnieli; mego dziada piłą rznęli.”

— Ach, to prawda! — Ile to się tu przeżyło, a człek wszystko pamięta. Wie pan, że w tym przerebionym kościele bolszewicy zawarli z Niemcami pokój? Podpisywał umowę Borenstein-Trocki, który

uwiecznił się napisem na ścianie: „ni mira, ni wojny” (ani pokoju, ani wojny). A w sąsiedniej sali pozbawił się życia wystrzałem z rewolweru Skallon...

— I pan powiada, że te mury nie pamiętają przeszłości?! — wołam. — Ten wystrzał Skallona musiał zagrzemieć hukiem potężnym w salach balowych, a kolumny musiały mówić: — azali to nie nowy kejtan, nie nowy sejm niemy? A echo tego wystrzału dobiegło do Warszawy, budząc radość, że krewny satrapy, który pracował gorliwie nad zniszczeniem Polski, nie mógł przeżyć załamania się carskiej polityki. Bo oto najbardziej uciemienieni przez carat żydzi stoją dziś u władzy i ćwiartują Nielitośnie imperjum, budowane z taką zapamiętałością, okrucieństwem, bezwzględnością wciągu kilku wieków, poprzez morze krwi i ocean cierpień.

Wracam do pociągu pokrzepiony na ducha. Patrząc raz jeszcze na ruiny, recytuję: „Już w gruzach leżą... Brześcia posady. Naród ich dźwiga żelaza; bronią się jeszcze twierdze z nad Buga, ale w okolicy zaraza...”

Czy to zniszczenie jest zemstą dziejową, porachunkiem za krzywdy i okrucieństwa? Czy ten ogród wycięty pod cmentarz i ta cerkiew, przerobiona na kino, są „okiem za oko, zębem za ząb”? Czy też, jak mówi pan senator:

„...cóż w tem strasznego? — wiosną idą chmury,
Z chmur piorun wypada: — taki bieg natury”.

Nie umiem dziś powiedzieć, czy jest tu przejaw łańcucha przyczyn i skutków, czy też jakiś ślepy traf, łudzący fatamorganą porachunku dziejowego. Na teraz cieszy mnie to, że widziałem w gruzach ostoja przemocy, która głosiła, że jest wieczna.

Jedziemy. Most na Bugu, uszkodzony i naprawiony prowizorycznie, mówi tysamym głosem, jak cmentarz wojenny, że panowanie niemieckie nie jest

trwałe, pomimo trzyletniej okupacji. Nie warto więc robić nakładów, z których będzie korzystał kto inny, a wywieść należy wszystko, co przedstawia jakąkolwiek wartość.

Bug zagarnął pod swe posiadanie rozległe przestrzenie, korzystając z tego, że okupanci nie mieli czasu wyznaczyć mu koryta. To też trzciny, tataraki i krzewy rozrosły się tu, jak na Polesiu, a rozlew łączy się z Muchawcem. Mijamy poszczególne forty i pola wojskowe, które spoglądały niegdyś groźnie szeregiem bateryj, strzelnic, nasypów i fos. Dziś panuje tu niepodzielnie świat roślinny, a na gruzach wlecze za sobą ślimak swą zwiniętą skorupę, wynosząc się nad trawy i drzewa, które są niezdolne poruszyć się z miejsca i udają tylko, że są żywe, gdy wiatr wstrząśnie ich konarami i liśćmi.

Oto Terespol. Pozostała po nim tylko nazwa, Lecz i ta może ulec zmianie. Nie mówi się już o gubernji Chełmskiej, bowiem na mocy pokoju brzeskiego ziemie te ustąpiły Niemcy Ukrainie. Rzecz wątpliwa, czy ostoi się ten nowy podział, bo bolszewicy nie uznają samodzielności Ukrainy. Niema dziś komu wprowadzić w wykonanie uchwał. To nie czasy carskie, kiedy urzeczywistniali je czynownicy i popi pod osłoną armji. Ale oni przenieśli się pierwsi w głąb Rosji, nie chcąc powiększać liczby męczenników za wiarę, ponieważ po kanonizacji niejakiego Serafima zapowiedział Mikołaj II, że jest to ostatni święty. Nie warto więc narażać się na prześladowanie i zemstę opornych unitów i bezpieczniej schronić się wśród swoich. Tylko biskup Eulogjusz próbował nowych podbojów w okupowanej Galicji. Jednak doznał zawodu, bo powodzenie prozelityzmu zależy w pierwszej mierze od kalibru i dalekonośności armat, wyćwiczenia, zaopatrzenia i dowództwa armji, a spór o „filioque”, o różnice obrzędów i centralnej władzy duchownej

należy już tylko do średniowiecza, które skończyło się dla Europy środkowej i części południowej, jednak trwa w całej pełni na jej wschodzie. Granica tego wschodu nie jest ustalona. Jedni widzą ją nad Bugiem, inni przesuwają ją aż do Odry. To pewna, że kozacy wygnali ludność Chełmszczyzny na wschód, a opornych potraktowali, jako niezawodnych zdrajców. Niemoże więc być dziś tu sporów teologicznych i nastał pokój duchowy. Czy aby na długo?

Mijamy Chotyłów i Białą. Pamiętam dobrze te stacje. O trzydzieści kilka wiorst od nich leżał majątek Sapiehów. Poznałem tu stosunki ziemiańskie na Podlasiu. Kłopoty pieniężne, trudności gospodarcze, troska nieustanna o zbiory, zasiewy, uprawę, spieniężenie ziarna i bydła, podniesienie dochodu z folwarku pochłaniały całą energię gospodarza. O działalności społecznej trudno było mówić, bo pop, żandarm, czynownik weszli na wszystkie strony. Najwyżej zdarzało się, że panienki z dworu uczyły pokryjomu dzieci czytać i pacierza, a obywatel starał się dobrać parobków katolików, aby nie mieć kłopotu z unitami i prawosławnymi. Przed kościołem w święto stała policja i nie wpuszczała do środka opornych, a kazanie było wygłaszane pod kontrolę władz bezpieczeństwa. Położenie ludu było bardzo trudne, zwłaszcza opornych, których prześladowano, mordowano, więziono, zsyłano na Syberję. Najlepiej było stosunkowo służbie dworskiej, chociaż parobek otrzymywał rocznie 9 do 12 rb. i 9 do 12 korcy ordynarji. Po rewolucji 1906 r. jęczało ziemianstwo na niepomierne wydatki na robociznę. Zaproponowano dla parobków książeczki oszczędności, na które potrącałoby się z pensji 1 rubla rocznie i tyleż miałyby dołożyć obywatel. Projekt ten nie został urzeczywistniony, bo ziemianie uważali go za zbyt uciążliwy. Wielu z nich nie mogło utrzymać się przy majątkach. Część została rozparcelo-

wana, inna sprzedane z licytacji za zaległe raty T-wa kredytowego, przyczem sumy hipoteczne... spadały.

Ten kraj, różniący się od sąsiedniego Polesia wyższą kulturę i niewątpliwie bardziej polski, jęczał pod uciskiem polityki rusyfikacyjnej. Dużo z tych zamierzeń urzeczywistniono. Wojna dokonała reszty. Dwory i wsie są spalone i zrabowane, ludność wypędzona, a pola leżą odłogiem. Tylko w okolicy dawnych stacji kolejowych powstały tartaki, kolejki dojazdowe i wielkie składy materiałów drzewnych. Olbrzymie zaś zapasy drutu kolczastego, toczzonego przez rdzę i rozległe okopy, wypełnione dziś wodą i zarosłe trawą, wielkie wyrwy, spowodowane wybuchem pocisków i gruzy, zgliszcza, popieliska, sterzące samotnie kominy nie nasuwają żadnej wątpliwości, że były tu usiłowania przeciwstawienia się najeźdźcy. A więc nie twierdza Brześć miała być ostoją dla tej dzielnicy, obroną linii Bugu, lecz te płaszczyny, pozbawione wszelkiej przyrodzonej osłony, musiały bronić potężnego Brześcia od najazdu. Pierś żołnierza, okryta szarym mundurem, musiała być fortecą, a potężne mury i nasypy, zaopatrzone w baterje dział, były tylko dekoracją teatralną ku straszaniu poddanych cara.

Na polach Podlasia zapisane są wyraźnie dzieje wojny, wskazujące, jak zawodne były rachuby na twierdzę, niezabezpieczoną całym układem punktów obronnych. Najeźdźca przeszedł szlakiem dogodnym, drogą bitą przez Włodawę na Kotryń. W ten sposób Brześć został okrążony. A po tamtej stronie Bugu nie było już z kim wojować, więc Niemiec zagarnął wciągu paru miesięcy przestrzenie dziesięciokrotnie większe, niż wciągu całego pierwszego roku wojny. Jedyną twierdzą naturalną były teraz nieprzebyte błota Polesia. Wszakże i tu okazało się, że sztab niemiecki posiadał dokładniejsze mapy tej ziemi, niż ro-

syjski, i że nieraz trzeba było umykać na los szczęścia w obawie okrążenia, pozostawiając nacierającym wojskom całe tabory.

Różnica pomiędzy dziejami wojny, zapisanymi na polach Polesia i Podlasia, jest ogromna. Tu widać usiłowania obrony, nieudolne, naiwne w stosunku do techniki wojennej, zastosowanej przez Niemców. Wyrazem tej obrony jest pomnik na cmentarzu wojennym w Brześciu, głoszący o pochowaniu pod nim 10,000 nierozpoznanych żołnierzy. To były te żywe twierdze, których wartość przeceniał carat. Niemcy nazywali te szeregi pogardliwie „kanonenfuter”. Ten pomnik jest słupem granicznym pomiędzy ziemią, która się broniła, a temi nizinami, które ogarnęły fale najazdu, jak powódź, opanowująca tyle przestrzeni, na ile starczy rozlewności wód.

Czy w tej różnicy pomiędzy dziejami Polesia i Podlasia zaznacza się charakterystyka ludności? Sądzę, że nie. Jest to raczej dokument strategii rosyjskiej, która zapomniała, że podstawą zwycięstwa jest nie tylko wyrobienie i orientacja dowódców i karność żołnierzy, lecz i ich kultura osobista. Źle wiadom. Nie wiedziała. Dopiero tu zaczęła się uczyć tych prawd, które był dawno poznał już Kserkses i Krezus. Nauka wypadła z wielkim opóźnieniem i nader kosztownie. I dziś powinna pozostać dla przyszłych władców strasznym: „momento”, że obawa oświaty i zaufanie do ciemnoty, jako najpewniejszej podstawy wykonywania władzy, może dawać tylko pozory potęgi w obliczu uciemionych poddanych. Jednak w zetknięciu się z prawdziwą kulturą rozsypuje się w proch, gdy zjawi się człowiek, jako jednostka myśląca, która zwycięża zawsze nie tylko ślimaka, lecz i wilka, niedźwiedzia, tygrysa i lwa. Już Sofokles opiewał w Antygonie potęgę człowieka oświeconego:

„Siła jest dziwów, lecz nadwszystkie sięga
 Dziwy — człowieka potęgę
 Bo on prze śmiało poza sine morze,
 Gdy toń się wzdyma i kłębi
 I z roku na rok swym lemieszem orze
 Matkę ziemice do głębi.
 Lotny ród ptaków i stepu zwierzęta
 I dzieci fali usidla on w pęta,
 Wszystko rozumem zwycięży,
 Dzikiego zwierza z gór ściągnął na błonie,
 Krnąbrny karktura i grzywiaste konie
 ujarzmi w swojej uprzęży.
 Wynałazł mowę i myśli dał skrzydła
 I życie ujął w porządku prawidła,
 Od mroźnych wichrów na deszcze i gromy
 Zbudował sobie schroniska i domy,
 Na wszystko z radą on gotów ...”

(*Antygona. Przekład K. Morawskiego.*)

— Tak głosił 24 wieki wstecz Sofokles potęgę zdobywcy kultury. Ale moskal sprzyjał ciemnocie średniowiecza, gdzie ta kultura była niszczonej jako pogańska. I chociaż oświecał nas dokładnie co do barbarzyństwa, kwitnącego pod przemożnymi wpływami papieżstwa, chociaż starał się nas przekonać, że światło prawdy i ostoja kultury znajdowały się w Carogrodzie, a nie w Rzymie, jednak zataił przed nami badania uczonych, którzy wyjaśnili już przed sześćdziesięciu laty dzieje rozwoju umysłowego Europy. Myśmy chłonęli te dzieła: Draper, Buckl, Spencer, Darwin byli naszą lekturą, która dźwigała kamień grobowy umysłowości, jakim tłoczyły nas wyjątki z trzeciej deklinacji i 4-ej konjugacji łacińskiej, greckie aorysty, pluskwamperfekty, słowiańskie jusy, titły, teksty, staroruskie pieśni, układane w XIX wieku i wiele rozmaitych innych mądrości.

Ale nasi oświeciciele nie czytali sami Antygony, a jeżeli czytali, to jej nie zrozumieli. A tam powiedziano, że zwycięża kultura. Nawet srogi Kreon mówi:

„Bo niema gorszej dla ludzi potęgi
Jak pieniądź; on to i miasta rozburza,
On to wypiera u zagród i domu,
On prawe dusze krzywi i popycha
Do szpetnych kroków i nieprawych czynów.
Zbrodni on wszelkiej ludzkości jest mistrzem,
I drogowskazem we wszelkiej sromocie...”

Zaufaliście, carowie, zbytńio pieniądźowi, sądząc, że zań można kupić najnowsze zdobycze kultury. Zdawało się wam, że niema potrzeby wytwarzać samemu, skoro można nabyć rzecz gotową od Niemca, a „Niemiec obieżianu wydumał” („wymyślił małpę”), więc zaopatry Rosję we wszystkie dekoracje kultury. I zaopatrywał. Lecz gdy przyszła chwila sprawdzenia ich wartości, okazało się, że Samsonow, szef sztabu okręgu warszawskiego, rozporządzając 88 bataljonami piechoty, 5 bataljonami saperów, 336 armatami 72 szwadronami konnicy doszedł zwycięsko do Działdowa, nie spotkawszy nigdzie oporu. Również zwycięsko posuwał się generał Rennenkampf w stronę Królewca, rabując i pustosząc Prusy Wschodnie. Jednak dwie dywizje Ludendorffa rozbiły dwadzieścia cztery dywizje moskiewskie i wycięły je w pień już w pierwszym miesiącu wojny, pouczając cara, że kupić można błyszczące guziki, szlify, karabiny, armaty, samochody, ale człowieka myślącego można tylko stworzyć. Gdyby Mikołaj II był sam takim człowiekiem myślącym, byłby uderzył się w piersi na początku wojny i rzekłby: jestem nieprzygotowany. Ale wtedy dzieje Europy potoczyłyby się innym szlakiem. Wróciłaby przemoc średniowiecza, oparta na potędze już nie słowa, lecz oręża. A środkiem tej przemocy stałby się Berlin zamiast Rzymu.

Carowie! Stworzyliście człowieka — ślimaka, który nie „wynałazł mowy”, rozporządzając załedwo 300 wyrazami, wśród których daje się słyszeć najczęściej: „chlora”, „mat”, i wyrażenie: „kto jego znaje?”

Ten człowiek nawpół dziki, mieszkający w kraju błot i puszczy, miał stawiać czoło zdobywcy i zwycięzcy świata ożywionego i przyrody martwej.

Tak właśnie za niezwykłego uważał się dzikus, niosący na przodzie swych zastępów wizerunek potwornego smoka, którego powinien był ulęknąć się nieprzyjaciel. I tak właśnie, jak ty, Mikołaju, nie mógł on zrozumieć, jakie to potęgi czarodziejskie, nadprzyrodzone mocne są tego smoka powalić.

Wojna przy całym jej okrucieństwie jest sprawdzaniem kultury. Trudny to i przykry egzamin, gorszy od naszych matur z czasów Apuchtina. Zdają go rządy państw, kierownicy oświaty. I dziś, porównywając Polesie i Podlasie, widzi się w całej pełni, jak daleko było tym rządcom do uzyskania świadectwa dojrzałości.

VII. W pobliżu Warszawy.

Zbliżyliśmy się do Siedlec. Dokoła wszędzie ten sam obraz zniszczenia, walki orężnych, niekrępowanego rabunku, prowadzonego przez okupantów, byłych i obecnych. Jednak spotyka się coraz więcej ludzi, osiedli, pracy na polach, łąkach, w lasach. Tam dymi się z kominów wioskowych. Tu stoją sterty, brogi, stogi, często widzi się kmiotka przy pługu, bronie, kosie. Opuścił głowę, obarczoną myślami, co z tego wszystkiego wyniknie. Szkapina wlecze się leniwo, skubiąc po drodze zielsko i świecąc sterczącymi gnaty. Gleba stawia opór pługowi i bronie twardością skorupy i zwojami perzu i chwastów. A włościanin pogania swego pociągowca, wierny zasadzie, że ziemia musi być uprawiona i zasiana, nie może leżeć odłogiem, chociażby plon miał zabrać Niemiec.

— Widzicie tę krowę, sprzężoną z koniem? — pytam me dzieci. — To wyraz kłopotów włościanina. Niema dość sprzężaju, aby uprawić ziemię, zmusza

więc swą krasulę do pracy w polu, chociaż musi ona prócz tego dawać mleko na potrzeby... nie swego cielęcia, lecz Niemca.

— Biedna krasula! — powiada Grażyna.

— Litujesz się nad nią, bo czy krasula, czy Grażula, to wszystko jedno — dowcipkuje Szczęsny,

— Rodzaj żeński jest wyzyskiwany — oświadcza Halina. — Chłopka karmi swe niemowlęta i musi prócz tego chodzić na zarobek...

— O, jak dawno nie piłam mleczka prosto od krówki — użala się Aldona. — Nie zaprzęglabym jej nigdy do pługa.

— Zaprzęga ją nie chłop, nie mężczyzna, lecz Mus, konieczność życiowa, która każe poświęcić dla ważniejszego — rzecz mniej doniosłą. Najważniejszą jest biologiczna obrona życia. Dla niej niema ofiar. I ten kmiotek ugina się pod ich ciężarem, zadawając się zgrzebną koszulą na grzbiecie, kartoflami z solą i suchym chlebem. I jego żona pracuje za dwoje, i jego dzieci wciągają się od maleńkości do pomocy rodzicom i do zarobku, i jego inwentarz musi się przystosować do tej troski o jutro. Pole musi żyć swem życiem, aby nie zdziczało i nie utraciło swych cech dostawcy energii słonecznej dla człowieka. Temu podporządkowuje się wszystko.

— Zupełnie siusznie — twierdzi Szczęsny. — My mężczyźni pracujemy bez skargi ile potrzeba. A kobiety chciałyby tak sobie bez kłopotu przyjść do gotowego.

— Najbardziej to ty się przepracowujesz — przycina Halina.

— Na kobietę włożono za dużo obowiązków — twierdzi żona. — Co do mnie postanawiam po powrocie wypocząć po tych 4 latach.

— A ja mam zamiar wziąć się odrazu do pracy, choć nie spędziłem ani jednego dnia beczynnie.

Jaka to będzie praca, dziś jeszcze nie wiem, bo stosunki zmieniły się najzupełniej. Jednak bez przekształcania swej energii „in novas formas“ nie umiałbym żyć, Dziś na własnej ziemi, będę jeszcze dwa razy żarliwszy.

Zatrzymujemy się w Siedlach. Stacja zburzona. Jakieś drewniane budynki, sklecone z nieheblowanych desek, pełnią zadania gospodarcze. Otrzymujemy obiad złożony znowu z jakiejś zupki o wyglądzie czarnej polewki. Ale że „darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda“, więc z zamkniętymi oczami łykamy łyżka po łyżce polewkę, przegryzając chlebem. Żona uchyla się stanowczo od jedzenia i odmawia dzieciom. Ja zaś daję dobry przykład rodzinie, powołując się na to, że moskale nie jadają zajęcy, jako zwierząt nieczystych, i gołębi, jako wyobrazicieli Ducha św., jednak chińczycy zajadają owady, włosi — frutti di mare, kałamarnice, ostrygi, a cała Europa pogodziła się już z tem, że mięso końskie jest niemniej wartościowe, niż bydłęce. Niech nasz „chleb nie ma przedwcześnie rogów i niemi nie bodzie“, bo jeszcze niewiadomo, czem będziemy się żywili w Warszawie.

Postój trwa parę godzin. Znowu jest mowa o kwarantannie, czyli zapewne o nowem „rogatkowem“ Przyglądam się miastu. Zmieniło swój wygląd. Pnąjąca nad niem cerkiew straciła swe jaskrawe barwy i jakgdyby przysiadła. A co, „przyszedł na psa mróz“, choć ci się niedawno zdawało, że jesteś:

„...pyramidum altius,

quod non imber edax, non Aquilo impotens
possit diruere aut innumerabilis
annorum series et fuga temporum”

(wyższa od piramid, że cię nie uszkodzi deszcz żrący, wiatr bezsilny, ani niezliczony szereg wieków i bieg czasu).

Około 4-ej pp. wyruszamy w dalszą drogę. Parę

osób, które chciały pozostać w Siedlcach, nie uzyskały pozwolenia, ponieważ pociąg ma być wyładowany w Warszawie. A więc czekają nas jeszcze jakieś niespodzianki. Trudno! Wszakże jedziemy i każda minuta zbliża nas do celu. Przed wojną przybywało się tę odległość w 2 godziny. Niechby teraz jechać 4, jeszcze zdąży się wieczorem do swego domu.

„...Jam jam residunt cruribus asperae
pelles et album mutor in alitem
superne nascuntur leves
per digitos umerosque plumae.
Jam Dedaleo notior Icaro
visam gementis litora Bosphori
Syrtyisque Gaetulas canorus
ales Hyperboreosque compos“.

O tak, lecz jak lkar poprzez pola Hyperborejskie. To są nasze pola rodzinne, piaszczyste, ubogie, zaniedbane, ale naszel! Nie mogę nasycić się ich widokiem. Zda się, znam każdy strumień, każdy gaj, las, drzewo, drogę, ścieżkę,.. Zmieniły się. Ale i ja się zmieniłem. I one mnie nie poznają. To pewna, że oboje nie daliśmy się złamać, pozostaliśmy sobą. Więc prędzej, czy później odżyjemy dawnem życiem.

Lecz oto zaczyna się pas letnisk podmiejskich: Mrozy, Nowo-Mińsk, Dębe Wielkie, Miłosna... Rojno było tu niegdyś w porze letniej. Na każdy pociąg wylegały na stację tysiące ludzi, zwłaszcza żydów. Tak zwane świeże powietrze nasuwało wówczas poważne wątpliwości, czy nie jest aby tylko nazwą bez treści. Jednak letnicy cenili sobie bardzo pobyt tutaj ze względów zdrowia i swobody. Coprawda rozporządzenia rosyjskie zabraniały żydom mieszkać na wsi; mogli się oni osiedlać tylko w miastach i miasteczkach. Toteż wielu letników miało trudności z władzami. Ale na nie był zawsze niezawodny plaster kojący w postaci... brzęczącej, lub szeleszczącej monety. Że jednak stosunki prawne musiały się układać nie od wy-

padku do wypadku, lecz stale, zaczęła się rozbudowa miasteczek podmiejskich, które zaludniały się, przeważnie na lato w taki sposób, że stały mieszkaniem przenosił się do jednej izby, a drugą ustępował letnikom. Był tam świeże powietrze! Ponadto kilka osad uzyskało przywilej zamieszkiwania przez żydów.

Dziś te letniska opustoszały. Wiele z nich uległo zniszczeniu, w innych drzwi i okna pozabijano deskami. Najbardziej zaważył tu brak połączeń pociągowych. Każdy wyjazd z miasta wymaga pozwolenia, a pociągów podmiejskich niema zgoła. A więc Warszawa była pozbawiona wciągu trzech lat ostatnich letnisk, dających przynajmniej części ludności możliwość usunięcia się od kurzu, dymu, łoskotu, braku słońca. To utrudnienie musiało odbić się fatalnie na zdrowiu mieszczuchów. Nowi okupanci mówią więc do żydów językiem króla Roboama, gdy zjawili się u niego posłowie, prosząc o ulżenie ciężarów, włożonych przez Salomona: „Najmniejszy palec mój mięszy jest, niż biodro ojca mego. Przetóż teraz ojciec mój kładł na was jarzmo ciężkie, ale ja przydam do jarzma waszeg ; ojciec mój karał was biczykami, ale ja was będę karał korabaczami”. Tak doradziła młodemu królowi „rada młodzieńców, którzy z nim wzrosli, a którzy stawali przed nim“, chociaż „rada starszych“ była za przychyleniem się do prośby. Pytanie, jak wyjdą Niemcy na tych młodych doradcach. Zapewne nie lepiej, niż cesarze rosyjscy na prześladowaniu żydów, którzy dziś sprawują władzę nad swymi wczorajszymi ciemlężcami.

Na zachodzie widnieje Warszawa! Widzę ją w całej rozciągłości, spowitą w obłokach dymu i kurzu; przez ich zwoje przebijają się wieże i kopuły. Tam katedra św. Jana, tu kościół św. Krzyża, Bernardyński... A czemu cebule na Placu Saskim nie błyszczą? Czyżby resztki złota z kopuł znikły już

w ciągu wojny? Wszak dzwonnica miała być widzialną na całą Polskę, miała ośniewać swemi blaski przybysza ze wschodu, który powinien pod jej wpływem czuć się tu, jak w matuszce Moskwie, a podróżny z zachodu miał przekonać się naocznie, że jest to ziemia rosyjska. Czemu te kopuły nie błyszczą? Niebo jest błękitne, słońce pali, chociaż chyli się ku zachodowi, rozpacza blaski, odbite od dachów szklanych i szyb. I tylko kopuły soboru zdają się nie wiedzieć, że jest jeszcze dzień. Czyżby pograżyły się w żałobie, okryły kirami po minionej niedawno przeszłości?

Dzieciaki promienieją radością. Nasza kochana Warszawka! Tu pamiętny Grochów... Tam srebrzy się Wisielka... Tu robiliśmy wycieczki do Anina, Międzyrzyna, Ząbek, Jabłonny, Bielan... Będziemy chodzili znowuż, wszak prawda?

— Będziemy, napewno! — obiecuję dzieciakom.

— Ale teraz i mnie weźmiecie, — zastrzega Aldonka.

— Ma się rozumieć! A czy to nie chodziłaś sama na Sucharowkę i z nami poza Moskwę, czy nie odbywałaś dzielnie dużych podróży do Sarapula, do Suchony?

— Ale i mamusię weźmiemy, — mówi Aldona, tuląc się do matki.

— Kiedy mamusia nie przejdzie 3—4 mil na dzień, jak my, — powiada Grażyna.

— Ja tam nie będę miała czasu na takie wycieczki, bo pójdę do szkoły, — zastrzega się Halina.

— Trzeba będzie sprowadzić z Dymska rower, — planuje Szczęsny.

— Jeszcze wielkie pytanie, czy Niemcy pozwolą nam wyruszyć za miasto? A co się tyczy roweru, napewno nie pozostało po nim nawet wspomnienie. Czy was nie cieszy bardziej to, że dostaniecie się do

własnego mieszkania, że będziecie miały własne łóżka, jadają przy stole, miały rozmaite wygody...

— Co tam człowiekowi potrzeba! — oświadcza Grażyna.

— A bez ciastek wytrzymacie? — zaczepia Szczęsny.

— Ty nie wytrzymasz bez Loli, — odcina się Halina, — jeszcze wrócisz do Moskwy.

— Dokoła Wojtek, — odpowiada Szczęsny.

Postój trwa długo. Śnać Niemcy chcą, abyśmy się nacieszyli widokiem Warszawy, zanim zobaczymy rzeczywistość. A może postąpią z nami, jak Pan z Mojżeszem, który oglądał tylko z góry Ziemię Obiecaną.

Podróżni zdradzają zniecierpliwienie. Jednak „*vana sine viribus ira*” każe pogodzić się z losem: przewodnik pociągu, każdy konduktor, funkcjonariusz stacyjny są niedostępni i tajemniczy. Nie może być mowy o zajęciu linji, bo pociągów wogóle niema w ruchu. Święci się coś nowego.

Wreszcie ruszamy. Radość jest powszechna. Jednak pociąg skręca na wschód i zatrzymuje się na Targówku. Widzimy teraz całą Warszawę, jak na dłoni. Wisła płynie spokojnie, jak gdyby nigdy nic nie zaszło. Wody jej są szare, ani śladu czerwieni, która broczyła nad jej brzegami. Spłynęła ona do toni morskiej i zaginęła w przepaściach zapomnienia. Któżby się dziś rozczulał nad temi wodami? Dziś są tu, jutro tam, potem w chmurach i obłokach, wydane na łaskę wichrów. Nikt ich nie pyta, czy przyjemniej im odzwierciadlać brzegi Mazowsza, czy łąki Nadniemeńskie, czy skały i fjordy Skandynawskie, dym i parę, buchające z Wezuwjusza lub Etny, czy ruiny Kartaginy, Syrakuz... Wieczni tułacze, wieczni wędrowcy, ciągniecie poprzez przestworza ziemi, pochłonięci tylko sobą, głusi na wszystko, co was otą-

cza. Oto i ja tułacz wracam dziś do swego miasta rodzinnego i choć z oddali, krzepiąc się jego widokiem, ślubuję mu, że go już nigdy nie opuszczę. A wy powiadacie: widziałyśmy tysiące miast, i tysiące gór, i tysiące lasów, i tysiące rzek, i tysiące jezior, stawów, mórz; przeszliśmy przez miliony skał, miliony ziem, miliony drzew, traw, zwierząt, ludzi, byliśmy tam, gdzie tworzą się stalaktyty, gdzie wietrzeje skała, gdzie węgiel tworzy pokłady, gdzie przeobraża skałę krzemioną w związek wapienny, gdzie krystalizują się pokłady soli, widziałyśmy, jak powstaje komórka, jak się rozwija, jak się rozradza; przeniknęłyśmy tajniki życia, zagadki bytu, porywy uczucia i poloty myśli... I wiesz co? Jaki jest ostateczny sąd nasz o wszechistnieniu, o wszechrzeczy? Nie masz miejsca na ziemi, gdzie warto byłoby zatrzymać się ponad chwilę, nie masz postaci i wydarzenia, któremi godziłoby się obarczać pamięć...

— Dość mam mowy waszej wody bezdusznej! Poznałem was nie tylko wtedy, gdy przy ostatniej naszej wieczerzy moskiewskiej kłębiłyście się zwojami pary, nucąc beznadziejną pieśń wiecznej zmienności i wlewając nastrój bezwładu i gnuśności w serca, przepełnione tęsknotą i upragnieniem. Pamiętacie naszą rozmowę z przed 30 lat, gdy z waszych nurtów wydobyto topielca, młodzieńca, pełnego zapалу do życia. Coście mi wtedy powiedziały? W naszych toniach żyją rozliczne zwierzęta i rośliny i nikt z nich nie skarży się na nas, abyśmy pozbawiły ich życia. Snać ten młodzian był nieudolny, nieprzystosowany do istnienia. Czy temu myśmy winne? Jesteśmy żywiołem, który ma własne cele i daje życie innym twórcom. A że nie każdy umie się zastosować do nas, sam sobie winien. I powietrze, które jest dziś to, jutro tam, nie odpowiada za słabość drzewa, kruchość strzechy, niezdolnych oprzeć się jego naporowi. I węgiel, azot.

tlen, wodór i każdy inny pierwiastek, który jest dziś twoją częścią składową, a jutro wróci do ogólnej skarbnicy przyrody, aby potem przejść w inne wcielenie, czy one są winne, że nie zdołałeś utrzymać ich w składzie twoich tkanek?

Taką samą odpowiedź dał car Mikołaj II, gdy w dzień jego koronacji zadusiły się tysiące moskali na polu Chodyńskim w pogoni za kubkami pamiątkowymi: — tłum, to żywioł, którego niemożna opanować. — I taksamo umył car ręce od wszelkiej odpowiedzialności za tysiące istnień straconych, za tysiące rodzin osieroconych.

A jeżeli chwalisz się, wodo, że przenikłaś skorupę ziemską, tworząc w niej pokłady i powodując jej wstrząsy, jeżeli szcycisz się, żeś poznała tajniki przyrody i zagadki czucia i myśli, wiedz, że tem nie ołśnisz, ani nie przekonasz o swej wielkości. Byłaś i jesteś tylko tą ociężałą kobyłą, która na grzbiecie niosła twórców przemian w przyrodzie, ale sama nie wcielałaś się ani w stalaktyt, ani w pokład węgla i soli, ani w czucia i myśli. Jak tu w rzece, tak i tam wszędzie płynęłaś tylko bezwładnie, ulegając prawu ciężenia. A jeśli wzbiliś się na wyżyny obłoków i chmur, to nie twój polot zaniósł cię tam, lecz potęga strzał Apollina. To też jesteś, wodo, nie tułaczem, lecz włóczęgą, który na wiele rzeczy patrzył, ale mało widział, przenikał w najtajniejsze zagadnienia, ale niczego nie poznał, stykał się z najwznioślejszymi porywami, ale niczego nie ukochał.

Po długim postoju ruszamy w stronę Pragi. Mijamy zgliszcza dawnego dworca i budynków gospodarczych, warsztatów, remiz, składów. Oto Pelcowizna. Po fabryce, gdzie byłem przed 25 laty lekarzem, pozostały ledwo ślady. Ile wspomnień łączy się z tym

okresem! Było się młodym, pełnym zapału i wytrwałości, gotowym zawsze do czynu.

— Czy widzicie, dzieci moje, te słupy? To resztki rusztowań hali fabrycznej. Tu była furta wejściowa, na lewo zaś stała budka drewniana, w której oglądałem chorych robotników. Co piątek wyruszałem rano z domu przy ul. Chmielnej na piechotę, bo tramwajów jeszcze nie było, a dorożki kosztowały za drogo. Dochodziłem do rogatki Petersburskiej, aby zabrać się na bryczkę w towarzystwie robotników, przekupniów i służby. Za 10 groszy dojeżdżało się do Pelcowizny, skąd było już tylko pół wiorsty do fabryki. W braku bryczki przechodziłem całą tę drogę piechotą. Obowiązki lekarskie zajmowały parę godzin. A po ich ukończeniu wracałem w podobny sposób do domu, przeszedłszy 15 do 21 wiorst i straciwszy 5-6 godzin, Zarabiałem 20 rubli miesięcznie, czyli około 75 kopiejek za godzinę. Był to marny zarobek, jednak pozwalał pozostać w Warszawie, bo wystarczał przynajmniej na opłatę komornego. Czasem brnąc przez zasypy śnieżne, goniąc resztkami sił, postanawiałem porzucić te obowiązki. Jednak świadomość, że wypadnie wtedy zerwać z nauką i oddać się wyłącznie pracy zarobkowej w jakim małym miasteczku, nakazywała: musisz wytrwać!

— A czy ojciec nie mógł postarać się o płatne zajęcie gdzie bliżej? Ja zarabiałem w Kremlu za zwykłą robotę 10 rb. dziennie. A przecież doktor, niechby miał paru chorych, mógł już zarobić dużo.

— Inne były czasy. Na zdobycie praktyki trzeba było czekać kilka lat. W dodatku drogi do niej prowadziły przez salony, bale, stosunki towarzyskie, protekcje, blagę, blichtr, ogłaszanie się w kurjerkach, porozumienie z felczerami i rozmaitymi naganiaczami chorych i przez inne ścieżki kręte, którymi gardziłem. Było to niepraktycznie, jednak dawało zadowolenie,

że zawdzięcza się wszystko tylko własnej wiedzy, pracy, sumiennosci, że się zachowało sztywny kark i godność osobistą, nie było tancerzem, wodzirejem, bawidamkiem, elegantem, blagerem, lecz zawsze sobą jednostką myślącą, mającą cel nietylko osobisty, lecz społeczny, narodowy, ludzki. Z dumą mogę się dziś pochwalić, że nie ogłosiłem się ani razu w życiu o wykonywanie praktyki lekarskiej, nie uczyniłem nigdy nic, aby powiększyć dochody zawodowe, a jednak miałem wielu chorych, którzy darzyli mnie zaufaniem. Moje nazwisko widniało tylko na książkach broszurach i artykułach nigdy w dziale reklamy.

— My to wiemy,—mówi Szczęsny,— i za to kochamy ojca nietylko jako nieszego rodzica, lecz i jako człowieka.

— I jeszcze jedno wam powiem, patrząc na te rumowiska fabryki, która była przez 10 lat podstawą mojego bytu materialnego. Bywały tygodnie, gdy jadło się obiad raz na kilka dni. Ale nie było wydarzenia, abym nie zapłacił we właściwym czasie należności i nigdy nie pożyczałem od nikogo pieniędzy. Trzeba się stosować do tego, się posiada, a nie sztukować dzisiaj jutrzejszemi nadziejami, które często zawodzą.

— Na kapitał obrotowy zawsze można pożyczyć, — twierdzi żona, — tak postępował mój ojciec i dobrze na tem wychodził.

— Tak postępowało całe polskie obywatelstwo i wielu z nich potraciło majątki na korzyść pachciarzy i faktorów. Kapitał obrotowy, powinien utworzyć się z oszczędności. Kiepski jest zarządca, który zaczyna rok od pożyczki, a kończy go na spłaceniu długu. Taki warsztat pracy nie może się rozwinąć, więc musi upaść.

— Mówi się o oszczędności, a uprasza się skąpstwo, — zaprzecza żona, — kto ma, powinien użyć, nie żałować sobie i innym.

— A kto nie ma? — pytam.
— Powiniem zarobić, albo pożyczyć.
— Kto nie chce zginąć, musi żyć z jutrem, czyli zużyć tylko część dochodu, a resztę odłożyć.

— Nie wierzę w odkładania! Czy mało pieniędzy pozostało ci w Moskwie, mało straciłeś u ludzi? Najlepszą lokatą kapitału jest ziemia, dom.

— Ta fabryka na Pelcowicznie, te zniszczone miasta, osady, dwory, wsie, lasy, ogrody, pola potwierdzają ten pogląd w zupełności. Powiesz—wojna. To ten sam czynnik, który uwieził oszczędności gotówkowe i zmniejszył ich wartość. Nie spieram się o to, czy lepiej jest włożyć kapitał w nieruchomość, czy obracać nim osobiście, lub przez bank. Jednak każda wartość powinna się stale powiększać. Rodzic, przekazujący swym dzieciom tyle tylko, ile sam odziedziczył, jest niedołągą, przekazujący mniej — rozrzutnikiem, a nie pozostawiający nic — bankrutem.

— Poco zostawiać spadki, — mówi Szczęsny, — dzieci powinny same dać sobie radę.

— Rodzice powinni sobie uprzejmnić życie, — powiada Grażyna, — my poradzimy sobie same.

— Skończę szkołę — oświadcza Halina, — i pójdę na własny chleb.

— Cieszę się, że liczycie na siebie. To daje duże zadowolenie. Jednak na borykanie się z trudnościami materialnymi traci się nieraz dużo siły i czasu. Pamiętam, jakie miałem trudne warunki po wstąpieniu do uniwersytetu. Było głodno i chłodno. Cóż z tego, że mogę dziś powiedzieć z dumą, że sam sobie wszystko zawdzięczam i że trudne warunki wyrobiły we mnie hart i odporność. Lecz wam chciałbym takiej straty sił oszczędzić.

— Po Moskwie nie boimy się już niczego, — kończy Szczęsny.

Zatrzymujemy się w Jabłonnie. Po krótkich na-

radach z komentantem pociąg zostaje skierowany na kwarantannę. Z poza ogrodzenia drucianego wynurzają się domki drewniane, położone wśród lasu. Mają wygląd porządný, czysty i nieznać, aby były kiedy zamieszkałe. Tu można być spokojnym, że nie nabawi się tyfusu albo czerwonki.

Zapada wieczór. Pozostajemy w wagonach. Snać Niemcy obawiają się wpuścić nas do porządných domów. Spędzamy noc na tychsamých tłomokach. Rannek jest wesoły, słoneczny, południe upalne. Nasz pociąg stoi bez ruchu, czekając na rozkazy. Zjawiają się rozmaici wysłańcy, odbywają się narady, otrzymujemy znowu chleb, herbate, powidła, czarną polewkę. Gdyby nie skrępowanie, zakaz wydalenia się z pociągu i wielka tęsknota do wody i mydła można by to uważać za... majówkę. Ale nasi podróżni wyglądają raczej na hulaków, którzy przepili noc w szynkowni i stoczyli się pod ławy, niż na jednodniowych poszukiwaczy świeżego powietrza.

Około 4-tej popołudniu rozlega się sygnał do odjazdu. Wracamy tą samą drogą. Z poza Wisły witają nas ceglaste mury cytadeli. Znowu postój na rozjezdzie. Most kolejowy. Już jesteśmy na jego grzbiecie. Posuwamy się powoli, ostrożnie. Wisła płynie pod nami, obnażając wielkie mielizny. W dali widać most Kierberdzia ze zmienionem środkowem przęsłem, a na widnokręgu—trzeci most, z którego pozostały tylko filary i przęsła boczne. Na prawo widnieje cytadela. Z jej potężnej budowy pozostały zwaliska. Forty są opuszczone, porośłe krzakami i chwasty. Fosi, bramy, nasypy, kazamaty, tak straszne dla bezbronnego obywatela, przepraszam, dla poddanego, odsłaniają swą bezsilność, niemoc. To miejsce cierpień tysięcy skazańców, setek straceńców powiada, że w jego łonie była zgnilizna, że przeznaczeniem jego była zagłada. Sławny X pawilon przestał być postrachem. Sic

transit potentia regnandi. Sed memoria iniuriae restat perpetua...

Wjeżdżamy w zagrodzenie druciane. Dookoła baraki z desek nieheblowanych, niskie budy o wyglądzie odrażającym. Pośrodku parkan z napisem: „für Herrn“ i „für Fraue“, okalający najpierwotniejsze: doły ustępowe, których zawartość przesiąka do gleby i wód zaskórnych.

Trzeba załatwić rozmaite formalności, przedstawić dowody osobiste, przebyć oględziny niby to lekarskie i wreszcie uzyskuje się kartkę do miasta. Zaparkaniem oczekują dorożki i wozy. Za wynajęcie żądają woźnice po kilkadziesiąt marek, albo tyleż rubli. Ładujemy nasze zawiniątka na platformę. Szczęsny siada przy rzeczach, a my razem podążamy do tramwaju na Muranów.

A więc jesteśmy w Warszawie. Tułaczka skończona. Ostatni jej moment – to ten drut kolczasty okalający ohydne baraki. Już jesteśmy u wrót. Żołnierz niemiecki żąda przepustki. Bierze ją do ręki: czyta, lecz nie spieszy się z otwarciem podwoi... Czeka. Na co? Położenia wyjaśnia się niebawem: marki i ruble są w ruchu i w tym samym tempie wychodzą przyjezdni.

„Ach bierzcie wozy, ach bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo,
Nie róbcie małych sierotami dziątek...”

Niemiec stał się łapownikiem. Te trzy lata zmieniły jego nastawienie duchowe, jego poczucie obowiązku i odpowiedzialność. Te pierwsze wrażenia wskazują, że z państwem bojaźni bożej jest źle.

— Im gorzej tem lepiej, — myślę, wychodząc za wrota. — Zapewnie czujecie, że wasze panowanie nie potrwa długo.

Oglądam się raz jeszcze na ogrodzenie z drutu kolczastego. Wygląda już teraz, jak klatka kanarka: małe, nikłe, słabe. A jeszcze przed chwilą zdało mi się mu-

rem nie do przebycia. Jest to granica pomiędzy wygnaniem, a Ojczyzną, pomiędzy wczoraj, a jutro. I patrzę teraz innem okiem na całą retrospektywę. Jest jakaś mała, pusta, bez treści. Ot: trochę cierpień, niepokojów, pragnień... Zwykły ślak życia człowieka... Ale perspektywa, to jutro, jest pełna tajemniczego piękna, nadziei bezgranicznej!

VIII. Na wolności.

Jesteśmy już poza drutem kolczastym, okalającym ostatni obóz, który nas zapewniał, że świadoma swych celów władza czuwa nad nami. Od tej chwili jesteśmy wolni. Możemy kierować sami sobą, czynić, co zechcemy, byle nie wykroczyć poza obowiązujący kodeks karny i ogłoszone przepisy administracji niemieckiej. Nic więcej...

Dzieci są uszczęśliwione. Nasza kochana Warszawka! Już cię nigdy nie opuścimy! A mnie ogarnia jakaś niepewność, jak w owym dniu, gdy po latach tortur w gimnazjum trzymało się w rękę maturę, aby ją złożyć w uniwersytecie i pytać samego siebie: co dalej? Dalej — swoboda i niezależność! — woła głos tęsknoty do pełni praw ludzkich. Ale poczucie rzeczywistości zaprzecza: — dalej trud i walka, brak i zaparcie się siebie, szukanie dróg, prowadzących do upragnionego celu i błędzenie po bezdrożach...

I dziś ogarnia mnie podobny nastrój. Czy to znużenie trzytygodniową drogą, ciągłymi niespodziankami i zawodami? Czy lęk przed okrucieństwem i nieludzkością Niemców? Czy nastawienie psychologiczne wobec niewiadomego, które każe oznajmić niemowlęciu swe przybycie krzykiem, a starcowi swe odejście — jękiem?

Oglądam się raz jeszcze na drut kolczasty i na wierzeje, które się za nami zawarły. Tak. Tam keniec

diaspory. Tu początek nowego bytowania, pełnego tajemnic, niespodzianek, zagadek. Czy jest się do nich przygotowanym? Czy zdoła się przystosować do nowych warunków, gdy pięćdziesiątka żąda uznania jej praw, jej doświadczenia życiowego i przeciwia się traktowaniu jej znowu jako dziecko, któremu się rozkazuje, albo jako poddanego, któremu mówi się krótko: „Steuer zahlen und Maul halten”?

Otrząsam się z tego nastroju. To nie kabała, nie sennik egipski, ani seans spirytystyczny, lecz upragniona, wyęskniona rzeczywistość. Na wozie leżą wywiezione z Rosji resztki mienia. Przy nich siedzi Szczęsny, który wdał się już w rozmowę z woźnicą i chce wziąć w ręce lejce. My kroczymy za wozem, a mnie dźwięczą w uszach strofy Ujejskiego do marsza Chopina B mol.:

„A wóz ciągną cztery konie, okryte żalobą...
A mnie ciągnie jakaś siła, wlecze mnie za sobą...
...Idę, płynę niby śniący, bez myśli, bez woli,
Tylko w głowie, tylko w sercu coś mnie strasznie boli...”

Ocknąłem się wreszcie z ponurych nastrojów. Rzeczywistość przemawia doniosłym głosem. Kroczymy przez ulicę Pokorną. Czy to zapowiedź nastawienia, jakie nas czeka pod rządami okupantów? O, na to nie zdobędę się napewno. Nie ugiąłem się pod przemocą moskali. Oprą się i tym nowym władcom. Ulica Pokorna jest pusta, brudna, zaśmiecona, domy na niej są obdrapane, zaniedbane. Nie chce się wierzyć, aby władzę wykonywali tu Niemcy. To samo powtarza się w wyższym stopniu na ulicy Muranowskiej. Smietnik! Może jest to wyraz swobód, z których korzysta w całej pełni ludność żydowska, nie krępowana jakimiś tam przepisami sanitarnymi poza temi, które podniesiono do godności prawa objawionego przed pięciu tysiącami lat. Jeżeli tak jest, to swoboda jest najmniej kulturalna.

Zbliża się tramwaj Nr. 1. Dobry dla nas. Wsiadamy. Konduktor mówi łamaną polszczyzną i nie chce przyjąć rosyjskich pieniędzy. Jeden z jadących zmienia ruble na marki i nawiązuje rozmowę w sprawie naszego powrotu, dziwiąc się, że nie siedzimy u bolszewików, gdzie jest znacznie łatwiej, niż w Polsce. Raptem rozmowa się urywa, bo konduktor i jakiś żydek zaczęli się jej uważnie przysłuchiwać. Niebawem też pasażer opuścił wóz tramwaju, widocznie w obawie, aby mu nie kazano się wylegitymować. Po chwili starał się nawiązać rozmowę żydek, dopytując się, co się dzieje w Rosji. Odpowiedziałem mu, że rządzą tam teraz bolszewicy, czyli przeważnie żydzi, i że te rządy przypominają czasy tułaczki narodu wybranego na puszczy z tą różnicą, że niema teraz manny i przepiórak, ale są porachunki w rodzaju Korego, którego z rodziną ziemia pożarła, i pogromy, jak za bałwochwalstwo, gdzie ginęło nieraz po 3000 ludu wybranego. Współbiednik zaprzeczył, by działały się tam takie okrucieństwa. Gotów też mi udzielić rad i wskazówek, jak mam sobie poczynać w Warszawie. Ja zaś uchyliłem się od dalszej rozmowy, wspomniawszy słowa Gustawa: „Dzięki. Od nieznanomych nie żądam pomocy. Nie zawieram przyjaźni tak rychło i w nocy. I nie rozumiem, co twe słowa mają znaczyć...”

Mijamy dzielnicę żydowską. Plac Teatralny jest również zaniedbany i opuszczony. Snuje się tu dużo żołdactwa niemieckiego. Ludności cywilnej przesuwają się mało. Wygląda ona jakoś ubogo: nie widać dawniejszych strójnis i trefnisiów, wysiadających w cukierni pod filarami i u Stępkowskiego. Pojedynczy przechodnie suną, zwiesiwszy głowy, i nie rozglądając się dokoła; są odziani skromnie, nieraz oberwanie. To nie Warszawa z przed dziesiątka lat, ani nawet z pierwszego roku wojny, lecz jakaś podupadła wdo-

wa, której pozostał z dawnej świetności pierścionek z brylancikiem, parę strusich piór przy kapeluszu i... dziurki w uszach po zastawionych w lombardzie koltczykach, a zamiast koronek, które ją miały zdobić, cała jej odzież prześwieca koronkowym ażurem.

Przez brudne szyby wozu tramwajowego widzę wyraźnie, że moje miasto rodzinne zmieniło się nie do poznania. To piętno rządów nowych okupantów, dowód, że umieją wyciskać z poddanych soki żywotne.

Mijamy Trębacką. Na przeciw niej stoi nienaruszony pomnik Wieszcza, który zda się zapewniać:

„Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczy i wskrzesić postaci
Zmarłej przeszłości; gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca spółbraci;
Możeby jeszcze w tej jedynej chwili,
Kiedy ich piosnka ojczyzna poruszy,
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy
I chwilą jedną tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie... niegdyś całe życie...”

Wajdeloto! Śpiewaj mi teraz twą pieśń podniosłą. Niech ona głosi, jak pod Maratonem:

„Dawnych olbrzymów przed wami postawię
I z nimi wskrzeszę cały świat umarły;
Może choć wtedy przy waszej niesławie
Z wstydem przyznacie, że jesteście karły.
Może choć wtedy, stojąc na rubieżu
Przed sądem świata, przed własnym sumieniem,
Przyznacie sami, że rdzę na puklerzu
Można zmyć tylko własnej krwi strumieniem...”

Walter zwierza się stroskany:

„Jeden sposób, Aldono, jeden pozostał Litwinom:
Skruszyć potęgę Zakonu; mnie ten sposób wiadomy,
Lecz nie pytaj, dla Boga! stokroć przekłeta godzina,
W której od wrogów zmuszony, chwyć się tego sposobu!
...Jesteś wolną, jesteś wdową po wielkim człowieku,
Który dla dobra Ojczyzny wyrzekł się — nawet i siebie...”

Tak przemawia wieszcz, zaopatrzony okiem z brązu w przyszłość Polski. Słucham Ciebie, Mi-strzu. Pójdę za Tobą...

Mijamy Plac Saski. Kopyły soboru obdarte są z blachy złoconej. Dlatego to nie błyszczycie już i nie panujecie nad miastem! Zwykły gont ma osłaniać wnę-trze od zacieków. Nie osłoni. Pomnik przemocy, wzniesiony przez jednego zdobywcę, ulegnie zniszcze-niu przez drugiego. Kopernik siedzi spokojnie na swym cokole, zajęty sprawami międzyplanetarnymi, wobec których zagadnienia ziemskie są znikome, jak ten piernik, na jaki Moskale przerobili pałac Stasica, oczyszczony dziś z azjatyckich upiększeń.

Na Nowym Świecie panuje cisza. Sklepy są pu-ste, gdziekolwiek ukaże się dorożka, zaprzężona w chudego habeta; czasem przemknie samochód z dostojnikiem w mundurze niemieckim. Z Aleji Jero-zolimskich widać uszkodzony 3-i most. Wiadukt jest cały. Plac Aleksandra jest pusty. Kilka przekupek z koszykami snuje się koło targu. Żydówki, połysku-jące przed wojną okrągłością kształtów, wyglądają dziś, jak liście jesienne. To są niezaprzeczalne ślady okupacji, jeżeli nawet ci, którzy mają najwięcej umiejętności przystosowania się do nowych warunków, wyglądają jak po dłużs ym pobyciu w... więzieniu.

Idziemy przez ulicę Hożą. Córeczki są uszczę-śliwione.

— Tu mieszka dziadek, — mówi Grażyna.

— Musimy go odwiedzić, — dowodzi Aldona.

— Mamusiu, to nasza wędliniarnia, — woła Ha-lina. — Możeby tak po drodze kupić mortadeli?

— Immertalia ne speres monet annus, — od-powiem. — Niewiadomo jeszcze, czy zastaniemy na-sze mieszkanie?

Stróż Marcin i jego żona wychudli, ledwo się trzymają na nogach. — Dobrze, że państwo wrócili,

bo rządcą chciał zabrać wasze mieszkanie dla swojej rodziny. Ledwośmy obronili.

— A cóż pani gospodyni? — pytam.

— Umarła przed rokiem, prawdę powiedziawszy z głodu, bo to nikt nie płacił komornego, a drożyna straszna...

— Taka bogata, samotna staruszka umiera z głodu?! Niedo wiary! A jakże wy sobie radzicie?

— Ot, pan widzi. Wyszliśmy wszyscy do kości, choć każde pracuje. Manię oddaliśmy na wieś na nauczycielkę. Tam przynajmniej o wyżywienie łatwiej. Chłopcy pracują też. A z tych kartek na chleb, mąkę, cukier to się człowiek nie posili.

— Myśmy znosili gorszy głód w Rosji.

— Z pana to tylko połowa została, — mówi Marcin, przypatrując się mej wklęsłości w okolicy, w której proboszcz szczyli się zwykle wypukłością.

— Macie słuszność, blisko połowa, ale celniejsza. Pozostawiłem bolszewikom około dwu pudów mojej wagi, ale to było prawie wyłącznie bezwartościowe sadło.

Marcin prowadzi nas do mieszkania, które zajmujemy od 15 lat. Na schodach uprzedza, że mieszkali tu Niemcy, że poniszczyli sprzęty i dużo z nich ukradli. Od roku nikt tu nie zaglądał. Otwieramy drzwi. Z przedpokoju zginęło lustro, z salonu — lampa, parę obrazów, z jadalni — kilka krzeseł dębowych, porcelana, nakrycia, obrusy, z sypialni — pościel. Najbardziej ucierpiał mój gabinet: książki leżą na podłodze w alkowicie, rzucone na kupę; wiele z nich odarte z okładek, rozszarpane, zmiętoszone.

— Palili niemi w piecu, a część sprzedali żydom. A meble niszczyli umyślnie. Taki pluder rozwali się w buciskach na kanapie, albo ustawi balję do prania na fotelach, a potem suszy bieliznę na krzesłach. Schodziło się tam tej hołoty i dziewczek bez

liku. Chcieli wynieść pianino i otomanę, niby na parę dni, ale zamknąłem bramę...

— Któż tu mieszkał? Zrabować, ukraść może podczas wojny nawet członek rodziny cesarskiej, jak tego dowiódł następca tronu niemieckiego. Ale marnować i niszczyć? Na to trzeba barbarzyńcy.

— Początkowo zajęło mieszkanie paru oficerów. Potem przenieśli się tu pocztowcy.

Oglądam ślady zniszczeniu. Pamiątkowe biurko mahoniowe po ks. Józefie Poniatowskim leży porzucone w kącie. Niemcy nie poznali się na jego wartości, bo byliby je niezawodnie wywieźli. W pulpicie, mieszczącym skrytki, powyłamywali zamki i zniszczyli galeryjkę, w wysuwającym stole i wieku poplamili i podarli sukno, z szafek dolnych powyciągali szuflady i użyli je prawdopodobnie jako skrzydła do przewozu zrabowanych przedmiotów. W szufladach górnych znajduję trochę papierów, jakieś torebki z wonnemi proszkami, które mają bronić od wszy odzieżowych i kilka woreczków z cienkiej gumy, które mają zabezpieczać od zatrutych strzał... Wenery. Czyż nie dowód oczywisty wysokiej kultury? Zapobieganie chorobie jest akcją ważniejszą, niż jej leczenie. Przedstawiciele niskiej kultury widzą całym rozum w wyszukiwaniu skutecznych na choroby: ziół, źródeł, czarów, zaklęć, zamawiań. Zaś wysoka kultura woli nie dopuścić do zachorowania. Czy jednak nie słuszniej byłoby zastosować zamiast prezerwatyw — czystość i wstrzemięźliwość? — To dobre podczas pokoju, — mówi Niemiec. — Na wojnę nie jeździ się ze służbą i żonami, więc pluskwy muszą być w łózkach, a wszy w bieliźnie. Moskal pouczał już dawno, że do Tuły nie wozi się własnego samowara, a do Paryża — własnej żony. Wojna to okres „Ersatz”ów. Służbę muszą zastąpić proszki odkażające, żonę — dziewczęta, żadne zarobku, od których trzeba się osłonić przy

pomocy... woreczka gumowego... A że tam socjolodzy uważają walkę z nierządem i alkoholizmem za najważniejszą zadania kulturalnego państwa, to wszak niemożna wymagać, aby każdy obywatel miał się zgodzić na pozbawienie go czynników, osładzających życie, które, jak wiadomo, jest ciężkie. O tak. „Das Leben ist so schön, doch muss man es verstep'n”. To tylko utopiści wymyślili średniowieczne hasło: „Entbehren musst du, musst entbehren”.

W biurku znajduję bilet wizytowy: „Leutenant v. Engelmänn”. Tu gościł ten rycerz. Spisał się po krzyżacku w „Hinterlandzie”. Prawdopodobnie wywodzi swój ród od Zakonu, przybranego w czarny krzyż na białym płaszczu. Przodek musiał polec w walkach z poganami przy krzewieniu jedynej, prawdziwej wiary. Jako męczennik za prawdę został aniołem (Engel), a jego potomni odziedziczyli jego stanowisko w niebiosach, jako swe nazwisko rodowe, choć po Grunwaldzie zakon zaparł się wiary i byłby skazany niewątpliwie na stos przez ks. Lutosławskiego, gdyby już istniał browar w Drozdowie.

Po krótkim przeglądzie mieszkania przychodzę do wniosku, że zostałem ograbiony. W Rosji ogołocili mnie bolszewicy w Warszawie — Niemcy, w Dymsku — kozacy. Cóż począć? Ha, podług wyprobowanej metody, zakasać rękawy i wziąć się znowu do pracy. Dzisiejszego dorobku nikt już nie ukradnie, nie przywłaszczy, bo to wszystko musi pójść na ołtarz Ojczyzny, która wezwie swych synów i córki: pójdźcie a pracujcie w pocie czoła za te pięć pokoleń, które musiały służyć niewolniczo obcej przemocy.

— Jestem. Melduję się, Ojczyzno, przed Twym majestatem. Mam za sobą 25 lat pracy lekarskiej, społecznej, naukowej, oświecicielskiej, mam doświadczenie życiowe, znajomość ludzi i stosunków, mam imię nieskazitelne, odwagę cywilną, wytrwałość i umi-

łowanie pracy, skromność wymagań, odporność na braki i niedostatek. — Mam czworo potomstwa, które czuje i myśli, jak ja i pragnie służyć Tobie jednej dla Twojej potęgi i chwały, dla umocnienia Twoich podwalin i dźwignięcia Cię z grobu. Stanę do pracy, dokąd mnie powołasz, czynić będę, co mi nakazesz, wczuję się w Twoje pragnienia, wsłucham się w Twą wolę i spełnię Twój rozkaz... Jestem!...

— Tatusiu! — woła Aldona, wbiegając do gabinetu. — Mamusia przyniosła z cukierni pysznej kawy i ciastek. Niech tatuś przyjdzie na podwieczorek.

— Jestem. — powtarzam, — idąc za mym ośmiolatkiem. — Dzieciakom świecą się oczy do smakołyków, jakich nie próbowały przynajmniej od roku. Stołownia rozbrzmiewa radością i weselem, nadzieją na piękną przyszłość.

— A czy się pomieścimy w tem mieszkaniu? — pytam. — Przed wojną było nam za ciasno.

— Tu można zabłądzić, — prawi Grażyna, — tyle pokoi. Po Moskwie będzie nam, jak w raj. Tylko że niema mojego łóżeczka. Ale to nic. Będę spała na podłodze, a jak się dorobimy, to tatuś sprawi mi łóżko.

— Sprawię wam wszystko stopniowo. Narazie musimy się pogodzić z brakami. Cała Polska jest dziś ogołocona i zubożała. Jesteśmy jeszcze w lepszym położeniu od innych. Nie zginiemy, jak Ona nie zginęła...

— Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy, — intonuje Halina, a zgodny chór wtóruje jej dziecięcemi głosy.

IX. Wśród Swoich.

Nastrój radości, że jest się wreszcie u siebie po trzech latach poniewierki na obczyźnie, zakłócają

powszechne wyrzekania na ciężki los pod przemocą okupantów. Głód zda się panować nad wszelkimi innymi odczuwaniami, troska o najniezbędniejsze wiktuały — nad wszelkimi zagadniami życia. Cała ludność Warszawy, wynosząca dziś najwyżej pół miliona, ma wspólną platformę myślenia, programów i działania: jak zdobyć jedzenie poza kartkami żywnościowymi, za którymi kupuje się chleb, cukier, kartofle, herbatę i inne produkty w sklepach miejskich, wyczekując po kilka godzin w kolejkach. Wieś jest w korzystniejszych warunkach, chociaż Niemiec stara się ją ogołocić. Ale dostępu do tej wsi niema. Nie wolno wydalic się z miasta bez przepustki, ani przewieść czego kolwiek poza... własnym żołądkiem. To też pośrednictwo rozwija się w całej pełni.

Nie posiadamy jeszcze kartek żywnościowych, bo naprzód należy wyrobić paszporty dla każdego członka rodziny. Trzeba złożyć podanie, fotografię, wnieść opłaty i czekać cierpliwie w kolejkach, uprzyjemniając sobie wyczekiwanie przyglądaniem się zastępom pulchnych urzędników i dorodnych kancelistek, mających sobie dużo do powiedzenia pomiędzy jednym a drugim papierkiem. Wśród funkcjonariuszek widzi się wiele żydówek z Nalewek i Franciszkańskiej, posługujących się wyłącznie niemczyzną.

Zaczyna dokuczać głód. Sięgam więc po woreczek mąki i cukru, przywiezione przezornie z Rosji. Niema ich. Znikły w tajemniczy sposób. Prawdopodobnie zagarnął je woźnica jako gościniec z obcyzny. Jestto smutna niespodzianka, bo mąki było ze 30 funtów, cukru z 10. Ale cóż. Pocieszmy się, że nie jest z nami jeszcze tak źle, skoro na samym wstępie można nas okraść. Mam zaszyte w bezpiecznym miejscu pieniądze rosyjskie. Trzeba je zmienić. Na ulicy Marszałkowskiej są co parę kroków kantory wymiany. Wchodzę do jednego z nich. Zasiadają

w czapkach same Gelbfisze i Rapaporty. Rozmowa jest krótka. Carskie ruble, czy kierenki? Duże odcinki, czy drobne? Nowe, czy stare? Zaczyna się targ. Za kierenki dostaje się po 80 do 90 fenigów za rubla, za carskie rublówki po 1 marce, za 25-ciu rublówki o kilka fenigów więcej, a za 100-rublówki nowe nawet po 1 marce i 12 fenigów, choć obowiązuje kurs 2 marki 16 fen.

Oto dostaję poraz pierwszy do ręki papierki z napisami polskimi, głoszące, że państwo niemieckie odpowiada za tę polską monetę. Nie posiadam się z radości; polski pieniądz! A więc nie ulega wątpliwości, że istnieje Państwo Polskie. Pierwsza myśl — schować te papierki na pamiątkę, jako dowód historyczny, który pozwoli wrazie jakichś niepomyślnych powikłań przekonać przyszły kongres pokojowy, że Niemcy uznali Polskę za państwo niezależne. Staje mi w pamięci staruszek Działkowski, przyjaciel moich rodziców. Z okien jego mieszkania na ul. Kanonji widzę szarą Wisłę, a on wyjmuje z mahoniowego kantorka dwie srebrne dwuzłotówki polskie z białymi orłami i mówi do mnie i brata: — Przeszliście do pierwszej klasy z nagrodami. Macie więc odemnie na pamiątkę polskie monety. Schowajcie je starannie, bo moskale zabierają je bezprawnie, a wyście powinni przekazać te pamiątki waszym dzieciom. — Staruszkowi stanęły w oczach łzy. Ucałowałem jego ręce, które nie zaznały pocałunków własnych dzieci. Dwuzłotówkę oddałem na przechowanie ojcu, aby jej nigdy więcej nie oglądać, bo została skradziona z biurka. Brat mój był praktyczniejszy; sprzedał monetę żydkowi w kantorze wymiany za dwa ruble i puścił je w obrót przy handlu znaczkami pocztowymi... Filatelistyka!

Dziś po 40 latach widzę tę scenę i, przyciskając pugilares do piersi, mówię: te dowody naszej państwo-

wości przekażę moim dzieciom, aby je krzepiły w chwilach zwątpienia.

Jednak mocarz — głód kazał krzepić dziś, zaraz dzieci, aby przedłużyć ich życie do jutra. Niebawem trzeba było sięgnąć po nowe ruble i obchodzić z niemi kantory wymiany, aby uzyskać o kilka fenigów więcej. A coby było, gdybym był nie odłożył tych rubli w Moskwie? Widzę, jak szybko topnieją moje skromne zasoby, jak o zarobku niemożna marzyć, jak ceny produktów spożywczych rosną z dnia na dzień, jak o podniesieniu oszczędności z Banku Handlowego i Kasy Przemysłowców nie ma mowy. I powiadam dzieciom moim:

— Żyjcie z jutrem, jeżeli chcecie być niezależni od warunków, których nie możecie przewidzieć. Wdrożyłem was do skromności wymagań, więc dałem wam mocne oparcie w zmaganiu się z przeciwnościami. Spodziewam się, że się im oprzecie i że to nie skłoni was do zboczenia z jedynej drogi, po której powinien kroczyć obywatel Polski.

Odwiedzamy bliską rodzinę:

— Poco powróciliście? — pytają nas od drzwi, nie zamieniwszy jeszcze powitań i uścisków.

— Jakto: poco? — wybucham z miejsca. — Wróciliśmy do Polski, z którą łączy nas przeszłość ukończenia, cele, dążności, dokąd trawiła nas tęsknota przez długie lata tułaczki...

— Należało pozostać w Rosji, dopóki, nie poprawią się u nas stosunki gospodarcze, — dowodzi stara panna. — My, którzyśmy wytrwali na miejscu, nie mamy czego jeść. Wy, którzyście woleli spędzić okres wojny spokojnie i bezpiecznie, zwiększacie teraz liczbę głodnych i zmniejszacie przydział produktów, wydawanych nam na kartki żywnościowe.

— Dość serdecznie, jak na pierwsze przywitanie! Poziom moralności, przy którym patrzy się na każde-

go obywatela przedewszystkiem jak na zjadacza chleba, jest doprawdy niezbyt wysoki. A narzucanie nam roli zbiegów, którzy starali się uniknąć ciężarów wojny, jest świadomym fałszem. Można było się wykupić od ciężkich obowiązków mundura wojskowego, jak uczyniło wielu tchórzów i wygodnisiów.

— Nie macie pojęcia, cośmy tu wycierpieli — dowodzi z przejęciem stara panna. — Niemcy zabrali nam samowary, kłamki, śruby od pieców, rondle, naczynia, zmuszali do pracy na korzyść armji, dokonywali ciągłych rewizyj i karali grzywnami za byle co.

— Byliście na swoich śmieciach, mieliście własny dach, możność porozumiewania się z rodakami, wspierania się nawzajem...

— Ktoby tam pomógł innemu — dowodzi staruszek. — Znam wielu obywateli. Czy wielki kłopot przywieść parę funtów masła, trochę mąki, wędliny, drobiu. Ale gdzie tam: każdy woli puścić na pasek, niż dopomóc uwięzionemu w mieście rodakowi. Gdybym był nie sprzedał majątku, nie cierpiałbym dziś takiej udręki.

— Byłoby może gorzej, bo kozacy niszczyli w Chełmszczyźnie dwory i wsie, a ludność wypędzali do Rosji.

— Ja bym się nie dał wysiedlić! — zapewnia staruszek.

— Tak odgrażało się wielu, dopóki zabudowania nie stanęły w ogniu, a zbiory nie zostały rozgrabione. A potem ładowało się na wóz, co można było zabrać i w drogę na wschód! Na ślaku z Włodawy do Kobrynia ciągnęły te wozy nieprzerwanym szeregiem dziesiątki, setki wiorst.

— Ja bym nie pojechał. Wolałbym zginąć na miejscu, niż uciekać. Trzeba mieć przywiązanie do ojczyzny.

— Taksamo mówili inni wysiedleńcy. Jednak wytrwali, tylko nieliczni, przeważnie włościanie,

— Wielu pozostało. Jednak są to dziś ludzie zupełnie inni, samolubi, którym nie przyjdzie na myśl pomoc rodakowi w potrzebie.

— Dziedzice byli zawsze samolubni; — odpowiem — wyrzekali na ciężkie czasy, na tanie ziemiopłodów, drożyznę robocizny, choć parobkowi płacili 9 do 12 rb. rocznie...

I 9 korcy ordynarji, izbę, krowę na paszy, opał, co wynosiło razem 360 rb. rocznie,—przerywa gwałtownie staruszek. — Obywatel był ostoją polskości. Gdyby nie on, dawno byśmy zruszeli. On i kościół uratowali nas od zagłady.

— Skąd więc dziś taka nagła zmiana, że nietylko nie pomaga byłemu sąsiadowi, lecz w dodatku zjednywa sobie Niemca, przekupuje, go by uzyskać dla siebie największe przywileje, zwłaszcza przywilej paskarstwa?

— Wojna zdeprowowała ludzi, — dowodzi stara panna.

— To nieomyślnie zasady moralności zachowują swą moc tylko podczas pokoju, a w czasie wojny są bezsilne? Gdyby tak było istotnie, stanowiłoby to zaprzeczenie ich życiowości. Jeżeli moralność polega na przyzwyczajaniu złych skłonności i kroczeniu po drodze uznanej przez ludzi, stojących na pewnym poziomie kultury, za jedynie słuszną, to wszak nie chodzi oto, aby syty nie ukradł bochenka chleba, odziany — łachmana, mieszkaniec pałacu — nie zajął przemocą dla siebie chłopskiej chaty, szczęśliwy małżonek nie wdał się w stosunek z pierwszą lepszą nierządnicą, bogacz — nie napadał na drogach i ograbiał biedaków...

— A czy nie zdarzają się podczas pokoju.. takie przestępstwa? — przerywa stara panna.

— Owszem. Jednak nasuwają one przepuszczenie, że są to jakieś zboczenia, na które nie może mieć

wpływu kultura, żywotna tylko w środowisku ludzi normalnych,

— Takich niema, — twierdzi staruszek.

— Ale jest skala kulturalna i psychologiczna, podług której ocenia się, czy dany czyn jest usprawiedliwiony, czy nie. Gdyby było inaczej, wypadłoby spalić wszystkie obowiązujące dziś kodeksy. Twierdzą stanowczo, że nie wojna zmieniła obywatela, lecz że tylko zdjęła z jego oblicza zasłonę, poza którą kryła się jego moralność...

— O nie! Takim jak dziś nie był nigdy dawniej obywatel, — woła panna, — zdziczał na wojnie.

— Brał w niej tylko bardzo mały udział. Widziałem szeregi tych którzy wykupywali się od wojska, kryli w Czerwonych Krzyżach, organizacjach ziemskich, figurowali na liście deńszczyków, zajmowali się opatrywaniem armji. Poza własną osobą nie obchodziło ich nic. Cieszyli się nadzieją, że może po wojnie będą mogli uzyskać posady w samorządzie. Ale wskrzeszenie Polski było dla nich utopją...

— A czy Roman Dmowski nie pracuje nad niem oddwna w Komitecie Narodowym w Paryżu? — woła staruszek.

— Z takim samem powodzeniem i podług tych samych wzorów, jak uprzednio w dumie i przedpokojach ministerjalnych—odpowiem.

— To jest wielki człowiek,—zapewnia panna.

— Nomen-omen, — powiadam. — „Dmos” znaczy po grecku: niewolnik, rab. Takim był dla mnie ten przewodca polskiej reakcji, herold samolubstwa klasowego, gdy bronił w Dumie.. prawomyślności armji rosyjskiej przez trzebienie w niej socjalizmu i demokracji...

— Chciałoby się widzieć armję socjalistyczną, rewolucyjną, bolszewicką, — unosi się staruszek. — To zguba państwa!

— Chciałbym widzieć przedstawicieli Polski, owianych troską nie obce nam sprawy, lecz ożywionych szczerą dążnością, aby ulżyć Ojczyźnie, a nie własnemu stronnictwu. I chciałbym aby taki prowodyr nie zwalczał rządu Polski, siedząc sobie spokojnie w Paryżu i powtarzając błędy naszej popowstaniowej emigracji, lecz — aby stanął mężnie w szeregach tych, którzy nie zgodzili się na zaprzysiężenie Legjonów i woleli raczej pójść do obozów i więzień, niż skazać choćby jednego żołnierza polskiego na bronienie obcej nam sprawy.

— Słusznie potępiasz Piłsudskiego, że wysługiwał się Niemcom — woła staruszek.

— Wręcz przeciwnie. Uważam za wielki czyn stworzenia Legjonów, jako odrębnej polskiej formacji.

— Tego socjalistę, który dopuszczał się w 1906 r. napadów rabunkowych na pocztę, zamachów dynamitowych na przedstawicieli władzy — mówi stara panna, — powinni Niemcy nie więzić w Magdeburgu, lecz powiesić!

— Iście po bolszewicku! — wołamy. — Tak właśnie zaleca ks. Lutosławski postępować ze swymi przeciwnikami. Byle tylko nie podpisał przez to wyroku na własnych braci, których pozostawił w więzieniu, zamiast ich ratować w niebezpieczeństwie, w jakie ich sam pogrążył.

— To święty człowiek, — rozczuła się stara panna. — Wierny syn kościoła, gorący patriota, nieustraszony działacz, płomienny mówca...

— Wskrzesiciel św. inkwizycji, którą dzieje mogły wybaczyć łaskawie obskurantyzmowi średniowiecznemu, lecz która jest dziś możliwa chyba w bolszewiji w postaci czerezwyczajki, — prostuję. — Gorący obrońca przywilejów stronnictw wsteczniczych, których korzyści oświeśla dowotom, jako najwyższe cele Polski. Pewny siebie działacz i wymowny agitator, dopóki

otoczony opłacanymi z funduszków społecznych stronnikami, jednak tchórz przy zetknięciu się z rzeczywistością niebezpieczeństwem. Winszuje takiego świętego jego zwolennikom. Każdy kult ma świętych, na jakich go stać.

Rozstajemy się po trzech latach rozłąki poróżnieni. Trudno. Każdy z nas miał inne nastawienie w stosunku do wojny już w samym jej początku i każdy oświeślał inaczej fakty. Dziś stoimy na biegunach przeciwległych, a każdy z nas stara się dowieść, że słuszność jest po jego stronie. I chociaż mocarz-głód odepchnął na dalszy plan zagadnienia polityczne i orientacje społeczne, wysuwając na czoło walkę o utrzymanie własnego życia, jednak każdy ma swe świętości, których nie pozwala szargać. Za łyżkę barszczu i za obietnicę przyszłych korzyści na ziemi i w niebie nie każdy da się przeciągnąć do przeciwnego obozu. Trudno. Może przyszłość odpowie, po czyjej stronie była słuszność.

Zetknięcie się z przyjaciółmi i znajomymi potwierdza, że przeżyli oni ciężki okres ucisku, wyzysku i bezprawia. Każdy goni dziś ostatkami, wychudł i zmierzniał, podupadł na zdrowiu, postarzał się i sponiewniał. Jednak wielu zrozumiało, że to: „chwila osobliwa“, początek nowego życia, pelen bólów i niebezpieczeństw lecz i krzepiącej nadziei.

— Była to uroczysta chwila — opowiada pani Winnicka, kiedy legjony wkroczyły 30 listopada 1916 r. przez roгатkę Jerozolimską. Tłumy wyległy na ich spotkanie. Wszystkie myśli i wszystkie uczucia zespoliły się w jednym okrzyku: „Polskie wojsko!“ Nie są to już panowie w kontuszach przy karabelach, ułani w barwnych mundurach z wyłogami i naszywkami, w hełmach z pióropuszem, lecz raczej ci, co wielokrotnie porywali za oręż, co zakładali kosy na wzdłuż, okry-

ci samodziałową sukmaną, promieniejący zapałem i oddaniem się sprawie.

— Jakże przyjęła ich Warszawa?

— Kwiatami, jedzeniem, odjętem od własnych ust i pieśnią: „Jeszcze Polska nie zginęła“. Było to dla nas prawdziwe pokrzepienie w okresie ciężkiego ucisku. Ale nie dla wszystkich. Spotykam w tłumie panią N. i dzielę się z nią swem wzruszeniem. A ona na to: — Jest też się czego cieszyć?... Wszak ta hola będzie nas objadała. I bez nich mamy głód?

— Typowa kapitalistka — śmieję się.

— To prawda. Oni wszyscy tacy.

— A jak zachowały się nasza ugoda i wstecz-
nictwo?

— Jak zawsze: z niewiarą w siły narodu i z uniżonością wobec okupantów. Kiedy Piłsudski odmówił przysięgi i nie dał legjonów na pomoc Niemcom, gdy nasze wojsko uwięziono w obozach, dowodzili aktywiści: a co, nie mówiliśmy?

— Tak, przepowiadaliście. Bo macie zmysł jaśnowidzenia na odległość... własnego nosa. Lękaliście się za Kościuszki dopuszczenia chłopu do praw obywatelskich, ulegaliście ze strachu potędze zbrojnej Katarzyny, Fryderyka, korzyliście się przed Repninami, Igelstromami, usuwaliście się od udziału w powstaniach, choć wasi własni synowie szli do nich z młodzieńczym zapałem, wypieraliście się mężów stanu, pragnących wskrzeszenia Polski, dbając raczej o upewnienie rozbiorców o swej lojalności. Lecz niech się odwróci karta dziejów, a dowodzić będziecie, że była to z waszej strony chytra polityka, zmierzająca do przywrócenia... państwowości polskiej.

Bacność! Karta dziejów odwraca się. Dnia 16 Lipca w Jekaterynburgu został rozstrzelany przez bolszewików zdetronizowany car, Mikołaj II, wraz z całą rodziną. Znikło widmo przywrócenia dynastji Roma-

nówych, chociaż rozmaici Cyryle, Mikołaje i inni wielcy i mali książęta tułają się po świecie. Dziś możecie dowodzić, panowie ugodowcy, że wasz serwilizm wobec tej dynastji był tylko mądrą dyplomacją, która doprowadziła Romanowych do zagłady, a naród polski obroniła od wynarodowienia. Tak będziecie mówili napewno. Ale dzieje ocenią wasze czyny i stanowisko inaczej. Oby was nie zaliczyły do zstępnych Targowicy.

16 Lipca zgładzony car i jego rodzina. W tym właśnie momencie opuszczałem nowe granice rozpadającej się Rosji...

X. Na stanowisku.

Od 1 Sierpnia jestem starszym referentem Ministerstwa Zdrowia Publicznego, Pracy i Opieki Społecznej. Na czele stoi dr. Witold Chodźko, którego pamiętam z przed kilkunastu lat, jako jednego z działaczy oświatowych w Lublinie. Umysł otwarty, szybka orientacja, duża wiedza i gorące pragnienie podźwignięcia kraju z opłakanych warunków sanitarnych dają rękojmię powodzenia akcji.

Minister przyjmuje mnie z otwartymi rękami i daje do wyboru kilka nieobsadzonych jeszcze referatów. Wybieram opiekę nad inwalidami wojennymi i reemigrantami, ponieważ miałem z temi sprawami ścisłą styczność podczas pobytu w Rosji. Zasiadam odrazu do opracowania planu akcji i piszę referat o położeniu inwalidów i wysiedleńców polskich za czasów caratu i bolszewików. Lecz oto niespodzianka: tą samą sprawą zajmuje się Komisja Wojskowa, która patrzy niechętnie na poczynania Ministerstwa Zdr., Pr. i Op., uważając, że niema ono prawa wtrącać się do spraw wojskowych. Napróżno przekładam,

że inwalida wojenny przestał być wojskowym, bo jest niezdolny do broni, że wśród inwalidów jest dużo osób, które nie należały nigdy do armji, lecz doznały uszkodzeń cielesnych, dostawszy się w sferę działań wojennych. Przedstawiciele Komisji Wojskowej godzą się na organizację dwu opiek nad inwalidami: cywilnymi i wojskowymi, nie chcą jednak wypuścić z rąk kierownictwa. Odbywamy cały szereg narad, na których określam ostatecznie, że rola wojskowości sprowadza się jedynie do stwierdzenia, że dany osobnik jest niezdolny do wojska na skutek obrażeń cielesnych, doznanych podczas wojny, i że zostaje przekazany opiece społecznej. Komisja Wojskowa sprzeciwia się temu, dowodząc, że inwalida nie przestaje być żołnierzem, dopóki ona go nie wyleczy, lub nie orzeknie, że nic już nie zdoła mu poradzić.

Te spory kompetencyjne utrwalają mnie w przekonaniu, że nie dbałość o ofiary wojny, ale inne względy wchodzi tu w grę. Bo też Komisja Wojskowa ma bardzo wąski zakres działania, ponieważ nie ma dziś faktycznie wojska polskiego; musi więc stworzyć przynajmniej pozór działalności. Do tego potrzebny jest jej inwalida, jako przedmiot, a nie osobnik, którym ma obowiązek zdjąć się państwo, sprawca jego kalectwa, choroby, niedoli. Do tego zasadniczego stanowiska dorabia się teorię, że inwalida wymaga rygoru wojskowego, bez którego niemoże być mowy o poprawie jego zdrowia, że tylko władze wojskowe mogą określić stopień jego niezdolności do pracy, że tylko one mogą zaopatrzyć go w konieczne protezy i t. d. i t. d. A w tem wszystkim czuć jedno: „tabakiera dla nosa, czy nos dla tabakierzy?”

Nie chcę utrudniać ani zacieśniać zakresu działania Komisji Wojskowej. Jednak obawiam się, aby jej akcja nie była zbyt kosztowna dla Polski i nie sprowadziła zamętu. Projektuje się zakładanie schronisk,

szpitali, szkół dokształcających dla inwalidów, fabryk protez i wielu innych urządzeń, na co potrzeba będzie olbrzymich sum. Skąd je wziąć, jak nimi dysponować, aby zostały użyte celowo i wytwórczo, a poszkodowany na wojnie odzyskał maximum sprawności? Czy ta grupka ludzi, kręcąca się koło organizowania nowej działalności, daje rękojmię umiejętności, przygotowania, celowego i dokładnego wypełnienia programu? Czy to nie będzie znów coś à la przedsiębiorstwo braci Lutosławskich na tułaczce? Przyglądam się tym ludziom i mam wątpliwości. Wielu z nich pochodzi z Galicji, gdzie zajmowali podrzędne stanowiska w administracji. Są cni ruchliwi, wygadani, powołują się na prawodawstwo i urzędzenia austriackie, na doświadczenie tam nabyte, dowodzą stałe, że Polacy z zaboru rosyjskiego nie mają przygotowania do czynności administracyjnych, że jedynie galicjanie są wyszkoleni w tej dziedzinie. Paru członków Komisji przybyło z Ameryki i zapewnia, że ich propozycje organizacyjne stanowią ostatnie słowo nauki, techniki, doświadczenia. Ci ludzie nie podobają się mi przez nieusprawiedliwioną ani wiekiem, ani wykształceniem pewnością siebie.

Nie widząc możliwości uskutecznienia planów Komisji Wojskowej dla braku odpowiednich pomieszczeń dla inwalidów, wysuwam projekt zajęcia na ten cel gmachów szpitala Ujazdowskiego i sprowadzenia jego mienia z Moskwy. Jest to powtórzenie myśli, którą starałem się wcielić w czyn na tułaczce. Dziś jest możliwość wskrzesić pogrzebaną sprawę w drodze dyplomatycznej. Po zabójstwie Mirbacha bolszewicy nie będą się liczyli z życzeniami pp. Łoktiewych, Rachmanowych, Eryksonów, lecz zwrócą Warszawie na żądanie Niemców pozostałość mienia szpitalnego. Projekt podobał się przedstawicielom wojskowości. Napisałem na ich życzenie wyczerpujący memoriał,

który miał być podstawą do rewindykacji tego obiektu wojskowego. Gdy wszakże przyszło do wykonania, zaczął się znowu spór kompetencyjny. Nie czekając na jego rozstrzygnięcie, Komisja Wojskowa zaczęła akcję na własną rękę i... przegrała sprawę.

Wysunąłem jeszcze parę innych projektów, między innymi, aby urządzić czasowo punkt zborny dla inwalidów do chwili umieszczenia ich u rodziny, lub w schronisku. Wskazałem na prawie pusty obecnie Zakład Starców i Kalek W. T. D., którego byłem lekarzem głównym od 25 lat. I ten projekt przyjęła komisja z zapałem, lecz nie zdołała go przeprowadzić.

Zostaję zaproszony na wykład o organizacji opieki nad inwalidami. Ma przemawiać niejaki Neuding, przybyły z Rosji. Wykład odbywa się w Komisji Wojskowej przy udziale kilkunastu gości i paru inwalidów. Od jednego spojrzenia poznaję w mówcy żyda, mówiącego łamaną gwarą. Klaruje on nam, że wojna jest zbrodnią i że państwo ma obowiązek otoczyć inwalidę opieką, dobrobytem, zapewnić mu i jego rodzinie środki do życia, możliwość kształcenia się, przywileje i t. d. Przemówienie ma charakter wysoce agitacyjny w duchu bolszewickim zwłaszcza w ustępach, krytykujących działalność państw burżuazyjnych, które pokrzywdziły w karygodny sposób swych obywateli, jednak nie czynią nic, aby im tę krzywdę wynagrodzić. Mówca nawołuje inwalidów, aby się zorganizowali w związkach, i wymogli na państwach spełnienie zaciągniętych zobowiązań.

Przewodniczący zebranie nie przywołał ani razu mówcy do porządku, chociaż ten zapowiadał, że dopiero wszechświatowa rewolucja otoczy opieką inwalidę, którego tylko oszukują państwa burżuazyjne. Można było pozbawić mówcę głosu, ponieważ przemilczał o nowych zasadach organizacji opieki nad ofiarami wojny, a to był jego temat zapowiedziany. W dy-

skusji nie poruszono również istoty sprawy. Wobec tego uznałem za konieczne wskazać, że w Rosji opieka nad inwalidami była postawiona haniebnie za czasów caratu i że dziś zmieniło się tylko tyle, iż ci pokrzywdzeni są wyzyskiwani przez bolszewików do agitacji komunistycznej, nikt jednak nie troszczy się nietylko o przywrócenie im choćby częściowej zdolności do pracy, ale nawet o to, by zabezpieczyć ich od śmierci głodowej. Wreszcie zapytuję mówcę, które państwo ma obowiązek pokrycia kosztów opieki nad inwalidami, czy to, w którego armji utracili oni zdrowie czy też to, gdzie się obecnie znajdują?

Nietylko Neuding, ale i paru gości, są niezadowoleni z mojego przemówienia. Kolega Ł. pozwala sobie nawet wystąpić przeciwko mnie. Otrzymawszy odpowiedź od Neudinga, że państwo obowiązane jest zająć się inwalidami, którzy znajdują się na jego obszarze, niezależnie z jakiegokolwiek armji pochodzą, wyjaśniam raz jeszcze, jak wykonują ten obowiązek bolszewicy w stosunku nietylko do jeńców wojennych, rannych i chorych żołnierzy polskich, lecz nawet wobec ofiar dokonanego przez siebie przewrotu. Białogwardzista nie zoztawał inwalidą, lecz... trupem, więc opieka nad nim sprowadzała się najwyżej do pochówka. Ale nawet z krasnoarmiejcem nie robiono sobie zbyt wiele zachodu: szpital, urlop paromiesięczny, albo zwolnienie z wojska i najwyżej kilkunastorublowa zapomoga jednorazowa. Wobec tego stwierdzam, że wykład N. miał zadania wyłącznie agitacyjne, nie oświetlił zagadnienia państwowej opieki nad inwalidami i przedstawił stan sprawy w Rosji świadomie fałszywie.

Nie zrażam się walką, jaka się rozwija o kompetencje, i niepowodzeniami przy urzeczywistnianiu rozmaitych zamierzeń. Zanim da się je przeprowa-

dzić, przystępuję do rejestracji inwalidów w Polsce. Układam więc ankietę i okólnik do starostw, które mają dokonać spisu ofiar wojny, pozostających obecnie w ich obrębie, i tych, którzy przybyli z państw zaborczych w okresie miesięcznym. Pierwsze wykazy imienne każą przypuszczać, że inwalidów będzie ponad 150.000. Jest to ciężkie brzemie dla Polski, która będzie musiała roztoczyć opiekę przynajmniej nad 1⁰/₀ ludności i to młodych mężczyzn, niezdatnych do pracy, a wraz z ich żonami, dziećmi i wstępnymi uczyni to przynajmniej 2 pr. ludności. Zaprawdę zagadnienie inwalidów jest bardzo poważne ze stanowiska państwowego. Ci nieszczęśliwcy wyszli z opałów ze zdrowiem nadwyrężonem, zachowawszy przeważnie tylko roślinne funkcje życia i nabrawszy przeświadczenia, że są najbardziej pokrzywdzeni. Ich cierpienia i niezdolność zasłaniają im cały widnokrąg, o ile go umieli kiedykolwiek objąć. Ich otoczenie może im schlebiać: „z waszego trudu i znoju powstanie Polska, by żyć“; ale częściej agitator będzie ich podburzał: „burzuje posłali was na śmierć i kalectwo, a sami roskoszują się dobrobytem i szczęściem“. Jak zachować się wobec tych nieszczęśliwych, aby obronić ich od podszeptów naszych wrogów i obudzić uczucia miłości Ojczyzny, dla której należy nie tylko umrzeć, lecz i cierpieć przez wszystkie dni żywota?

Tak. To jest nader delikatny obiekt, do którego należy przystąpić z głębokim wyczuciem i zrozumieniem jego doniosłości. Pierwszy lepszy manipulant ze szkoły austriackiej, marzący o karierze w stolicy, której nie doczekałby się w jakim Dobromilu, albo Sączu, nie powinien mieć tu przystępu, ani głosu, bo niezawodnie poprze agitację Neudingów, Borensteinów Cziczerynow. I oto bierze mnie lęk, czy zdolny jestem sprostać temu zadaniu. Jestem sam, dr. Chodźko

ma tysiące spraw sanitarnych, walkę z epidemjami, chorobami społecznymi, organizacją ochrony macierzyństwa i dziecka, opiekę nad dzieckiem w szkole, propagandę higieny wśród szerokich warstw ludności, nadzór nad wykonywaniem praktyki lekarskiej, szkolenie pielęgniarzy, położnych i dziesiątki innych zadań. Upada ze znużenia przy ich wykonywaniu. Nie może poświęcić mi dość czasu na omówienie programu, który zazębia się wciąż z zamierzeniami Komisji Wojskowej. Muszę więc poprzestać na najogólniejszych wskazówkach i działać sam.

Zbadawszy wykazy rejestrucyjne, przychodzę do wniosku, że w najgorszym położeniu są inwalidzi, częściowo niezdolni do pracy, ponieważ ich wytwórczość jest zmniejszona, a pracodawcy nie chcą korzystać z ich usług. Skłania mnie to do opracowania szeregu rozporządzeń, nakazujących przyjmowanie takich inwalidów do pracy w urzędach państwowych, samorządowych i w przemyśle. Narady z prawnikami przekonywają mnie, że manipulanci, zajmujący stanowiska referentów i radców, uważają naogół inwalidę za szaleńca, lub niedołęgę, który nie umiał obronić swoich własnych kości od kuli, nie daje więc żadnej ręki, aby przypilnował np. w roli woźnego cudzych palt na wieszaku...

— A co pan robił podczas wojny? — pytam jednego z oponentów.

— Kończyłem studia uniwersyteckie.

— Wygodnie. — myślę. — A pan?

— Służyłem w wojsku.

— W jakim dziale? Nie w legionach?

— W intendenturze...

— Dość bezpiecznie. A pan?

— Byłem w Czerwonym Krzyżu.

— Dobra szkoła! — mówię, dowiedziawszy się właśnie o skandalach w galicyjskim oddziale dam

i kawalerów tej instytucji, będącej na całym świecie ucieczką młodzieży i dorosłych, nie znoszących huku innej broni poza... myśliwską.

Jeden z oficerów przekonywa mnie, że służba pozafrontowa jest niemniej niebezpieczna, niż w szeregach i okopach. Teraz rozumiem, że mający wnioskujeć o opiece nad częściowymi inwalidami, nie mogą mieć zrozumienia ani dla ich niedoli, ani dla obowiązku państwa.

— A co ma robić inwalida? — pytam.

— Niech się stara o trafikę, o sprzedaż wódki, o koncesję na czyszczenie butów na ulicy...

— Panie Neuding, wysłańcze komunistów, masz oddanych sobie sprzymierzeńców z austriackiej szkoły manipulacyjnej. Tylko ty straszysz powszechną rewolucją, a oni powiadają, że w razie niebezpieczeństwa będą się umieli skutecznie ukryć. Niezawsze! Oto nadeszła wiadomość, że Marjan i Józef Lutosławscy zostali rozstrzelani. Morderstwa dokonali bolszewicy na obcych obywatelach. Ohyda! Nie czas dziś rozważać, czy nie było to następstwo jezuickiej polityki, księdza L., bo sam fakt jest wstrząsający. Więc niezawsze można się ukryć...

— A ksiądz Lutosławski nie umknął szczęśliwie?

— Ma na sumieniu śmierć braci. Ale on da sobie z tem radę, umknie i od tej odpowiedzialności.

B. członek Rady Zw. W. P., Ossowiecki, który przyjechał właśnie do Warszawy, opowiada: — Siedziałem na Butyrkach jako podejrzany o popieranie białogwardzistów. Nie zdołano mi jednak nic udowodnić. Kazano mi kopać doły, w których legli bracia L... A kiedy doszedł do najwyższego wyczerpania, zjawia się w mej celi Zarębski i powiada; — Podpisz deklarację, że przyłączysz się do bolezewików, to cię uwolnimy. — Odmówiłem.

— Wszak Zarębski był pańskim przyjacielem...

— Przyjacielem? Nigdy! Dałem mu zajęcie w mojem biurze: „Gońcu”, ale przez wdzięczność wygryzł mnie stamtąd i zagarnął je dla siebie. Straszny człowiek!

— A kiedy go demaskowałem, wyczuwając, co to za ptaszek, bo wszak nie posiadałem jeszcze dowodów, toście wy, członkowie Rady W. P., byli mnie przeciwni.

— O, doktor jedyny poznał się na nim. Ale że też on nie zemścił się, zostawszy komisarzem bolszewickim?!

— Stchórzył. A nużbym wyśpiewał o kawalerach św. Jerzego, o popieraniu partyjnictwa ks. L., o wielu sprawkach? To jeszcze może pan komisarz Zarębski musiałby kopać dół dla siebie samego.

Nie mniejszych trudności następuje sprawa re-emigrantów. Powracają oni przeważnie z Rosji. Trzeba zapewnić im środki przewozowe, jedzenie, opiekę lekarską, oddzielić chorych zakaźnych, zająć się ich leczeniem, odkazić i odwszawić ich odzież i bieliznę, nawiązać korespondencję z ich rodziną, skierować ich do stałego miejsca zamieszkania i t. d. i t. d. Narażenie zajmowała się częścią tych zadań organizacja społeczna. Potem powstał specjalny urząd powrotu jeńców, uchodźców i robotników (t. z. J. U. R.). Na jego czele stoi Eustachy Sapieha. Urząd jest ogromną machiną, roztaczającą kontrolę nad kilku obozami, w których powracający odbywają kwarantannę. Wobec tego, że dur plamisty, brzuszny i powrotny, czerwotka, nawet cholera zjawiają się coraz częściej, w całym kraju, zwiedzam kilka obozów i przekonywam się, że to jest tylko improwizacja reemigracji, a nie przemyślony i dokładnie wykonany plan. Z wzorów niemieckich zaczerpnięto wszystko najgorsze, zwłaszcza niechlujstwo i zawszenie obozów, brak kontroli nad chorymi zakaźnymi, niedostateczne ich

oddzielenie, złe żywienia. Za te zaniedbania, i nadużycia będzie pokutowała cała Polska, a może i Europa zachodnia, chociaż Niemcy osłonili dokładnie swe ziemie.

Moje położenie wobec J.U.R.'a jest trudne, ponieważ jest to urząd samodzielny. Jednak groza szerzenia się chorób zakaźnych jest tak wielka, że muszę rozciągnąć kontrolę nad sposobem izolacji chorych i podejrzanych. Napotyka to na sprzeciw urzędu. Znowu spór o kompetencje, który kończy się jednak zwycięstwem Ministerstwa Zdr. Pr. Op. Urząd ma obowiązek nadsyłać sprawozdania z ruchu powracających i chorych. Przekonywam się teraz dowodnie, że Rosja nasyła nam masy chorych zakaźnych. Wygląda to na akcję tendencyjną. Trzeba jej przeciwdziałać. Sam nie mogę wykonać wszystkich tych zadań. Potrzeba mi pomocy. I oto minister Chodźko skierowuje do mnie dwu kandydatów, którzy powrócili z Rosji. Pierwszy zjawia się lekarz policyjny B., gorący współpracownik Bogdanowa w komisjach poborowych. Rewolucja rosyjska wywarła zgubny wpływ na jego... brzuch, który spadł do połowy. Nasza pogawędka trwa krótko. Powiadam towarzyszowi tułaczki, że na tem odpowiedzialnem stanowisku potrzeba mi człowieka, do którego miałbym zupełne zaufanie. Drugi był to lekarz policyjny z Łodzi. Nablagował ministrowi, że był ordynatorem szpitala Ujazdowskiego. To jedno go zdyskwalifikowało.

Tak. Opieka nad inwalidami i uchodźcami wymaga ludzi pewnych, nieskazitelnych, nietylko dlatego, że ta akcja pochłania wielkie środki Państwa, lecz i dlatego, że są to dziedziny, w których jest najłatwiej budzić niezadowolenie i niechęć do władz. Metody działania lekarzy policyjnych z okresu caratu nie mogą tu być stosowane. Ale że tak zasłużeni... urzędnicy chcą zostać dziś mymi pomocnikami, to jest

dziwne. Rewolucja nie może być, jak chce ks. Luto-
sławski, wynalazkiem Lucypera i Bełzebuba, skoro
tak stutecznie poniża podpory caratu i samowoli.

XI. Przed odpływem.

Otrzaskaliśmy się już z okupacją niemiecką. Da-
je się ona we znaki, zwłaszcza gdy chodzi o produk-
ty spożywcze. O wyjeździe poza miasto, a tem bar-
dziej na Polesie niema mowy bez specjalnych prze-
pustek, na które trzeba czekać całe miesiące, aby po-
tem dowiedzieć się, że należy posiadać jeszcze sze-
reg dodatkowych zaświadczeń, że jest się zdrowym,
a odzież nie jest zawszona. W dodatku niewolno wy-
wozić ani przywozić zapasów spożywczych. Jednak
handel domokrajny rozwinął się na dużą skalę. Prze-
kupki dostarczają cichaczem mięsa niewiadomego po-
chodzenia, słoniny, masła, jarzyn, chleba, licząc o 100%
drożej... za ryzyko, choć ma się wrażenie, że jest to
cichy układ z policją.

Pomimo to niema porównania z ostatnim rokiem
pobytu w Moskwie. Człowiek zamożny może dostać
nawet owoców zagranicznych, kawioru, wina. Średnio
zasobny może dokupić coś nie coś poza przydziałem
kartkowym i ma czem odpędzić głód. Tylko ludność
uboga jest w położeniu ciężkiem. Wobec tego zaczę-
to sprzedawać same kartki. Nabywców jest wielu.
Jednak niebawem okazuje się, że krąży dużo fałszy-
wych kartek, za którymi można dostać chyba... kozę,
W kolejkach przed sklepami miejskimi wyczekują
setki ludzi, aby zdobyć po kilku godzinach czekania
po $\frac{1}{2}$ funta chleba na numerek, po trosze cukru, ma-
sła. O wyżywienie tem służącej niemoże być mowy.

To też w wielu domach przestano trzymać służbę,
która poza staniem w kolejkach nie może wiele zro-

bić. Najczęściej członkowie rodziny zmieniają się co parę godzin w szeregu, wysłuchując nauk i wymysłów rozmaitych bab, i kucharek że dzieje się im krzywda. Nieraz zapas sklepowy wyczerpie się przed czasem i oczekujący odchodzą z kwitkiem. Często słyszy się skargi na złą wagę i zły gatunek produktów. Wielkie zmartwienie stanowi niewykorzystanie jakiego odcinka. Zamiast cukru zaczęto częstować ludność sacharyną, która wypada znacznie taniej, lecz ma smak cierpkometaliczny, pozostający w ustach przez kilka godzin, a zarazem jest używką bezwartościową nawet szkodliwą. Najgorsza sprawa z tłuszczami; cena ich jest niedostępna dla ogółu ludności, a gatunek — bardzo liche. W jadłodajniach, gdzie musimy narazie jadać obiady, ponieważ nie stać nas na sprawienie naczyń kuchennych, opału, urządzeń gospodarczych i utrzymanie służącej, spotyka się oczka tłuszczu na rosole, jak włoski na łysinie, bo mięso jest chude, a wygotowany tłuszcz jest zgarniany do smażenia kotletów.

Te trudności gospodarcze odbijają się wyraźnie na zdrowiu ludności. Przedewszystkiem podniosła się ogromnie śmiertelność, zwłaszcza z gruźlicy i chorób zakaźnych. Grasuje w ostrej postaci grypa, którą nazwano hiszpanką; daje ona ogromny odsetek zejść śmiertelnych z pośród ludzi młodych i dobrze zbudowanych. Widzi się masę dzieci krzywicowych, bladych, wątłych, pozbawionych dziecięcej wesołości. Naturalny przyrost ludności zmniejszył się zastraszająco, ponieważ znaczna część kobiet przestała miesiączkować. Jestto biologiczna samoobrona ustroju, który nie może sprostać własnym potrzebom. Zagłodzenie powszechne jest cennem doświadczeniem zbiorowem, które wskazuje, że stan gospodarczy kraju wywiera duży wpływ na skład i cechy ludności. Za kilkanaście lat, gdy do głosu przyjdzie zrodzone i wychowane teraz pokolenie, będziemy napewno zaniepokojeni jego stanem cielesnym, nerwowym, umysłowym, moralnym. Będzie

to pokolenie wojenne, które zaznaczy się napewno małą żywotnością, wytwórczością i odpornością, a wielką nierównowagą i chorobliwością.

Dochodzę u władz niemieckich krzywd, wyrządzonych mi przez okupantów w mieszkaniu. Składam skargę w komendzie wojskowej na placu Saskim z wykazem skradzionych i zniszczonych przedmiotów. Władze wojskowe wymagają wskazania sprawców. Ograniczam się jednak przezornie do podania nazwisk oficerów, którzy zajmowali moje mieszkanie, pozostawiając władzom przeprowadzenie dochodzenia. Jest to konieczna ostrożność, aby nie zostać prześladowanym za fałszywe oskarżenie. Jestem zgóry przekonany, że ta akcja nie da wyniku. Jednak chodzi mi o posiadanie dowodu pisemnego, że Niemcy dopuszczali się rabunku i że te ekspropriacje prowadzili na własną rękę, albo uzbrojoną, albo niekontrolowaną.

Komendantura zawiadamia mnie po paru tygodniach, że podług przeprowadzonych dochodzeń lieutenant Engelman zachował się jak „anioł”, a nie „Raubritter”. Na to pismo odpowiadam, że stróż domu powstrzymał oficera od wyniesienia pianina i innych sprzętów, jednak nie zdołał obronić drobniejszych przedmiotów. Proszę więc o przeprowadzenie śledztwa, ukaranie winnych i zwrot mych strat. Korespondencja trwa długo i ma charakter wykrętny. Oświadczam więc, że się zwrócę do gen. Beselera. To skłania władzę wojskową do odpowiedzi, że przeprowadzi dochodzenia.

Jednocześnie zaczyna mnie dusić rządca domu Hertz o zapłacenie komornego za trzy lata. Oświadczam mu, że jestem ogołocoony przez bolszewików, i zrabowany przez Niemców, że ochrona lokatorów pozostawia mi prawo uregulowania należności za rok po ukończeniu wojny, że moje mieszkanie było wynajęte podczas mej nieobecności, a właścicielka otrzy-

mywała za nie komorne i że moje mienie nie zostało zabezpieczone od rabunku i zniszczenia. Pomimo tych argumentów adwokat Hertz wytacza mi sprawę sądową. Bronię się sam. Sąd podziela moje argumenty i nakazuje zbadanie stróża, jako świadka. Jednak nie dochodzi do tej procedury, bo adwokat wycofuje sprawę, przekonawszy się, że ten, kto nie uchylił się od spełnienia powinności wojskowej, nie wydał na siebie wyroku znoszenia wszelkich ciężarów i bezprawi. Zastanawiam się też, jakto mój młody oskarżyciel uniknął służby wojskowej. Kto wie, czy obrońcą tego obrońcy nie był jaki doświadczony lekarz policyjny?

Pomimo trudnych warunków materialnych pracuję z istic młodzieńczym zapałem. Zaproszono mnie na profesora higieny Wyższych Kursów Nauczycielskich. Mam 120 słuchaczy nauczycieli i nauczycielek szkół powszechnych. Ich przygotowanie z biologji jest bardzo słabe. Poświęcam wykładom dużo energii, rozumiejąc, że zasady ochrony zdrowia mogą przeniknąć do ludu tylko przez szkołę, o ile nauczyciel będzie stał na odpowiednim poziomie. Dziś jest on jeszcze krzewicielem przesądów. Mam zaledwie dwie godziny wykładu na tydzień. Jest to mało nietylko do ujęcia całości przedmiotu, lecz i do poznania nauczycielstwa. Zajmuje mnie, skąd pochodzą ci pracownicy, co skłoniło ich do wyboru tego zawodu, jaki jest stan ich zdrowia, jaki rozwój cielesny, jakie cechy antropologiczne, rozwój umysłowy, uzdolnienie, przygotowanie zawodowe. Opracowuję więc wzór do badań i oglądam codziennie grupę słuchaczy. Jest to zagadnienie pierwszorzędnej doniosłości z uwagi na to, że chodzi o krzewicieli oświaty i kultury wśród szerokich mas ludowych. Z czasem opracuję te dane*).

*) „Nauczycielstwo szkół powszechnych ze stanowiska higieny społecznej, Warszawa 1924 r. Nakładem „Naszej Księgarni“.

Obowiązki urzędnika i profesora pochłaniają mi cały czas. Brak mi go już na zajęcie się praktyką lekarską, chociaż zgłaszają się dawni chorzy. Koledzy wyrzekają na ciężkie czasy. Nie zamierzam więc powiększać swoją osobą współzawodnictwa, choć patrzę z pewnem zadowoleniem na machających piechotką dawnych „karecianych“ konsyljarzy. Zdaje mi się, że w tej dziedzinie nastąpią zasadnicze zmiany, ponieważ kilka lat wojny wysunęło zupełnie inne zagadnienia, przedewszystkiem sprawę zapobiegania chorobom, pozostawiając na dalszym planie ich leczenie.

Wiadomości o wojnie są skąpe i niepewne. Prasa jest pod ścisłą kontrolą. Parę pism korzysta z zapomóg niemieckich i wysługuje się swym protektorom. Celuje pod tym względem „Godzina Polski“, którą nazywa się popularnie „gadziną“. Nie ulega już wątpliwości, że niewzruszona linja Zygfryda załamała się i że Werdun przeszło od paroletniej obrony do natarcia. Jest to jednak tylko zwrot strategiozny, który mógłby przygotować powolne odstępowanie z zajętych obszarów francuskich i belgijskich na własne terytorja. Byłoby to przedłużeniem wojny na wzór siedmio, albo trzydziestoletniej, gdyby nie pewne granice wytrzymałości cielesnej i duchowej człowieka. Te cztery lata i trzy miesiące nieustannych zmagają się, wstrząsów, niepokoju, obaw, niepewności pozabawiły żołnierza jego hartu. Coraz częściej zadaje on sobie pytanie: poco to wszystko? Już nie wierzy, aby Niemcy mogły panować nad światem, nawet nad Europą środkową. Już zrozumiał, że państwo a cesarz to nie to samo, że ono jest wyrazem wspólnoty i jedności narodów, które je zamieszkują i pracują dla jego potęgi, a on jest tylko przemijającym jego przedstawicielem, który podaje się bezprawnie za jego władcę, przywłaszcza sobie prawa, przysługujące

tylko narodowi, spycha obywatela do roli poddanego, niewolnika...

Żołnierz zaczyna rozumować, że złożył olbrzymią ofiarę krwi, z której jedynym wynikiem jest masa wdów i sierot, głód, powszechne ubóstwo i nienawiść, jaką budzi wśród wszystkich narodów samo imię Niemca. Cudzież te obietnice, że w jesieni 1914 roku Niemiec będzie władcą świata, każdy kolonista — obszarnikiem, na którego pracować będą setki niewolników, każdy rzemieślnik — przemysłowcem, każdy urzędnik — dostojnikiem w olbrzymim państwie, obejmującym Wielką Brytanię, Rosję, Francję, Belgię, Włochy i szereg drobniejszych państweczek. Miało się wtedy śpiewać na obszarze połowy lądu ziemi: „Deutschland über Alles“. O jak inna jest dziś rzeczywistość po czterech latach walk!

Tę zmianę nastroju żołnierza czuje się nawet poza sferą walk orężnych, gdzie jest on tylko postrachem bezbronnej ludności. A cóż musi się dziać na froncie, wśród huku dział, jęku rannych i niepokoju walczących o rodzinę i siebie samych? Początkowo koło się cierpienia i podniecało instynkty pierwotne, nadając walecznym krzyże i odznaki, dbając o ich potrzeby materialne, o spokój i dobrobyt ich rodzin. Jednak akcja, obliczona na kilka miesięcy, załamała się po upływie lat. Dziś nad wszystkimi dążnościami góruje jedno: dość!! Za wszelką cenę skończyć wojnę. Tego piekła nikt nie wytrzyma! Już w początku lipca wzywa do tego w parlamencie Rzeszy poseł Scheideman, a socjaldemokrata Ledebour zapowiada wybuch rewolucji. W początku Sierpnia toczą się w kwaterze Wilhelma narady co do utworzenia Królestwa Polskiego z kandydatami na tron książętami: bawarskim, saskim, bułgarskim, albo ks. Karolem-Stefanem. Rozumiemy, że chodzi o nowych żołnierzy z państwa sprzymierzonego, aby starzy wypoczęli.

Coraz częściej czyta się o „skróceniu frontu”, o „przesunięciu się na zawczasu przygotowane pozycje”. Kubek w kubek, jak przed ustąpieniem moskali w 1915 roku. Oto Wilhelm II zjawia się osobiście w fabryce Kruppa w Essen i wygłasza do robotników wielką mowę, którą kończy zapytaniem: Czy chcecie walczyć i wytrwać do końca? Tak. Z tem tak, idę teraz do feldmarszałka.

Ale frazelogja zawodzi, bo w tym samym czasie w początku września natarcie Francuzów na froncie macedońskim powala Bułgarię i Turcję. Austro-Węgry występują 14 września z propozycją rokowań pokojowych, ale koalicja odpowiada na to odmownie. Nie ulega już wątpliwości, że Niemcy przegrały wojnę i że dokonywa się w nich przewrót. Dnia 30/IX dostaje dymisję kanclerz hr. Hertling, a następcą jego zostaje ks. Maksymilian badeński, zwolennik skończenia wojny.

Wreszcie 5 Października zwracają się państwa centralne do prezydenta Wilsona z prośbą o pokój, zgadzając się na przyjęcie jako podstawy zasad, wyłożonych w jego orędziu z d. 8 stycznia 1918 r. i przemówienia z d. 27/X. A 13-y punkt orędzia Wilsona głosi „Ma być utworzone niepodległe Państwo polskie, obejmujące wszystkie ziemie, zamieszkałe przez ludność niewątpliwie polską, posiadające zabezpieczoną wolność i niezawodny dostęp do morza, i którego polityczna i gospodarcza niezawisłość, jako też terytorjalna nienaruszalność musiałyby być zagwarantowane traktatami międzynarodowymi”.

Idzie jesień. Ale nie jest to „frugifer autumnus, qui fruges effuderit...” Jesień jest bezpłodna, jak przednówek. Jakaż będzie, „bruma iners”, jeżeli nie wypędzi się przed jej nadejściem okupantów. Czy się jednak robi co w tym celu? Rada Stanu radzi. Układa się budżet Państwa Polskiego na II półrocze 1918

r., przewidując w dochodach 4,742,134. Mp. a w wydatkach 59,308,750 Mp, Kto pokryje niedobór? W połowie września złożył Steczkowski prezesurę gabinetu zasłaniając się stanem zdrowia, choć jest zrozumiałe, że niechce być nadal odpowiedzialny za przymusową bezczynność. Po kilkudniowym przesileniu prezesem zostaje Kucharzewski, nie mając lepszej perspektywy działania. choć Austria prosiła już przed dwoma tygodniami o pokój. Kraj jęczy i wyrzeka, modli się o hufce pozaziemskie, o cud, jednak nie ujawnia siły, zdolnej rzec: precz z okupacją! z taką pewnością siebie, jak w swoim czasie Kiliński, Madaliński, Mniewski, Wybicki, Dąbrowski.

Tak kraj jest biedny nie tylko dlatego, że zniszczyli go Moskale, Niemcy, Austriacy, że go ogołocili nie tylko z jada, lecz nade wszystko z ludzi, zdolnych stawić jawnie czoło przeciwnikom, a przynajmniej zorganizować się przeciw nim skrycie. Troska o przetrwanie dzisiaj w nadziei że jutro będzie łaskawsze, wiara, że jakaś potęga pozaziemska sprawi, że obca przemoc upadnie sama, a nie dzięki naszemu mozolowi i wysiłkowi, oglądanie się na Komitet narodowy w Paryżu, który ma wytargować coś dla Polaków, to są objawy bierności i niemocy. Nawet kiedy poseł Daszyński zdobywa się w Parlamencie wiedeńskim na żądanie odbudowy Polski ze wszystkich zaborów po złożeniu przez państwa centralne prośby o pokój i zgody na orędzie Wilsona, nawet w tym spóźnionym, nader spóźnionym momencie nie przyłączają się do wniosku Daszyńskiego zachowawcy z Koła Polskiego!!

Czy zbrakło potomków tych, którzy umieli wznieść trzy powstania przeciw Moskalom? Czy zyskały prawo obywatelstwa teorie, że wystąpienia zbrojne przeciw okupantom były czynem lekkomyślnym? Czy wyrazem rozumu stała się lojalność i uległość wobec zaborców?

Lęk ogarnia na widok tego nastawienia niewolniczego. Może starcy, kobiety i dzieci są niezdolni do czynu, może młodzież trzymana jest w obcych armjach, w obozach, na wygnaniu, w niewoli, więc w kraju wyludnionym nie może powstać myśl twórcza, czyn zbiorowy. A gdzież są ci, którzy podrośli w ciągu trzech lat okupacji niemieckiej? Liczą dziś od 16 do 21 lat. To jest wiek najwięcej pochopny do bohaterstwa. Gdy on przeminie gnuśnie, będzie się już tylko deklamowało z Eneaszem dla Didony: „Infandum, regina, jubes renovare dolorem”. Żądasz królowo, abym wznowił raz jeszcze przebyte niedole. A gdy królowa się zaciekawi, będzie się już zapewniało: „...quae vidi, quorumque ipse pars magna fui...” O tak: patrzyliście na te wielkie wydarzenia, ale czyście w nich brali udział? Oby wam nie powiedziano, jak tej musze, siedzącej na rogach wołu, powracającego od pluga, która się chwali: „oraliśmy”.

W Warszawie wodzą rej aktywiści, zaprzędani okupantom za piastowane przez siebie urzędy i uzyskane przywileje. Jest to dawna ugoda, przystosowana do nowych warunków. Ludzi ona siebie i innych nadziejami na podniesienie oświaty i kultury, na uzyskanie samorządu, niezrażona ciągłymi zawodami takiej wagi jak pokój Brzeski. Wprawdzie Rada Regencyjna odpowiedziała nań 14 lutego odezwą do narodu z powodu niedopuszczenia swych przedstawicieli do rokowań, których mocą państwa centralne odstąpiły fikcyjnej Ukrainie ziemie na wschód od Siematycz, Międzyrzecza, Zamościa. Z tego powodu rada ministrów złożyła nawet swą dymisję. Jednak te papierowe wystąpienia przebrzmiały bez echa. Brak było Wysockiego, któryby wezwał jak 29 listopada 1830 r. szkołę podchorążych: „Polacy! Godzina zemsty wybiła. Dzisiaj zwyciężymy albo polegniemy!” Wprawdzie II brygada legionów odpowiedziała na pokój w Brze-

ściu krwawą bitwą pod Rarańczą. Ale to była raczej demonstracja, wskazanie Europie, że Polacy nie łączą się ze swymi odwiecznymi wrogami. Cóż z tego, że półtora tysiąca legionistów przebiło się przez front austriacki, aby połączyć się z wojskami polskimi w Rosji po ciężkich walkach z bolszewikami? Nie było człowieka, który umiałby pokierować tymi ludźmi również, jak formacjami polskimi w Rosji. Cała ta siła zbrojna skazana została na rozbrojenie, tułaczkę, zaciągnięcie się do formacyj na Murmanie i na Syberji, byle wydostać się z piekła rewolucji bolszewickiej. A reszta brygady Karpackiej marniała i ginęła w obozach w Huszt, Marmarosz-Szigiet i innych.

Wszystkie te rozproszone siły polskie mogłyby zjednoczyć człowiek, umiejący nakazać: Sic volo, sic jubeo! Czy niema takiego na całym obszarze ziem polskich? Niestety niemal Jedyny, który mógł to uczynić, więziony jest od 15 miesięcy w Magdeburgu, bo odmówił zaprzysiężenia I-ej brygady na wierność Niemcom. Jakaż siła skruszy to więzienie i wyzwoli tego mocarza?? Nie jest nią Rada Regencyjna, która wydaje dn. 7. X. orędzie do Narodu Polskiego, zapowiada w myśl 13-go punktu warunków Wilsona zjednoczenie ziem polskich, rozwiązanie Rady Stanu, powołanie rządu z przedstawicieli najszerzych warstw i kierunków politycznych, który ma opracować w ciągu miesiąca ustawę wyborczą do sejmu, opartą na podstawach demokratycznych. Ten sejm ma ustanowić władzę zwierzchnią, której R. Reg. przekaże swe pełnomocnictwa. Rozległy program! Ale o Komendancie Piłsudskim niema ani słowa. Dopiero nazajutrz żąda jego uwolnienia Dyrektor Departamentu Stanu, Janusz Radziwiłł. Ale kanclerz ks. Maksymiljan wzbrania się spełnić to żądanie, które mogłaby postawić tylko Rada Regencyjna.

Niebawem J. Kucharzewski ustępuje ze stanowi-

ska premiera. Rada Reg. wzywa oficerów i żołnierzy z legionów i innych formacyj do stawienia się do wojska polskiego. A gdzież jest wódz, zdolny skupić te rozproszone siły, wydostające się z obozów i z tułaczki? Czy ma się to dokonać samo w myśl zasady: znosiliście trudy wojny przez kilka lat, więc,.. znóście dalej. Inaczej ujmuje to ludność. W d. 14/X przechodzą przez ulice Warszawy pochody wojskowe i socjalistyczne, a wiec w filharmonji żąda zwołania sejmu ustawodawczego, odbudowy demokratycznej Polski i powołania Wodza Narodu, Komendanta Piłsudskiego, na należne mu stanowisko.

A tymczasem akcja rządu niemieckiego w sprawie pokoju doznaje niepowodzenia. Dnia 9/X przesyła Wilson posłowi szwajcarskiemu odpowiedź, żądającą opuszczenia przez Niemców obszarów okupowanych. A kiedy i na to żądanie Niemcy się zgadzają, zjawia się zastrzeżenie Ameryki zaprzestania rekwizycji i rabunku w ziemiach zajętych oraz żądanie zmiany rządu niemieckiego. Walki na froncie zachodnim nie ustają a powodzenie państw sprzymierzonych jest zupełne. Anglja żąda kapitulacji Niemiec, Francja -- obsadzenia linji Renu, oddania Metz, Strasburga, łodzi podwodnych, floty...

Wobec niepowodzeń dyplomatycznych i wojennych państw centralnych i osaczenia ich ze wszystkich stron wygląda dziwnie stanowisko Polski. Gdzież jest czyn nasz?! „Przegląd Poranny” występuje jawnie przeciw bezsilności Rady Regencyjnej i pisze d. 19/X, że „nie ona będzie realizowała zasady swego orędzia, bo nie ma na to siły, nie rozumiejąc, że nie da się pógodzić haseł bojowych z taktyką ugody. Powierając sprawę nowego rządu kołu międzypartyjnemu, Rada Reg. skapitulowała, poniosła klęskę i przestała być czynnikiem najmniejszej siły... Buchnęło i zgasło...”

W nowotworzonym rządzie odmawiają udziału socjaliści i Stronnictwo Niezawisłości Narodu. Żądają oni uwolnienia J. Piłsudskiego i postawienia go na czele rządu. Od połowy października zjawiają się tłumy na każdy pociąg, przychodzący z Niemiec, w nadziei powitania uwielbianego Komendanta. A tu prowadzi się coraz wyraźniej akcję, aby ściągnąć do Warszawy zachowawców i ugodowców ze wszystkich zaborów i oddać im rządy Polski, której nie mogą wystawić sobie inaczej pp. Bobrzyńscy, Głabińscy, Trąpczyńscy, Grabscy, niż zależnej od państw centralnych i okrojonej do rozmiarów dawnej Kongresówki i Galicji zachodniej, bo Niemcy nie zrzekną się dobrowolnie Poznańskiego, Pomorza i Śląska. Ukraina uważa Galicję wschodnią, Polesie, Podlasie i Wołyń za swą własność, a inni sąsiedzi mają również wybujałe łaknienie.

W tym zamęcie powstaje gabinet Józefa Świeżyńskiego. Jest on wyrazem chyba wielkiej odwagi cywilnej, albo... Nie może liczyć na poparcie społeczeństwa, które żąda ludzi czynu. Zresztą trudno przewidzieć, jak potoczą się wydarzenia, bo dotychczas nie widać budowniczego, który byłby zdolny założyć podwaliny państwa. Zaczynają to rozumieć nawet konserwatyści galicyjscy: na naradzie u regenta Ostrowskiego, a po dwu dniach na zebraniu w Tow. Higienicznym (19X) uchwalają, że potrzeba silnego rządu, złożonego z przedstawicieli wszystkich kierunków, szybkiego zwołania sejmu i ustąpienia niecierpiącej się zaufaniem Narodu Rady Regencyjnej. Są to śmiałe żądania jak na ludzi, którzy jeszcze niedawno uważali samorząd polski pod opieką Austrii za najwyższą zdobycz wojny.

Świeżyński rozumie, że silny rząd, to silny człowiek, cieszący się zaufaniem Narodu. To też zawiadamiając kanclerza Rzeszy o swem powołaniu na

premjera (? poco?), prosi jednocześnie o uwolnienie bryg. Piłsudskiego. Jednak ks. Maksymiljan odmawia tej prośbie, żądając rękojmi, że brygadjer nie naruszy porządku na terenie okupacji. Znowu więc akcja kończy się na gadaninie, choć w tym czasie zachodzą wydarzenia przełomowe. Oto Ludendorff ustąpił ze stanowiska głównodowodzącego, cesarz Karol ogłasza 16|X 18 r. manifest o przeobrażeniu Austrii na związek państw narodowych. Czesi rozbijają wojska austriackie i tworzą własne zastępy. Węgry, Chorwacja, Kroacja objęte są rewolucją. W Niemczech konstytucja ulega zmianie a Wilhelm II oddaje urząd cesarza do usług narodu (1|XI). W Galicji obejmuje polska Komisja Likwidacyjna władzę nad wojskiem, a gen. Roja zostaje mianowany przez R. Reg. dowódcą brygady w Krakowie.

Położenie rządu jest trudne. Brak w nim ludzi, mających zaufanie Narodu, brak zorganizowanej siły zbrojnej, brak pieniędzy i oparcia dla waluty. Rada Reg. ogłasza d. 3|XI dekret o 5%owej pożyczce wewnętrznej. Jednocześnie rząd zwraca się do Narodu z wezwaniem do współpracy w budowie Rzeczypospolitej Ludowej, której przekaze swą władzę. Odezwę podpisuje jedenastu ministrów. Rada Reg. czuje się dotknięta tym aktem, przesądzającym charakter powstałego państwa, i ogłasza nazajutrz (4|XI) dymisję całego gabinetu, kontrasygnowaną przez Świeżyńskiego, który przez to przekreśla swój czyn wczorajszy. Prasa nazywa ten dekret obroną „okopów św. Trójcy” i gromi trójkę regentów, niezdolnych zrozumieć doniosłości chwili i ducha czasu. Wszak w tym samym dniu, gdy R. Reg. broni się przed powstaniem Rzeczypospolitej ludowej, oswoiwszy się z myślą, że przekaze swą władzę po dwu latach jej piastowania pomazańcowi z najjaśniejszego rodu Hohenzolców, Habsburgów, Sasów lub innych specjali-

stów od królowania z urodzenia, cesarz Karol godzi się na haniebne warunki zawieszenia broni z Włochami, przekazuje naczelne dowództwo bar. Kocvessowi i... likwiduje swój dwór. Czy nie słyszycie panowie z R. Reg., jak rozbrzmiewa pieśń: „...O, cześć wam księżęta, biskupi, prałaci za kraj nasz krwią bratnią zbrukany”?

Oto w Lublinie składa pułk. Rydz-Śmigły przysięgę „na wierność Ojczyźnie” a nie podług obowiązującej roty. W Piotrkowie zbierają się 2 XI b. legioniści, zaprzysięgają wierną służbę Ojczyźnie, przechodzą pochodem przez miasto, zrywają obce godła, rozwieszają polskie sztandary, uwalniają siedmiu więźniów politycznych, zajmują Komendę miasta. W Krakowie powstaje dyrektorjat Rzeczyp. Ludowej z pięciu osób i żąda ustąpienia R. Reg. (5 XI). Dymisjonowani ministrowie występują z protestem przeciw kontrasygnowaniu dymisji przez Świeżyńskiego, z wyjątkiem pp. Ponikowskiego i Higersbergera, którzy uznają ten podpis za słuszny. Jednocześnie nadchodzi wiadomości o walkach z rusinami pod Lwowem i Przemyślem.

Z pod nóg Rady Reg. usuwa się ziemia. Dziś ustąpiłaby chętnie. Niema jednak komu przekazać władzy. Nagle spada wiadomość, że w Lublinie powstał rząd ludowy z Ignacym Daszyńskim na czele, złożony z kilkunastu socjalistów i ludowców: St. Thogutt, Rydz-Śmigły, J. Moraczewski, Dubiel, Marjan Malinowski, Arciszewski, Ziemęcki, Nocznicki, Stolarski, Witos, Poniatowski, Downarowicz, Sieroszewski. Ten rząd wydaje odezwę do ludu, zaznaczając, że; 1) Rzeczyp. ludowa obejmie wszystkie ziemie, zamieszkałe przez Polaków, a prezydenta wybierze Sejm, 2) R. Reg., która działa na szkodę ludu, przestaje istnieć. 3) obecny rząd urzędniczy ma się podporządkować 4) sejm będzie zwołany najpóźniej w grudniu, 5) wszyscy oby-

watele są równouprawnieni, 6)7) wszystkie majoraty i lasy przechodzą na własność państwa, 8) w przemyśle obowiązuje 8-io godzinny dzień pracy i t. d. Manifest podpisują wszyscy członkowie, a Rydz-Śmigły w charakterze zastępcy Komendanta Piłsudskiego. Nazajutrz ogłasza Witos, że nie należy do rządu tymczasowego, jednak świadkowie udowodniają, że mija się z prawdą, po nieważ brał czynny udział w orgazacji i podpisał manifest.

Przeciwstawiając się rządowi lubelsko-krakowskiemu, chcą utwożyć nowy rząd grupy zachowawcze: Koło Międzypartyjne, Związek Budowy Państwa, Nar. Zw. Robotniczy, Zjedn. ludowe i Liga Państwa Polsk. Daje to Radzie Reg. powód do... zachowania mandatów, choć Beseler ogłasza rozwiązanie gen-gubernatorstwa Warszawskiego i przekazuje jego agendy władzom polskim wyłączwszy koleje i telegrafy. Właśnie w Niemczech wybucha rewolucja. Wilhelm II zrzeka się tronu, a ks. Maksymiljan-kanclerstwa, które obejmuje socjalista Ebert. Tworzy się Rada Robotników i Żołnierzy, która skupia w swych rękach całą władzę państwową. Niebawem na zamku cesarskim i na bramie Brandenburskiej powiewają czerwone sztandary, wywieszane przez Karola Libknechta. Wilhelm ostatni umyka pospiesznie do Holandji.

W całych Niemczech tworzą się miejscowe Rady Robotnicze i Żołnierskie. Przekazanie im władzy dokonywa się spokojnie. Wojsko składa broń bez oporu i wraca do domu. Beseler ucieka pospiesznie z Warszawy, nie czekając na rozprawę z miejscową Radą. Jednocześnie rewolucja uwalnia komendata Piłsudskiego i pułk. Sosnowskiego z twierdzy w Magderburgu. Muszą oni stawić się do Berlina, skąd po kilku godzinach udają się do Warszawy.

Cała Polska czeka z biciem serca na ten moment. Jest to jedyny człowiek, zdolny skupić koło siebie obywateli kraju i tchnąć w nich myśl twórczą.

Gdyby dziś ogłosił się królem, dyktatorem, prezydentem, pochylilyby się wszystkie głowy w głębokim przedświadczeniu, w niezłomnej wierze, iż tak właśnie należało uczynić, a miliony głosów wołałyby: rozkazuj! stoimy przy Tobie! Ale On nie myśli o sobie, tylko o wysnionej Polsce. Doszedł do celu swego pracowitego, ofiarnego żywota: wskrzesił Ojczyznę z grobu, w który wtręcili ją targowiczanie. Dziś staje przed rodakami nie jak triumfator, żądny hołdów i zaszczytów, lecz jako pierwszy budowniczy. Otaczają go wyprobowani w bojach i pracy twórczej towarzysze z pod sztandaru: „My pierwsza brygada...” Dziś, kto czuje się Polakiem, dąży pod ten sztandar..

XII. „Imię Jego czterdzieści i cztery”

11 Listopada 1918 r. bądź nam błogosławiony! Od ciebie zaczyna się nowa era Polski, odkąd wśród nas stanął Mąż, przewidziany przez wieszczów:.. „wskrzesiciel Narodu. Z matki obcej; krew jego dawne bohaterzy, A imię jego będzie czterdzieści i cztery...” Głowiliśmy się w wieku młodzieńczym, kto On będzie. Ale wierzyliśmy wiarą nie prostaczków jeno, lecz tych, w których umysłach żyła Polska, że ten Mąż przyjść musi, aby dać świadectwo Prawdzie i Sprawiedliwości dziejowej. Pięć pokoleń oczekiwało tego Dnia. I odeszły z nadzieją, że ujrzą Go potomni. Sądzono, że przepowiedzianym był Napoleon, bo jego inicjały miały tworzyć liczbę rzymską XLIV Ale on zawiódł nadzieje i zdobył się tylko na Księstwo Warszawskie. A potem oczy pokoleń zwracały się do każdego wybitnego działacza z pytaniem: czy nie On?

Ilekróć nasi rozbiornicy musieli prowadzić wojnę, zawsze czekaliśmy z drzeniem serca, czy nie będzie

to wojna ludów. A gdy przyszedł pamiętny 1 Sierpień 1914 r., nie mieliśmy wątpliwości, że to „chwila osobliwa“ zapowiedziana przez Wernihorę. W zmaganiach i trudach zatarła się u wielu ta świadomość, bo zapomnieli, że: „...życie jego — trud trudów, a tytuł jego — lud ludów...”

Ale dziś widzą, powalone trzy trony rozbiorców, wyzwolenie narodów, okutych w kajdany, dojście do władzy ludu tam, gdzie rządili wszechwładnie pomazańcy. I mogą powtarzać prorocstwo natchnione: „To namiestnik wolności na ziemi widomy! ...Nad ludy i nad króle podniesiony. Na trzech stoi koronach, a sam bez korony...”

Więc dożyło się tego upragnionego dnia! Widzi się Bohatera, będącego wcieleniem przepowiedni wieszczów. Nie dochodzi się już znaczenia liczby 44. Lecz jest się szczęśliwym, że się było skromnym uczestnikiem tych trudów, a nie tylko świadkiem wielkich czynów Męża...

On wie wszystko, co się działo w Polsce przez 15 miesięcy, kiedy był więziony. Czy gołębie pocztowe, wysłańcy, lub fale eteru przynosiły wieści z Kraju? Nie. Izolacja była całkowita. Lecz Mąż ów wyrósł z Narodu, znał go nawskroś, żył z nim w swem oddzieleniu jego życiem. I dość było Mu, aby się dowiedział, że uwalnia go z więzienia nie Rada Reg., nie rząd polski, lecz rewolucja niemiecka, aby objął swym sokolim wzrokiem cały okres osamotnienia i rzekł: wreszcie przyszła chwila, która przyjść musiała! Bo dla Niego była to konieczność dziejowa, logiczne rozwiązanie splotu przeciwieństw. Tego nie rozumiał szeroki ogół, jęczący i biadający nad każdym nowym ciężarem i niezdolny powiązać ogniów własnych przeżyć w jeden wielki łańcuch życia Narodu i w nierozzerwalny zespół przyczyn i skutków.

Zaraz po powrocie odbywa Komendant naradę

z Radą Reg., która zawiadamia Komisję Likwidacyjną w Krakowie i Koło Polskie w Poznaniu o jego przyjeździe i wzywa je do stawienia się w Warszawie w celu utworzenia rządu. W imieniu rządu ludowego zjawiają się u Komendanta Daszyński i Sieroszewski z oświadczeniem, że ten rząd i wszystkie stronnictwa lewicy oddają się Mu bez zastrzeżeń. Meldują się służbowo, jako ministrowi wojny: gen. Rozwadowski, szef Sztabu Generalnego, gen. Wroczyński, p. o. v-ministra wojny, gen. Babjański, Jacyna i inni. Zjawiają się delegacje: Koła Międzypartyjnego, P. P. S., młodzieży akademickiej, Rady rewolucyjnej niemieckiej. Komenda Nacz. P. O. W. wydaje odezwę do obywateli, która głosi między innymi:... Dzień dzisiejszy oznacza początek nowej epoki dziejów naszych... Minęły czasy naszej ciężkiej pracy podziemnej. Nie jesteśmy już sami. Przed nami kroczy Ten, któremu oddaliśmy siły nasze i nasz posłuch, Budowniczy Narodu i jego pierwszy żołnierz. Na rozkaz jego stawcie się do szeregów, obywatele, żołnierze P. O. W..."

Pochody i manifestacje na cześć Komenda trwają bez przerwy. Dom na ul. Moniuszki № 2, gdzie chwilowo zamieszkał, jest otoczony przez tłumy, które pragną ujrzeć Go. Ukazuje się na balkonie, choć jest chory i przemęczony. Tłumy wznoszą okrzyki na Jego cześć. Nastrój radości zakłóca parę zajść. Oto Niemcy postrzelili w Al. Jerozolimskich fryzjera Majchrzaka, a na to tłum odpowiedział poranieniem dwu oficerów niemieckich. Manifestacja żydowska przy Pawiaku żąda uwolnienia więźniów. Tłum niszczy na Marszałkowskiej 79 redakcję „Naszej Trybuny”. Żydzi manifestują na ul. Karmelickiej, wołając „precz z Polską i Piłsudskim” i rozbijają dwu żołnierzy. Na Złotej napadają żydzi na patrol, który daje strzał i kładzie trupem Jankła Frydmana.

Od d. 10. XI. trwa rozbijanie Niemców, i zry-

wanie oznak, napisów i godeł obcych. Legjoniści opanowują dworzec wiedeński, aby zapobiec wywożeniu broni i zapasów. Belweder i mosty obstawione są wojskiem polskim. W nocy prowadzi ono walkę z Niemcami o ratusz i pałac Saski. Nad ranem zdobywa ono dykcję kolei na Nowym Świecie i przelewa do skarbu znalezione tam 1,800, 000 Mr. Po bitwie, w której Niemcy posługują się mitraljezami, raniąc 18 osób, zostaje zajęta cytadela z całym sprzętem wojennym i zapasami. Więźniowie polityczni zostają uwolnieni. Niebawem wojska polskie zagarniają Pol. Kasę Kredytową z całą gotówką, która przechodzi pod kierownictwo Stan. Karpińskiego, Zyg. Chamca i komisarza Englicha. Prezydent policji Glasenapp. zabarykadował się w ratuszu, broniąc 40 milionów Mr. i zapasów sukna. Po stoczeniu bitwy legjoniści opanowują ratusz i zamek. W podobny sposób przechodzą w ręce polskie inne urzędy i placówki.

Z całej Polski nadchodzą wiadomości o manifestacjach na cześć Komendanta i o walkach z okupantami. Przemyśl zostaje odebrany rusinom pod wodzą pułk. Tokarzewskiego. Jednocześnie konserwatyści protestują przeciw rządowi lubelskiemu, Witos i Dubiel wypierają się udziału w nim, a kobiety pod wodzą dr. Budzińskiej — Tylickiej i Daszyńskiej — Golińskiej zwołują wiec w sprawie równouprawnienia. Słowem po wczorajszej martwocie bije dziś twórcze życie. Związek Budowy Państwa Pol. zwraca się do Rady Reg. z odezwą o przekazanie Komendantowi całej władzy. Tego samego żądają aktywiści. Koło Demokratyczne oddaje się pod Jego rozkazy. Liga kobiet przygotowania wojennego wzywa do pracy podług wskazówek Piłsudskiego. Koło prawników wręcza Mu starożytną buławę hetmańską i 100,000 Mr. do dyspozycji.

Wobec tych powszechnych objawów czci i zau-

fania Rada Reg. zdobywa się na czyn: przekazuje władzę wojskową i naczelne dowództwo W. P. brygadierowi Piłsudskiemu, zobowiązując Go wszakże do stwierdzenia własnym podpisem, że złoży On swe pełnomocnictwa nowoutworzonemu rządowi narodowemu. Jest to akt niewiary wobec Męża, którego Naród wskazuje: to On!

W d. 12. XI. wydaje Komendant odezwę do narodu, oznajmiając: Rada Reg. zwróciła się do mnie z prośbą o podjęcie się utworzenia rządu narodowego, w którego ręce mogłaby złożyć swą władzę. Porozumiałem się z Tym. Rz. Lud. Rz. Pol. w Lublinie i postanowiłem wezwać przedstawicieli stronnictw w celu poznania ich zapatrywań na tę sprawę. Drugą odezwę kończy On wezwaniem: „Obywatele!.. Wzywam was wszystkich do zachowania zimnej krwi, do równowagi i spokoju, jaki powinien panować w narodzie, pewnym swej wielkiej i świetnej przyszłości.” A dalej zjawia się rozkaz № 1 do żołnierzy, w którym Komendant wzywa ich do spełnienia obowiązków względem własnej Ojczyzny. Niebawem studenci wyższych uczelni uchwalają zawieszenie wykładów, aby mogli wszyscy wstąpić do szeregów. Tegoż dnia 800 słuchaczy uniwersytetu i politechniki zapisuje się do P. O. W. Jednocześnie P. P. S. uchwała na wiecu w cyrku żądanie natychmiastowego ustąpienia Rady Reg., grożąc w przeciwnym razie strejkami powszechnym. Rada m. Warszawy, ustanowiona przez okupantów, spieszy nadać Komendantowi godność honorowego obywatela stolicy. Nawet komitet bezpieczeństwa ludu żydowskiego (?), który trzymał się do ostatniej chwili z Niemcami, spieszy wydać odezwę, potępiającą nienawiść i solidaryzującą się z Polakami co do niepodległości i niepodzielności Polski. Jest to czuły probierz wygranej Komendanta. Pytanie, czy szeregi wojska polskiego zapełnią się teraz nowy-

mi „patriotami,“ czy też żydzi wyniosą się na studia do zakładów zagranicznych i podawnemu będą wykazywali 70 pro. niezdolności do wojska z powodu choroby, stwierdzonej podług wszystkich zasad sztuki?

W tym momencie ogólnego skupienia się Narodu przy Komendancie zgłasza Wincenty Witos, przewodca galicyjskich chłopów, propozycję do Rady Reg. utworzenia przez siebie rządu narodowego. Czy jest to Filip z konopi, czy też jednostka podstawiona przez obozy zachowawcze w celu zaszachowania „socjalisty“ Piłsudskiego? W każdym razie jest to przykry zgrzyt, dysonans, jak w koncercie Jankiela, gdy mistrz:

... umyślnie trąca
wciąż tę zdradziecką strunę, melodyję zmaca,
coraz głośniej targając akord rozdasany,
przeciwko zgodzie tonów skonferedowany.
Aż klucznik pojał mistrza, zakrył ręką lica
i krzyknął: Znam! znam głos ten! To jest Targowica!
I wnet pękła ze świstem struna złowróżąca..“

Dziś tych fałszywych strun jest jeszcze niewiele, bo przy Komendancie stoją rzesze jego współpracowników ze Strzelca, z Legjonów, z P. O. W. Ale oni wrócą do szeregów, by wyrąbać szablami i zrosić własną krwią granice Polski. Czy nie przerzedzi to zastępów pracowników na niwie państwowej i społecznej? Władza ma duży urok. Łaknienie jej ma cechy chorobowe wilczego głodu. To też szybka organizacja odpowiedzialnego rządu jest najważniejszym zagadnieniem chwili.

Po parodniowych naradach z przedstawicielami wszystkich stronnictw powierza Komendant utworzenie gabinetu Ignacemu Daszyńskiemu. Właśnie abdykowała Rada Reg. Prasa streszcza okres jej rządów ugodowych, pozbawionych inicjatywy i twórczości, zwłaszcza przypomina niesławną mowę ks. Lubomirskiego na dworcu berlińskim w dniu ogłoszenia orędzia Wilsona.

Skon Rady R. nie budzi w nikim żalu, jak koniec nie-
dołęgi, który był tylko ciężarem. To też cały ten akt
odbywa się po domowemu bez wszelkiego udziału
społeczeństwa i pozostaje po nim tylko data: d. 14
Listopada 1918 r.

Jest to chwila bądź co bądź przełomowa. Li-
kwidacja ustroju, wprowadzonego przez okupantów
i nieopartego na woli narodu, powinna stać się po-
czątkiem niezależnego zespolenia sił twórczych, ma-
jących na względzie tylko dobro i potęgę Państwa.
Do tego jednak nie dorosli działacze, będący na wi-
downi. Zaczynają się targi o teki dla przedstawicieli
stronnictw. Największe apetyty mają konserwacysty
galicyjscy i N. D.. P.P.S. nie pozostają w tyle, powo-
łując się nietylko na swe rzeczywiste zasługi, lecz i
na to, że w państwach centralnych wodzą dziś rej
socjaliści i rewolucja. Chęć przeforsowania składu
rządu lubelskiego nie udaje się. Fatalne wrażenie wy-
wołuje wywieszenie na zamku sztandaru czerwonego
i pierwsza depeszą premiera Daszyńskiego do rady
stanu w Wiedniu i do p. Adlerowej z powodu śmierci
jej męża, przewodcy socjalistów austriackich. Mo-
żna to było uczynić we własnym imieniu, albo swego
stronnictwa. Lecz na stanowisku premiera rządu był
to krok niepaństwowy.

Zaciekłość partyjnicza P.P.S. zaznacza się zwłasz-
cza wobec pochodów narodowego ku uczczeniu wskrze-
szenia Polski. Wprawdzie prawica chce nadać tej u-
roczystości własne piętno. Jednak oddzielenie się
P.P.S. od ogólnonarodowego obchodu ujawnia prze-
dewszystkiem, że to stronnictwo jest nieliczne i nie-
ma bynajmniej podstaw przewodzenia w państwie. A
poza to pogroźki co do zamachów na sztandar czer-
wony na zamku robią nader przykre wrażenie. Toteż
nietylko stronnictwa zachowawcze, ale ogół społec-
zeństwa przeciwny jest rządowi socjalistycznemu. Ten

nastroj wyzyskuje N.D. na wiecu, gdzie p. Głabiński protestuje przeciw udziałowi w rządzie Daszyńskiego i członków samozwańczego rządu lubelskiego. Korzystając z poparcia tego wniosku przez wiecujących, dopuszcza się Głabiński demagogii pod adresem organizacyj wojskowych, które charakteryzuje, jako gnuśne, ponieważ nie dokonały skutecznej odsieczy Lwowa. Komu, jak komu, ale ekscelencji austriackiej i przedstawicielowi N.D., która zwalczała Legjony i ich Komendanta, nie licuje stawianie takich zarzutów, które brzmią jak „zdradziecka struna“ na cymbałach Jankiela.

Organizacja armji postępuje szybko. Byli wojskowi zgłaszają się na wezwanie Komendanta. Również jeńcy i studenci wstępują do szeregów. Piłsudski wysłał depeşe 16|XI do rządów wszystkich państw, zawiadamiając je o odbudowie Polski, i do Wilsona i Focha z prośbą o skierowanie do Polski wojsk polskich z pod sztandarów koalicji. Tak z niczego tworzy się w ciągu kilku dni armja, pochodząca z rozmaitych formacyj, uzbrojona licho w oręż, odebrany okupantom. Jest to prawdziwy cud. Ale dla obozu targowiczian niema przeszkody, aby nazwać to w celach demagogicznych... gnuśnością.

Z Komendantem liczą się nawet niemieckie rady żołnierskie i wyjadą odezwę, zalecającą rodakom przestrzeganie neutralności. Wprawdzie Glazenapp, zamknąwszy się w ratuszu, spalił tajne dokumenty, jednak stosunki z Niemcami układają się dość poprawnie, choć są oni rozbrojeni i nie mogą już rabować kraju. Jest to zwrot zupełny. Wszak za rządów Rady Reg. wywieźli Niemcy nawet... podziemne kable telefoniczne (!!). A co czynili wtedy przedstawiciele stronnictw, rzucających dziś oszczerstwa gnuśności? Składali adresy wiernopodańcze i obłapiali okupantów za kolana. Dziś aresztuje się b. szefa policji tajnej niemieckiej, Pokrzywnickiego, zniemczalego mazura, któ-

ry wydał wielu Polaków. Czemuż chodzą na wolności Polacy, którzy dla celów stronnicznych targają się na majestat Państwa?

Komendantem milicji m. st. Warszawy zostaje Jan Gorzechowski, który uprowadził w 1906 r. z Pawiaka dziesięciu więźniów politycznych. Ówczesny gen-guber. Skallon powiedział policmajstrowi Klajglowski:—powinien zająć pańskie stanowisko. Było to proctwo. Czy jednak G. zdoła się dostosować do nowych warunków? Wszak co innego jest walka z przemocą okupanta a co innego dbałość o porządek i ład we własnej Ojczyźnie. A tu zaczynają się gwałty. Oto „Robotnik“ wydobywszy się z podziemi, zajmuje bezkarnie redakcję i drukarnię „Godziny Polskiej”. Nikt nie martwi się, że ta „gadzina”, subsydjonowana przez okupantów, przestaje wreszcie wychodzić. Ale czy P.P.S. powołani są do grabieży? Czy nie prościej byłoby osadzić pod kluczem p. Napieralskiego do czasu wyroku sądowego, a jego warsztat deprawacji opieczętować? Tolerowanie porachunków partyjnych i osobistych jest początkiem bezrządu. Toteż patrzy się z lękiem na nowe niebezpieczeństwo, grożące powstającemu Państwu.

Rozumie to Wódz Naczelny. Dopóki walczył z caratem i okupantami, stosował metody socjalistyczne. Dziś wznosi się nad poczynania partyjnictwa i obejmuje sprawę całej Polski. Widzi, że popieranie samowoli i walki klasowej podkopałoby podwaliny państwa. Więc przyjmuje d. 18|XI dymisję Daszyńskiego, który nie znalazł poparcia innych stronnictw. Jednocześnie z dymisją składa Daszyński listę gabinetu z Jędrzejem Moraczewskim na czele, złożonego w przeważnej liczbie z socjalistów. Zgóry więc widać, że ten rząd nie będzie miał poparcia narodu, który nie stanie pod czerwonym sztandarem. Niemożna również dopuścić, aby orzeł biały na tarczy amarantowej miał być przy-

właszczonej przez potomków tych, którzy go sprzedali za srebrniki, zwalczając konstytucję 3 maja i Kościuszkę i oddając się w opiekę obcym mocarstwom.

Nie dość wskrzesić Polskę, aby ją utrzymać przy życiu. Oto ze wszystkich stron dochodzą protesty. Wiec Nar. Zw. Robotniczego żąda utworzenia rządu z partyj polskich zamiast dyktatury P.P.S., odsieczki Lwowa, zajęcia Poznańskiego i Śląska, upaństwowienia kolei, kopalń, fabryk, lasów, ustalenia 8-io godzinnego dnia pracy, rozwiązania rad miejskich, zarekwirowania wszystkich środków spożywczych, podjęcia robót publicznych. Każde z tych słusznych żądań robi wrażenie, jakgdyby rząd je zaniedbał. Ma to cechy demagogji, obliczonej na zyskanie dla siebie głosów bezkrytycznego tłumu.

Inne partje występują z formalnemi deklaracjami przeciw rządowemi. Koło Międzypartyjne pisze: „...Kom. Piłsudski, otrzymawszy od R. Reg. mandat utworzenia rządu narodowego, nie spełnił przyjętego na siebie obowiązku, powołując gabinet partyjny...” i zapowiada bezwzględna opozycję. — Zjednoczenie narodowe Galicji głosi: „Kom. Pił. ugiął się przed żądaniem swojej partji... Przeciw temu Z. N., potępiając ten zamach, jaknajsilniej ostrzegają, uważając to za wyraz ustępliwości wobec terroru”. Ten utwór literacki podpisuje jakiś prof. Sużycki, o którego czynach wojennych i społecznych milczą kronikarze. — Koło polskie w dzielnicy pruskiej protestuje „przeciwko powierzeniu władzy w ręce rządu partyjno-klasowego”. N. D. Galicji głosi: „...stwierdzamy z ubolewaniem, że nie znaleźliśmy zrozumienia chwili u czynników, które się podjęły tworzenia rządu. Rząd ten nie jest narodowy i nie może liczyć na zaufanie całego narodu.” A pod tą elukubracją widnieją podpisy, cieszących się zaufaniem „całego narodu” cesarsko-królewskich ekscelencyj: Głębińskich, Ptasiów, Rymarów, Sobieskich.

Ci zasłużeni dla ś. p. Austrii działacze nie dają się zakasować żydowskiemu „Bundowi“, który pisze do Komendanta: „Sz. Panie... jako partja Soc.—Dem, zajmujemy stanowisko zasadniczo opozycyjna względem każdego rządu burżuazyjnego (?),.. Rząd przez Was utworzony nie może odpowiadać naszym postulatom pryncypjalnym“. Ten piramidalny dokument nie jest wykuty z jednej bryły, bowiem postulaty „pryncypjalne“ i „rząd burżuazyjny“, kłócą się z „Szanownym Panem“. Tylko terminator krawiecki może zeszyć je w jedną całość; czeladnik poskrobałby się uprzednio w potylicę, a majster zaniechałby tej łataniny.

Pełna godności jest tylko deklaracja P. Zw. Demokratycznego, który pragnie rekonstrukcji gabinetu, byle nie przerobienia go z P.P.S. na N.D., pozostawia na to czas Piłsudskiemu i gotów jest współdziałać z obecnym rządem w jego poczynaniach, pożytecznych dla kraju (28|XI)

Komendant przyjmuje wszystkie te wystąpienia do wiadomości, jednak robi swsje, jak Mu nakazuje sumienie i racja stanu. Od powrotu do kraju jest chory, gorączkuje i prawie nie opuszcza łóżka. Jednak pracuje po kilkunaście godzin na dobę. Dekretami d. 16|XI mianuje gen. Szeptyckiego szefem sztabu generalnego, pułk. Sosnkowskiego — dow. Okr. Warszawskiego, pułk. Rydza-Śmigłego — dow. okr. Lubelskiego, gen. Iwaszkiewicza — dow. okr. Kieleckiego, gen. Gologórskiego — dow. okr. Krakowskiego. Gen. Rozwadowski zostaje wysłany na odsiecz Lwowa, który zdobywają wojska polskie 21. XI, stwierdzając przytem, że grupy żydowskie, niemieckie i austriackie walczyły po stronie rusinów. Jednocześnie dostają się do niewoli pod Przemyślem austriaccy generałowie Pfeffer i Ambros. Niemcy rabują i palą Podlasie, Białostockie, Wołyń, korzystając z kłopotów Polski. W Lubelszczyźnie tworzą się rady robotników i żołnierzy, które rozbrajają

żandarmów i oddają majątki pod zarząd fernali W Moskwie zostaje internowane poselstwo polskie, a bolszewicy występują gwałtownie przeciw Polsce. Wojska koalicji zajmują Ukrainę i Podole.

W tym splocie wydarzeń niemożliwe jest dopuszczenie, aby rządy sprawiali nacjonaści, bo byłby to bodziec do bolszewizmu. Spokojna i rzeczowa deklaracja rządu tymczasowego (18. XI.) daje rękojmię, że najpilniejsze zagadnienia państwowe i społeczne będą załatwione w duchu demokratycznym. Dn. 21/XI zjawia się dekret o najwyższych władzach Republiki Polskiej, mocą którego zostaje Piłsudski Tymcz. Naczelnikiem Państwa. Jestto akt pierwszorzędnej doniosłości. Musi być ktoś na stanowisku kierowniczym, bo całość sama się nie złoży. Niebawem zjawia się dekret o 8-io godzinnym dniu pracy niezmiernie ważny, jako uspokojenie umysłów klas pracujących i przeciwdziałanie agitacji bolszewickiej. Dn. 28.XI zostaje ogłoszony dekret o ordynacji wyborczej do sejmu ustawodawczego, dekret o powołaniu sędziego Bron. Sobolewskiego na generalnego komisarza wyborczego i dekret o utworzeniu rad gminnych w b. król. Polskiem. Jestto olbrzymia praca, wykonana wciągu paru tygodni wśród huku dział i walki stronnictw.

Opinia publiczna jest ciągle prowokowana. Oto pod Mińskiem Maz. rzucił jakiś niewiadomy samolot odezwy, wzywające do wyrznięcia Niemców, podpisane rzekomo przez Naczelnika Państwa. Ze Lwowa dochodzą wiadomości o pogromie żydów, zorganizowanym jakoby przez wojsko; jednak śledztwo wykazuje, że chodziło tu o bandytów, wypuszczonych z więzień przez rusinów. Na wiecu w cyrku lewica nie dopuszcza Korfantego, Dymowskiego i Niemojewskiego do głosu; wtedy Niemojewski oświadcza, że chcieli go aresztować żandarmi i woła: „Polska was przeklina!” Cóż, panie Andrzeju? Resztką twego wolnomyślicielstwa

rozpuściła się w zatęchłej sadzawce N,—D.! „Miałeś, chanie złoty róg, został ci się ino sznur”. A jest nim megalomanja, która pcha cię zawsze do czynów nieobliczalnych. Oto, korzystając ze zniesienia cenzury obcej, pozwalasz sobie na bandytyzm prasowy pisząc: „Ja ukrywam się w stolicy wśród ludu, a ty w Belwedrze przed ludem... Bezbronny jestem, a mam władzę nad sercami ludu. Ty zaś uzbroiłeś się od stóp do głów, a władzy twojej lud się sprzeciwia i rozkazów twoich spełniać nie pozwala. Ja rzucam myśli, twoja bojówka odpowiada mi kulami. Tedy chyba każdy z nas pokazał, czym (?kim) jest. Nie myśl, że chcę cię strącić, aby zająć twoje miejsce. Królestwo moje nie jest z świata dyktatur, prezydentur i ministerjów. Od tego są inni, ale nie powinni być do ciebie podobni.” Na twoje: „Ja a ty” łatwo ci odpowiedzieć, panie Andrzeju, artykułem: „ty a On.” Ale to jest właściwie zbędne: dawniej wstecznicy i dewoci uważali cię za Barabasa, którego należy więzić; dziś godzą się na wypuszczenie ciebie, byle jego ukrzyżować. Ale królestwo twoje nie jest ze świata nauki, pracy twórczej, społecznej, lecz z półświatka demagogji, podniecanie niskich instynktów i pożądania „panem et circenses”. Sądziłem, że twój podpis pod służalczym adresem do ks. Mikołaja jest wyrokiem śmierci społecznej na ciebie. Jednak trwasz. Bowiem wstecznictwo potrzebuje do swych bojówek ludzi, zbrojnych nietylko w pałki i rewolwery, lecz również w języki i pióra. Więc ciągniesz swój awanturniczy żywot dalej. Korzystając ze swobody słowa, druku i wolności zebrań, nadanej po doktrenersku przez rząd ludowy, nadużywasz ich po warcholsku. Jestto gorsza anarchja, niż ta, którą trzeba zwalczać orężnie. Toteż z wielką ulgą przyjmujemy zarządzenie premjera, ogłoszone w „Monitorze” o odpowiedzialności za wykroczenia prasowe i wiecowe. Oby tylko doktrynerstwo socjalistów nie przeszło do porządku nad wykonywaniem tego zarządzenia.

Znacznie poważniej niż pismaki i wiecowey prowadzą walkę z rządem pewne stronnictwa. Oto zjazd ludowców w Tarnowie żąda: 1) wstrzymania ordynacji wyborczej do sejmu aż do rekonstrukcji gabinetu, 2) okręgów jednomandatowych, 3) przyznania praw wyborczych tylko tym, którzy zaprzysięgną wierność Rzp. Polskiej, 4) wyłączenia polityki z armji, 5) przyjęcia projektu reformy rolnej, opracowanego przez P. S. Ludowe i zaniechania socjalizacji ziemi. Zarazem zjazd wyraża cześć dla Nacz. Pań., J. Piłsudskiego. Te żądania są bardzo przekonywające. Ordynacja pięcioprzymiotnikowa bez różnicy płci ma cechy całkowicie doktrynerskie. Chce zdystansować państwa o wysokiej kulturze, która rozwijała się przez długie wieki samodzielnie. Ten „dernier cri“ polskiej ordynacji wyborczej, ten „kwiatek do kożucha“ przypomina kuchnię w powykrzywianych chodakach i zmiętoszonej kiecce, która przystroiła swą skołtunioną głowę w modny kapelusz ze strusiami piórami. Coś trzeba tu zmienić, bo jaskrawe przeciwieństwa są podłożem psychicznym śmiechu. A co do ordynacji mogą być przyczyną rozczarowań i płaczu. Kobieta wogóle, a przedewszystkiem włościanka, jest podporządkowana duchowieństwu, które uważa socjalizm za obrazę boską, przeto doktrynerzy ryzykują utratę przynajmniej połowy mandatów, jakie mogliby im zapewnić sami mężczyźni. Od głosującego powinnyby się wymagać przynajmniej powszechnego wykształcenia. Sama nazwa: obywatel, towarzysz nie daje rękojmi zrozumienia obowiązków i dobra Państwa. W najszcześniejszym razie będzie taki głosujący sprawdzianem skuteczności propagandy partyjnej, zależnej od posiadanych środków pieniężnych i umiejętności wyzyskania słabostek, upodobań i potrzeb wyborców. Na obietnicę socjalizacji ziemi chłop nie da się złapać, bo wierzy tylko w to, co zdobędzie własną pracą.

W początku grudnia przyjeżdża Stanisław Grabski w roli przedstawiciela Pol. Komit. Narodowego w Paryżu i zaczyna układy ze stronnictwami co do utworzenia nowego rządu. Prawica popiera tę akcję, lewica nie chce gadać z Grabskim. Liczne wiece, odezwy i artykuły prawicowe starają się wywrzeć wpływ na Naczelnika Państwa, aby zgodził się na rekonstrukcję gabinetu, w którym wszystkie polityczne teki przypadłyby N—D. Między innymi dostaje ks. Oraczewski od Komendanta Piłsudskiego taką odpowiedź: „...konieczne jest podporządkowanie interesów partyjnych sprawie ogólnonarodowej, Pragnąłbym, aby czynniki bezpartyjne, wspomagając moją w tym kierunku działalność, wywarły zdecydowany nacisk na wszystkie bez wyjątku partje“. Oraczewski nie zadawała się tem wyjaśnieniem. Na wiecu 19/XII, pod wodzą Dymowskiego i Niemojewskiego chce on stworzyć nowy rząd.

Nie uzyskawszy zgody Naczelnika Państwa na swe projekty, ogłasza St. Grabski list otwarty do P. P. S. (26/XII), w którym zapewnia, że rządy koalicji nie będą rozmawiały z rządem socjalistycznym polskim, nie dadzą mu pożyczki, surowców, nie zgodzą się na określenie granic Polski, nie oddadzą jej Gdańska tembardziej, że Moraczewski oświadczył korespondentom amerykańskim, że Gdańsk nie jest Polsce niezbędny, wystarczy stworzenie neutralnej republiki Gdańskiej. Do układów z koalicją jest powołany podług Grabskiego Pol. Kom. Nar. w Paryżu, a wysłannicy Piłsudskiego nie będą mieli tam dostępu.

Premjer Moraczewski prostuje niecisłe sprawozdanie Grabskiego. Jednak okazuje się, że doktryna co do samookreślenia narodów góruje tak dalece u tego polityka nad potrzebą odbudowy Polski w granicach, dających rękojmię trwałości państwa, że Gdańsk mógłby być dlań wolnym portem. Niema więc wątpliwości, że teorie socjalistyczne mogą za-

gwoździć moment decydujący o granicach Polski i że jest czas najwyższy skończyć z wiwisekcją doktrynerów z pod sztandaru Marksa, nie wpadając wszakże w drugą ostateczność: egoizmu nacjonalistycznego.

Trudności piętrzą się. Pod Lwowem, na Kresach wschodnich, na terenach Ober-Ostu trwają walki orężne z Niemcami, Rusinami, Ukraińcami, Austriakami, Czechami, którzy korzystają ze słabości wojskowej Polski. W Zagłębiu Dąbrowskiem musi wojsko walczyć z komunistami. W Warszawie wykrywają władze składy broni i amunicji w podziemiach oraz wielkie zapasy towarów pod synagogą na Tłomackiem i w 80 innych ukrytych składach żydowskich. Żydzi wybrali już swych delegatów na kongres pokoju, gdzie mają mieć własne przedstawicielstwo z całego świata, jako narodowość, choć żyją od wieków w diasporze wśród innych narodów, złączeni tylko wspólnością wyznania i... pieniądza. Oto w kawiarni Bristol zostaje zatrzymana „czarna giełda“ w liczbie 112 żydów, przyczem znaleziono przy nich ogromne zapasy stu i pięcioset rublówek. Niechęć do żydów jest międzynarodowa. Właśnie w Rumunji odbyły się nowe ich pogromy.

Walka stronnictw z rządem zaostrza się coraz bardziej. Wielki zgrzyt czyni ustąpienie v. min. sp. zagranicznych Filipowicza, który sprzeciwia się kandydaturze hr. Kesslera na posła w Polsce i żąda jego wydalenia za intrygi niemieckie na obszarach Ober-Ostu. Stosunki dyplomatyczne z Niemcami pod wodzą min. Wasilewskiego spotykają się z ogólnem niezadowoleniem. Sympatje dwu rządów są raczej socjalistyczne, niż państwowe, ale to idzie wbrew polityce koalicji, która postawiła właśnie ultimatum co do rozwiązania rad żołnierskich, grożąc obsadzeniem Berlina. Po wydaniu 122 łodzi podwodnych, całej floty, armat, samochodów i znacznej części sprzętu

wojennego są Niemcy obezwładnione. Jednak grupa Spertakusa szykuje się do obalenia rządu Eberta. Pod koniec grudnia dochodzi do krwawej rozprawy, wszakże Spartkus zostaje pokonany. Nasi sąsiedzi mają również poważne kłopoty i walki wewnętrzne. I to tylko ratuje nasze położenie. Zamęt w państwach pokonanych i w Rosji jest nieopisany. Z tego odmętu wyłaniają się jednak nowe państwa, bardziej zespolone, niż Polska. Przoduje Finlandja, która zachowała swą odrębność za rządów moskiewskich dzięki swej wysokiej kulturze. Dalej idą Czechy, na których czele stanął wolnomyśliciel Massaryk; ich rząd socjalistyczny nie spotyka się z przeciwdziałaniem narodu, który przeszedł długą szkołę walki z Austrią i wyrobił w sobie rzutkość. Rumunja ma poważne kłopoty terytorjalne, jednak radzi sobie skutecznie, podobnie jak państwa nadbałtyckie. Najtrudniej idą sprawy na Węgrzech, gdzie trzeba walczyć ze zorganizowanym komunizmem.

Polska od okresu Sasów stała nierządem. Dziej się stoi ogólnym zamętem powojennym. Jednak nie ma już czasu do stracenia. Trzeba opanować rozbieżność interesów, która nie nabiera jeszcze zbyt jaskrawych pastaci, ponieważ ogół ludności pochłonięty jest bardziej zagadnieniami przetrwania dnia, niż polityką na jutro. Braki żywnościowe, mieszkaniowe, opałowe, odzieżowe górują nad wszystkim. Obiecanka zadowolenia tych potrzeb staje się najskuteczniejszym hasłem agitacyjnym, które wyzyskują stronnictwa w okresie przedwyborczym. Tylko garść polityków robi nastroje i zebrawszy pod swem żądaniem setkę podpisów ludzi, których nazwiska nic nie mówią, stara się przekonać, że to jest opinja całej Polski. Albo jakiś pismak prowadzi nagankę na jednostkę wybitną, aby w ten sposób poderwać autorytet rządu. Oto „Gazeta Warszawska“ wystąpiła prze-

ciw gen. Szeptyckiemu, pomawiając go o zdradę stanu wobec popierania przez jego brata biskupa akcji ukraińskiej. Ale Naczelnik Państwa nie przyjął dymisji gen. S., dwukrotnie składanej.

Zbliża się konferencja pokoju. Prezydent Wilson przybył do Paryża i wybiera się do Londynu, spotykając wszędzie entuzjastyczne przyjęcie. Jednocześnie przybywa do Gdańska Ignacy Paderewski z żoną w towarzystwie pułkownika Wade, dwu polskich oficerów z armji Hallera i sekretarza Strakacza. Nazajutrz przyjmuje go Poznań manifestacyjnie. Jako przyjaciel Wilsona miał go Paderewski pozyskać dla idei odbudowy Polski. Znalazło to podobno swój wyraz w 13-ym punkcie orędzia. Jeżeli tak było istotnie, to znaczy, że nie sama sprawność bojowa i t. z. zręczność dyplomatyczna rozstrzygają o losach państwa i narodu. Stany Zjednoczone nietylko czczą Kościuszkę i Pułaskiego jako bojowników o swą wolność, lecz również mają uznania dla wszystkich pionierów nauki, oświaty i kultury, których dorobek dostał się do skarbnicy świata. Przez nich imię Polaka nie zaginęło. W ten sposób mógł się przyczynić sławny fortepianista w pewnej mierze do wskrzeszenia Polski, choć nie ofiarował Jej ani swej krwi, ani życia.

Paderewski mówi w Poznaniu: „...jestem symbolem idei, której służy Kom. Narodowy... Żadne stronnictwo ojczyzny zbudować nie zdoła. Trzeba jedności i zgody wszystkich, miłości i silnej wiary... Odbuduje Polskę chłop i robotnik polski i my wszyscy, o ile pójdziemy z ludem...“ Ma się szereg zastrzeżeń co do tego przemówienia, zwłaszcza, ile jest w niem szczerości, a ile dyplomacji, i co się nazywa ludem, kto ma nim kierować. Jednak odczuwa się nową jednośćką, zdolną skupić przy sobie rozproszone masy. W Wielkopolsce brak dotychczas takiego ośrodka

krystalizacyjnego. Ale czy pomiędzy istniejącym Mężem stanu w Belwederze a przybyłym wychodźcą który spędził $\frac{3}{4}$ życia poza krajem, więc może go znać tylko z opinii, czy między nimi nawiąże się łączność? Oby! W przeciwnym razie wytworzyłyby się rozłam, a nie współdziałanie.

Przyjęcie Paderewskiego wzburzyło Niemców, którzy zaczęli zrywać sztandary koalicyjne i polskie i przeszkadzać obchodom. Wojska strzelały do tłumu. Jednak straż obywatelska i milicja rozbroiły napastników. Był to początek walk regularnych, które doprowadziły w ciągu kilku dni do zajęcia całego Poznańskiego i części Pomorza.

W dzień nowego roku przybył Paderewski do Warszawy. Stronnictwa zachowawcze przygotowały się na jego uroczyste przyjęcie. Na przemowy przedstawicieli miasta i instytucyj, podnoszące ofiarność Paderewskiego podczas wojny, odpowiadał on: „...Kom. Narodowy i ja, którego jestem skromnym przedstawicielem, umieliśmy odgadywać... wolę narodu. Mąż stanu ma obowiązek odgadywać uczucia narodu i od niego przyjmować rozkazy.“ Zwrot ten zdaje się być skierowany przeciw Naczelnikowi Państwa. Przedstawiciele prawicy przyjmują to oklaskiem. A dalej Paderewski mówi: „...Wielki jest duch w Wielkopolsce... zgoda, ofiarność. Świecić mogą przykładem... Przez 4 lata pracowałem wśród 4 milionów Polaków, których dola i niedola wyгнаła aż za ocean. Dobry to lud. Od niego przyszedł pierwszy grosz na ofiary wojny. Oni pierwsi wołali o zjednoczenie Polski (?) z nich powstała pierwsza armja polska...“ Przysłowie mówi: „Każda pliszka swój ogon chwali.“ Wiemy jednak, co skłoniło Paderewskiego do opuszczenia kraju i do oświadczenia, że nigdy w nim nie da... koncertu. I wiemy, co było przyczyną wychodźstwa Polaków do Ameryki. Cieszy nas, że nie utracili

z nią łączności, że wracają do Ojczyzny, zasobni w dolary, aby tu dalej pracować. Lecz nie słyszeliśmy nic o żądaniach zjednoczenia Polski i o stworzeniu pierwszej armii polskiej, bo początek jej powstał jeszcze przed wojną pod wodzą J. Piłsudskiego, jako organizacja Strzelca, zaś Ameryka zjawiała się na polu wojny dopiero po dwu latach jej trwania. Jakaś fałszywa nuta brzmi w tym koncercie cymbalisty Jankiela.

A Paderewski prawi: „Przyjęliście mnie z upokarzającą wspaniałością, niby wodza narodu (???) A jam tylko najskromniejszy jego sługa...” — To coś w rodzaju wielkoczwartkowego mycia nóg przez biskupa 12 nędzarzom: obrządek symboliczny, a nie praca dla pokrzywdzonych. — „Nie przyszedłem po dostojęstwa, sławę i zaszczyty, lecz aby służyć, ale nie jakimukolwiek stronnictwu. Stronnictwo jest dziś jedno: to Polska! Zadne stronnictwo ojczyzny nie odbuduje. Odbudują ją wszyscy a główna podstawa to robotnik i lud...”

Przemówienie, wypowiedziane po oratorsku, przyjęte jest entuzjastycznie, bo Paderewski jest mistrzem nie tylko fortepianu, lecz i mowy. Ale od występu estradowego do działalności na poziomie pracy twórczej jest jeszcze bardzo daleko. Jakaś struna fałszywa dźwięczy w całej tej paradzie, przygotowanej w szczegółach przez stronnictwa prawicowe. Wydaje mi się, że wytwarza się nastrój przeciw Piłsudskiemu i wystawia się głośnego w świecie muzyka, aby zaczął Wodza Narodu i... zajął Jego miejsce. Utinam falsus vates sim!

Przez parę dni trwają w Bristolu narady w sprawie rekonstrukcji gabinetu. Przewodzi w nich St. Grabski i wysuwa zmienioną koncepcję rządu z 8 wielkopolan, 8 lwowian i 8 warszawiaków. Jestto znowu próba opanowania gabinetu przez prawicę, która ta-

kim chce widzieć rząd narodowy. Delegacja Rady Gł. Opiekuńczej w osobach ks. Eustachego Sapiehy i S. Staniszewskiego składa hołd Paderewskiemu, „pierwszemu obywatelowi Polski.“ Pułk. Wade, który przybył nieoficjalnie i przedstawił się Naczelnikowi Państwa, przyjmuje delegację sjonistów (Podliszewski i Grünbaum), która wyraża wdzięczność Anglii za uznanie narodu żydowskiego, za utworzenie siedziby w Palestynie i żąda dla siebie w Polsce praw, jako mniejszość i zbiorowość narodowa. Co tu ma do powiedzenia Anglik, występujący prywatnie?

4. I. 19 zjawia się Paderewski z oficjalną wizytą w Belwederze. Narady w gabinecie Piłsudskiego trwały parę godzin sam na sam. Świta i pani Paderewska oczekiwały w salonie. Gość miał wysunąć projekt Naczelnej Rady z 5 osób, która kierowałaby państwem do czasu zwołania sejmu i wyłonienia z niego rządu. Komendant miałby pozostać Naczelnym wodzem sił zbrojnych. Propozycje te nie mogły uzyskać zgody Naczelnika Państwa na 3 tygodnie przed zwołaniem sejmu, gdy na każdym kroku piętrzą się niebezpieczeństwa. W Poznańskim walki z Niemcami nabierają coraz ostrzejszego charakteru; po stronie Niemców walczą żydzi, uzbrojeni w karabiny i mitraljezy, które wykrywają wojska nasze w bóżnicy i w sklepach. Na Podlasiu odzyskujemy właśnie Chotyłów i Białą. W Kaliskiem wojsko opanowuje zamach bolszewicki. Świeżo wydalona delegacja bolszewickiego Czerwonego Krzyża zostaje wyrznięta pod Wysokiem Mazowieckiem przez bandę niewiadomą, a to grozi powikłaniami dyplomatycznymi. Walki na kresach i w Galicji wschodniej nie ustają. A liczba wojsk polskich jest wszędzie nader szczupła. W dodatku armja niemiecka szykuje się do przemarszu z Ukrainy. W tej sprawie zwraca się min. Wasilewski z protestem na ręce min. Clemenceau, lecz protest jest ja-

łowy, ponieważ stosunki dyplomatyczne z Francją nie są nawiązane. Wprawdzie Naczelnik Państwa wysłał już delegację notyfikacyjną do Paryży, jednak Pol. Kom. Nar. chce odgrywać rolę przedstawicielstwa Polski, powimo że „Tems“ pisze, że z dwu polskich rządów większy głos powinien mieć rząd Piłsudskiego.

Zamęt powiększają żywioły reakcyjne. Oto w Poznaniu tworzy się rada ludowa, niezależna od Warszawy. Gen. Dowbor-Muśnicki zostaje naczelnym wodzem 150,000 armji, a poseł do sejmu pruskiego Trąpczyński ma być prezydentem regencji Poznańskiej, która sprowadza z Galicji 3,000 urzędników w celu obsadzenia stanowisk po Niemcach. Biskupi uważają w tych warunkach za rzecz najpilniejszą wydanie orędzia przeciw planowanej szkole świeckiej, podając ją za bezwyznaniową, i przeciw socjalizmowi. Wobec nieprzemyślanych i dokrynerskich posunięć gabinetu w rodzaju zdjęcia korony z głowy orła białego, bo ma ona razić uczucia republikańców, rząd naraża się na niepożądaną walkę z wstecznictwem, które obwieszcza ludowi, że jestto walka z krzyżem. W dodatku z gabinetu ustępują Witos i Wojda, a wstępują doń bardziej lewicowi ludowcy: Stolarski, Pruchnik, Stączka i Wójcik. Słowem walka na wszystkich frontach przy mizernych siłach. W tym momencie Wódz Naczelny zarządza pobór czterech roczników rekruta i wzywa z Odessy armję gen. Żeligowskiego

W d. 5 Stycznia Polska przechodzi nowy wstrząs. Pod wodzą E. Sapiechy, T. Dymowskiego, Zdziechowskiego i Czerwińskiego i przy czynnym udziale gen. Januszajtisa i podobno cichem poparciu Dowbor-Muśnickiego zostaje dokonany w nocy zamach stanu. Moraczewski, Wasilewski, Thugutt i paru innych przedstawicieli rządu zostają aresztowani i osadzeni w pomieszczeniu T-wa Rozwój, a komendant miasta i ko-

mendant placu—w komendanturze. Zamachowcy działali tak sprawnie, jak... w operetce: Januszajtis zapomniał zamknąć drugiego wejścia, przez które wydostali się komendanci, zaalarmowali załogę, aresztowali gen. Januszajtisa i podległych mu współpracowników. Gen. Szeptycki zjawia się nieoczekiwanie w szkole podoficerskiej, przygotowanej do wystąpienia orężnego, i wzywa kapitana Wiesława Januszajtisa do raportu, który wypada fatalnie. Gen. S. obejmuje komendę nad kompanją, a kapitan zostaje aresztowany. O 3-ej w nocy zajeżdża do Belwederu samochód. Por. Pawluś i kapral Kozłowski mają aresztować Naczelnika Państwa, lecz zostają zatrzymani wraz z 30 członkami straży narodowej, która składa bez oporu broń. W pałacu Stasica dochodzi do rozprawy orężnej, jednak i tu straż narodowa zostaje rozbrojona.

Zamach, zlikwidowany w parę godzin, okrył sprzysiężonych nie tylko śromotą, lecz śmiesznością, odsłaniając zupełne nieprzygotowanie prawicy do działania. A swoją drogą szereg fałszywych, doktrynerskich posunięć ze strony rządu, zwłaszcza tolerowanie wystąpień przeciwpaństwowych i bezkarność nadużyć słowa pisanego i mówionego przyczyniły się w wysokim stopniu do nastawienia umysłów, przy którym możliwa była próba zamachu. Gdyby go były podjęły jednostki rozumne i przewidujące, mogłyby dojść do przewrotu. To pewna, że został uczyniony pierwszy krok przemocy, próba zbrodniczego rozwiązania zagadnień państwowych podług metod anarchji. Toteż postaci: Sapiehów, Zdziechowskich, Dymowskich, Czerwińskich, Januszajtisów pozostaną nazawsze nie tylko śmiesznymi, lecz i niebezpiecznymi.

Właśnie w dniu zamachu przybyła do Paryża delegacja z ramienia Nacz. Państwa w celu nawiązania stosunków dyplomatycznych: Co byłoby, gdyby

zamach się udał? Wszak stanowisko międzynarodowe Polski stało by się nadwyraz przykre. Nie mogliśmy żądać od mocarstw poparcia naszej sprawy, skoro niezdolni jesteśmy sami jej zdefiniować. Wprawdzie od 200 lat żaden car moskiewski nie umierał naturalną śmiercią, Ale czyż to ma być dla nas wzór? Gdybyć to byli przynajmniej bohaterzy, walczący z samowładztwem na podobieństwo gotowych oddać życie za wolność dekabrytów! Ale ci sprzysiężeni? Jakiś aferzysta amerykański, który zerował na wojnie i podszywszy się pod gromkie hasło wyzwolenia handlu w Polsce z rąk żydowskich, założył T-wo „Rozwój,” współpracujące cichaczem z żydami. Jakiś zagorzały prawicowiec, galicyjski książe, uprawiający swoistą politykę na urządzie, opiekującym się reemigrantami, nie gorzej, niż jego krewny w galicyjskim oddziale dam i kawalerów austr. Czerwonego Krzyża. Jakiś buńczuczny „przemysłowiec,” który wzywał polskie organizacje wojskowe w Rosji do marszu na zdobycie Królestwa Polskiego i walki z Legionami, a po rozbrojeniu 1-ego korpusu znikł z widowni... bezkarnego politykowania, Jakiś kierownik „drużyn strzeleckich,” nie mogący pogodzić się do dziś dnia, że nie on, lecz Komendant Strzelców, został Naczelnikiem Państwa... Niemiec nazywa taką kompanję: „Kleine, aber nette Gesellschaft.“

Po zamachu wyjechał gen. Szeptycki pospiesznie do Krakowa, dokąd udał się w przeddzień Paderewski. Mówiono, że P. był powiadomiony o zamierzeniach. Ale on temu zaprzeczył. A Naczelnik Państwa nie dopuszczał nawet takiego podejrzenia i rewizytował d. 7. I. pp. Paderewskich w Bristolu. Był to wstęp do nawiązania ściślejszych stosunków pomiędzy tymi mężami stanu. Odtąd widywali się często. Naczelnik Państwa uczestniczył w raucie w ratuszu i w uroczystości w operze, wydanych na cześć goś-

cia, który wykazywał wielkie zainteresowanie sprawami Polski i figurował na liście N. D. do sejmu na pierwszym miejscu, czyli musiał za parę tygodni wypłynąć na widownię życia politycznego. Zresztą Naczelnikowi Państwa było coraz ciasniej w środowisku P.P.S., którzy nie umieli się wnieść ponad widnokrąg partyjny. A tu świeżo zdobyte przez gen. Wejtkę Wilno (1. I. 19) staje się po tygodniu łupem bolszewików, którzy rozbijają 1,500 żołnierza polskiego. Konieczna jest odsiecz. Właśnie pułk, złożony ze studentów, wyruszył pod Lwów. A ich koledzy, w znacznej mierze żydzi, żądają... wznowienia wykładów. Wybuchą szereg bezroboci. Z powodu strejku kelnerów rzucono dwie bomby „pod wiechą“ i u Lijewskiego. W Moskie aresztowano członków poselstwa polskiego. Naczelną Radą Ludową wysyła delegację do Piłsudskiego i proklamuje przyłączenie Poznańskiego do Polski. Armja gen. Hallera ma wylądować w Gdańsku, a gen. Dowbor-Muśnicki powiększa swą armję i walczy z Niemcami. Wilson żąda w orędziu do Kongresu poparcia akcji Hoovera w sprawie dostarczenia żywności dla zniszczonej Europy, zwłaszcza dla Polski i uważa, że walkę z komunizmem w Niemczech łatwiej będzie przeprowadzić w drodze żywnościowej, niż orężnej, chociaż wojska rządowe dokonały właśnie rozbrojenia Spartakusa w Berlinie.

I oto w splocie wydarzeń, których doniosłości nie można dziś ocenić, zostaje ogłoszona dawno oczekiwana dymisja gabinetu Moraczewskiego. Obeszło się bez wszelkich manifestacyj i zająć, choć P. P. S. wmawiali, że lud pracujący mają w całości za sobą, Premierem zostaje Paderewski, a gabinet składa się przeważnie z przedstawicieli prawicy. Deklaracja nowego rządu (17. I. 19) głosi, że nie będzie on partyjny, że przeprowadzi bezstronnie wybory do sejmu, będzie bronił granic Państwa, zorganizuje natychmia-

stową pomoc dla ludności, zapewni jej pracę, uregu-
luje skarb i podatki, oświatę, bezpieczeństwo i oświad-
czy się jako sprzymierzeniec koalicji. Zamierzenia
rządu przyjęte są w kraju z uznaniem. Nadsyłają
gratulacje Paderewskiemu: Wilson, Pichon i Massa-
ryk. A dawny gabinet jest zdumiony, że wbrew wszel-
kim doktrynom socjalistycznym obowiązuje stare: „le roi
est mort, vive le roi!” Wasilewski wyjaśnia, że gabi-
net ustąpił nie ze względów ideowych, lecz dla... bra-
ku pieniędzy w skarbie, ponieważ bank poznański od-
mówił mu 400 milionów pożyczki. Czyż jest to w zgo-
dzie z waszą doktryną? Wszak zwalczanie kapitał.
Utrzymajcie się więc przynajmniej w stylu do końca!
Oto właśnie dziś przypieczętowali swą krwią swe dok-
tryny Karol Liebkneht i Róża Luxemburg, zamordowa-
ni w Berlinie.

Okres przedwyborczy jest w całej pełni. Partje
obiecują swoim zwolennikom raj na ziemi, byle gło-
sowali na nie. Najgłośniej krzyczy N. D. Zapowiada,
że pod jej rządami będzie wbród chleba bez kartek,
słoniny, masła, cukru i wszelkich ziemiopłodów, do
których ludność stęknęła się, jak piechur do wody
źródlanej podczas suszy. Socjaliści obiecują obronę
interesów klas pracujących, niektóre ugrupowania lu-
dowe — wywłaszczenie obszarników, żydzi — obronę
praw mniejszości narodowych i kilkanaście innych
stronictw gra na pragnieniach danych grup ludności.
Obywatel stojący poza stronnictwami i mający na
względzie dobro Państwa, a nie własne korzyści, jest
w dużym kłopotcie: nie może zgodzić się na świado-
mie kłamliwe lub niewykonalne obietniki „jedynie
narodowych, „robotniczych,” „chrześcijańskich“ ugru-
powań, a co do demokratyzmu innych ma również
poważne wątpliwości. I rozumie się, jak nieszczerze
i podstępne jest głosowanie na listy, a nie na osoby.
Arytmetyka wyborcza różni się od najbardziej zawi-

łych łamigłówek, jakie pozostały nam w pamięci z czasów szkolnych. A cóż mają tu do powiedzenia ci obywatele, którzy nie mieli nigdy ze szkołą do czynienia? Wszak jest ich w Galicji około 60 proc. zaludnienia, a w Kongresówce ze 40 procentów. Czy numerek, który złoży do urny, będzie wyrazem ich przekonań, czy tylko sprawdzianem, gdzie jaka partja zdołała rozwinąć najtrafniejszą agitację? To bałamucenie naiwnych obietcankami może się skończyć tragicznie, gdy ich ziszczenie okaże się niewykonalnem. Wtedy walka stronnictw przekształci się w wojnę domową, która nie wpłynie korzystnie na potęgę Państwa.

Zmiana na stanowisku ministra spraw zagranicznych zaznacza się w stosunkach dyplomatycznych. Zapowiedziana jest delegacja Kongresu Pokoju z gen. L. Bothą na czele, wodzem Boerów w wojnie z Anglią w 1901 r. Sympatje Polski były wówczas bo stronie bohaterkich kolonistów, którzy walczyli o swą wolność. Dziś ma ten wódz mężny zbadać, w jakiej mierze zasługują na uwzględnienie żądania Polski co do przywrócenia jej dawnego stanu posiadania. Jestto niewątpliwie rzetelny sędzia. Mamy poważne spory graniczne. Toczą się krwawe walki o ks. Cieszyńskie, które chcą zająć Czesi, chociaż ani dziejowo, ani ludnościowo nie mają do niego prawa. Pod Dziedzicami stoczyły wojska polskie krwawą bitwę z Czechami. Szef sztabu gen. Szeptycki wydał z tego powodu odezwę do wojska, podnosząc jego bohaterstwo. I o dziwo: Ta sama prawica, która pomawiała go niedawno o zdradę, napada dziś nań, że podnosi waleczność Polaków o Cieszyn. Nowy gabinet żąda dymisji Szeptyckiego. Naczelnik Państwa opiera się i ociąga, lecz wreszcie podpisuje dymisję, ponieważ Pol. Kom. Narodowy w Paryżu został uznany za przedstawicielstwo Polski wobec Koa-

licji(!) a pan Dmowski podpisał ugodę z p. Beneszem, kontrasygnowaną przez Wilsona i Lloyda George'a. Ten akt przysłał Kom. Nar. rządowi polskiemu do wykonania(!!!) Zaprawdę rozumię się teraz, ile przewidywania i znajomości stosunków społecznych i państwowych posiadał Naczelnik Państwa, skoro ociągał się z przekazaniem rządów prawicy. Dopiero wysunięcie przez nią wirtuoza fortepianowego, który wyrzekął się po mistrzowsku partyjnictwa i chciał służyć tylko Polsce, skłoniło do zmiany gabinetu. Czy jednak na czele jego nie stanie Komitet Nar. w Paryżu?

Przeżywaliśmy rządy N. D. na wygnaniu w Rosji. Ta partja nie nauczyła się nic. Dziś można spojrzeć na te zagadnienia krytycznie. Na posiedzeniu klubu demokratycznego rozpatruje się właśnie sprawę organizacji wojska polskiego w Rosji. Prezes Nacz. Kom. Pol. wskazuje, że Rada Międzypartyjna i inne partje chciały narzucić I-mu korpusowi swą wolę. Zdziechowski zagroził korpusowi cofnięciem pomocy pieniężnej, lecz Nacz. Pol. odpowiedział odmownie. Dowbor-Muśnicki wypełniał niedość udolnie wskazania komitetu, bo nie orjentował się w sprawach polskich. Pozwolił się rozbroić Niemcom z wiedzą Nacz. Pol., bo walki wygrać nie mógł. Koalicja kokietowała korpus, ale on się nie poddał. — Więckowski zarzuca Nacz. Kom. Pol. brak jasnej orientacji politycznej: siła zbrojna nie poddana władzy państwowej, jest to tylko gromada. Dlatego to partje demokratyczne sprzeciwiały się tworzeniu małych oddziałów polskich, lecz godziły się na wielkie formacje. Żołnierze, pragnęli „nie prac“ Niemców lecz... wrócić do domu. Kiereński sprzeciwiał się wyodrębnianiu Polaków, bojąc się katastrofy armji. Dowbor-Muśnicki uczył się dopiero w I-ym korpusie myśleć i mówić po polsku, nazwał on Nacz. Pol. „niedorzecznością”.

Wybory odbyły się 26 stycznia. N. D. zjednała sobie w Warszawie ambony, konfesjonały, dewotki, sklepikarzy, kuchty i pseudointeligencję. Wyczekuję pięć godzin w kolejce przed politechniką na mrozie, aby spełnić obowiązek obywatelski. Agitacja na dieśiątkę jest zawzięta przy czynnym udziale uczniaków i studentów. Wasi koledzy walczą pod Lwowem o granice Polski, a wy—pod politechniką o „bożo-ojczyzniany“ skład sejmu i takież rząd. Nasuwają się smutne refleksje: nacjonalistyczna Polska nie zdoła się utrzymać, przeminie, cały trud wojny wszechświatowej pójdzie na marne. Pamiętam, jakie dążności społeczne porywały mnie w młodości. Moja rodzina uważała mnie za opętanego przez socjalizm. Równieśnicy szli społem za „Prawdą“ Świętochowskiego, „Głosem“ Potockiego, za Buckiem, Spencarem, Darwinem. Mistrzem dzisiejszej młodości jest pan R. Dmowski. Basuje mu teraz Świętochowski, przekształciwszy się z „posła Prawdy“ na posłańca. To jest zwykła kolej życia: wiek robi swoje, starość jest nie tylko okresem głuchoty, ślepoty, stępienia zmysłów, osłabienia mięśni, kruchości kości i tętnic, lecz i ograniczenia myśli i dążności do ciasnego zakresu potrzeb osobistych. Z przerażeniem patrzę na młódź, stojącą dziś w szeregach Świętochowskiego, w których znajdwałem się sam przed 30 laty. Dzisiejsi nacjonałiści byli w młodości socjalistami. Życie wyługowało z nich utopijne mrzonki. Ale z metody myślenia i czucia pozostało zawsze coś u Niemojewskiego, Stanisława Grabskiego, Stanisława Wojciechowskiego i innych. Z jakim jednak ładunkiem energii wstępuje w życie dzisiejsza młodość?

Samochody zwożą starców i chorych, którzy dopuszczani są do urn przed koleją. Piękne poszanowanie starości i współczucie dla niedołęstwa! Czy jednak głos tych ogarków życiowych może być odbi-

ciem potrzeb Państwa? Czy nie należałoby postawić pewnych granic wieku dla wyborców, żądając nie tylko ich dojrzałości, lecz również, aby nie byli dziecinniali? Mam wrażenie, że zostały uruchomione na dzień wyborów przytułki i schroniska dla starców, kalek, idjotów, padaczkowych i innych niewłasnowolnych. Niech wiedzą, że jest jeden dzień na pięć lat, kiedy N. D. powie im: spełnij swój obowiązek obywatelski i głosuj.. na nas.

Zmarzłem, stojąc w kolejce. Ale patrzę i uczę się. Ten tłum powiada dobitnie: analfabeta nie powinien mieć prawa głosu; kobieta nie posiada własnego zdania, bo wyjmuje numerki listy najczęściej z książki do nabożeństwa; głosowanie starców i niepełnych jest tylko parodią powszechności; głosowanie na listy wyborcze, a nie na wystawionych kandydatów jest popieraniem partyjnictwa i przymusem wtłaczaniem obywatela w szeregi stronnictw, których cele nie zlewają się z celami Państwa; doktrynerstwo partyjników prowadzi do załamania i niepowodzeń, które chce się zażegnać demagogją.

Przeżywałem wybory do rosyjskiej dumy. Ta sama dmowszczyzna wodziła rej i ogłaszała siebie za jedyne stronnictwo, godne przedstawiać Kongresówkę, dla której obiecywało zdobyć... łaski carskie. Demokracja łącznie z żydami zdobyła się na nieznanego nikomu socjalistę Jagiellę, o którym można było powiedzieć chyba to tylko, że nie pochodzi z rodu Jagiellonów. Uruchomito się wtedy wszystkie ostoje wsteczności, aby zapewnić zwycięstwo N. D. Między innymi moi pacjenci z Zakł. Starców i Kalek W. Tow. Dobroczynności w liczbie 400 zgórą zostali wyprawieni do urn z kartkami. Pamiętam również miniaturowe wybory do władz W. T. D: dwie kliki, obie zachowawcze, walczyły o władzę pod wodzą wymownych adwokatów. Jeden z nich agitował prze-

ciwko M. Radziwiłłowi, oskarżając go o sprzedaż ziemi moskalom pod Zegrzem na fortecę i o prowadzenie z arcybisk. Popielem korespondencji W. T. D. po rosyjsku. Były to ciosy w samo serce. Drugi adwokat szczuł na Czetwertyńskiego, że jest zdzieciniałym starcem. Warszawa była poruszona do głębi, jak gdyby wybór tego, czy innego magnata miał rozstrzygnąć o zmniejszeniu niedoli głodnych, nagich, bezdomnych, opuszczonych, sierot, starców, kalek. A okazało się, że tym wymownym... prawnikom chodziło bynajmniej nie o „Res sacra-miser“, lecz o to, kto będzie zarządzał zapisem Suchodolskiego. W dzisiejszych wyborach ponad wszelkie hasła, krzepiące ducha i ciało, brzmi głos: „beatus, qui tenet... potestatem“. Czasy się zmieniły. A ludzie? Ludzie robią wrażenie tych z pogranicza, którzy zamiast fiolkowych mundurów przywdzieli czerwone rubachy.

Przeminął dzień wyborów. W Warszawie N. D. zwyciężyła, uzyskawszy 10 mandatów z Paderewskim i Dmowskim na czele. Bo, jak mówił Paderewski na dworcu 1 Stycznia 1919 r.: „...dziś nie pora na stronnictwa, stronnictwo jest jedno — to Polska... a główną podstawą to robotnik i lud“. Okazało się wszakże, że stronnictwo jest jedno — to N. D., a główną podstawą — to dobrze znani aferzyści partyjni. Cóż na to panowie twórcy najbardziej demokratycznej ordynacji wyborczej? Napewno nie przyznacie, że Polska do niej nie dorosła? Przy następnych wyborach zwyciężyć musicie, bo tak stoi w księgach Marxa, Kautskiego, Bebla... Nie powiem wam: czekaj tatka latka, lecz przypomnę opowiastkę, jak czupurny muzyk, dostawszy w ucho od napastnika, przyskoczył doń z pięścią i okrzykiem: spróbuj jeszcze raz! Napastnik nie uląkł się tej i następnych gróźb i powtarzał kilkakrotnie swój rękoczyn. Wreszcie syn bitego rzecze: „Chodim, baťko, a to mordu sowsim rozkwasiat (Chodź,

ojcze, bo na szczęt gębę rozbiją). A przecież mogli we dwóch obezwładnić przeciwnika i pomścić krzywdę. Ale to nie byłoby „pryncypjalne” rozwiązanie, bo doktryna nie może ulec rzeczywistości.

Pierwszą ofiarą nowoobranego sejmu jest... wierzyc się nie chce! znowu on: p. Andrzej. W № 440 „Myśli Niemojewskiej” dopuszcza się obrazy tej najwyższej instytucji państwowej. Uważa ją za „nędzną komodję pseudo-demokratyczną”, „zbieraninę”, którą należy zwalczać... Co się dzieje? Nowi sprzymierzeńcy N. D. mogli by dziś zawołać doń: „Et tu, Brute, contra me?!” Nie grozi im sztylet w serce: bo ich ludzie obezwładnią szaleńca. Jest już pod kluczem, tym razem polskim, który jest przykrzejszy od dawnego moskiewskiego, gdy redakcja „Myśli N.” przeniosła się do cytadeli. Niema to, jak mówi pan Dymowski z „Rozwoju, jak: „swój do swego po swoje”. Ale cóż to za nowy koziołek tego „nieobliczalnego” zawadzaki? Czyżby urażona duma, że nie dano jemu, bohaterskiemu bojownikowi o prawa narodu, jednego fotela w sejmie? Wszak wśród 22 podpisów na adresie do ks. Mikołaja (a jest to dokładnie połowa 44!) jest nietylko jego nazwisko. Są i obecni posłowie, np. A. Suligowski; czyżby jemu tylko nie miała być darowana ta... pomyłka? Wśród 444 wybrańców z całej Polski niema jego, który miał odwagę targnąć się na Naczelnika Państwa artykułikiem: „Ja a ty” i oświadczyć na wiecu przeciwnikom N. D. „Polska was przeklina!” Ta Polska uważała tego „ty” za pierwszego swego obywatela. Gdzież miejsce dla „Ja”? Niema go w liczbie 444. Hańba! Trzeba przekląć tę liczbę, a jeżeli to nie pomoże — samą Polskę!... Jeżeli, panie Andrzeju, zabrakło dla ciebie fotela poselskiego, nie czyń wrzawy. Na galerji są.. krzeselka. Postaraj się o jedno z nich. Będziesz mógł przyjrzeć się, jakie koryta żłobi sobie wartka rzeka

konieczności dziejowych, których niemożna zahamować piórem i krzykiem.

Dekret Naczelnika Państwa zwołuje sejm ustawodawczy na d. 9 Lutego. Oczekujemy tej chwili z utęsknieniem, bo jest ona ziszczeniem marzeń pięciu pokoleń. Podług ułożonego ceremonjału zaczyna się uroczystość od rana, O godz. 10 m. 20 wyrusza z Belwederu 8 powozów z przedstawicielami władzy. W ostatnim pojazdzie siedzą Naczelnik Państwa i premier, pod eskortą ułanów. Tłumy wznoszą okrzyki na ich cześć przez całą drogę do katedry, w której zasiada delegat papieski mons. Ratti po prawej stronie ołtarza w otoczeniu biskupów. Celebruje arcybiskup Kakowski. Przy wejściu wita Piłsudskiego orkiestra mazurkiem Dąbrowskiego. Naczelnik Państwa, ubrany w swój szary, żołnierski szynel bez wszelkich odznak, zajmuje fotel na przodzie. Obok zasiada Pederewski. Po nabożeństwie wygłasza godzinne kazanie biskup Teodorowicz, charakteryzując ze swego stanowiska dzieje Polski i obowiązki posłowi wypełniających prezbiterjum. O 1-ej p. p. odbywa się powrót do Belwederu wśród entuzjazmu tłumów. Po poświęcenia gmachu sejmu dokonywa ks. Gralewski zaczyna swe podniosłe przemówienie:

„Słudzy Polski, Ojczyzny miłej! Przed majestatem Najjaśniejszej Rzeczypospolitej czołem! Niski pokłon wielkim Duchom Polski. Uwielbienie dla ofiarnej krwi polskiej!.. Wchodzimy w okres nowego życia nie tylko my, ale cały odnowiony świat, skąpany w potokach krwi, gdzie jest cześć dla wszelkiej pracy, choćby brudzącej dłonie, ale oczyszczającej ducha... Zginęły przywileje, prerogatywy jednostek czy stanów. Powszechność budzi się na tym świecie...”

Ten głos księdza brzmi szczerością i zrozumieniem, że cała mądrość nie zasklepiła się w poznaniu

odwiecznych form i podawaniu ich za nienaruszalne. Oby wskrzeszona Polska miała więcej takich kapłanów!

Wieczorem odbywa się raut na zamku dla posłów. Wygląda on inaczej, niż wspaniałe przyjęcia królewskie. Naczelnik Państwa jest w szarej kurtce, wielu posłów — w sukmanach i butach z cholewami, Gospodarz podejmuje gości skromnie, lecz serdecznie.

Nazajutrz Naczelnik Państwa dokonywa otwarcie sejmu, odczytując spokojnie Orędzie: „Półtora wieku walk... znalazły swój triumf w obecnej chwili. Dziś mamy wielkie święto Narodu, święto radości po długiej, ciężkiej nocy cierpień... W tej godzinie wielkiej serc polskich bicia czuję się szczęśliwym, że przypadł mi zaszczyt otwarcia sejmu Polskiego, który będzie znowu domu swego ojczystego jedynym panem i gospodarzem... Po długiej wojnie świat cały i Polska czeka z tęsknotą pokoju. Tęsknata ta w Polsce dziś ziścić się nie może. Synowie Ojczyzny muszą iść, by bronić granic i zabezpieczyć Polsce swobodny rozwój... Nie oddamy ani piędzi ziemi naszej... Gorąca sympatja łączyła już dawniej Polskę ze światem demokratycznym Europy i Ameryki. Sympatje te spotęgowały się, gdy sławne armje państw sprzymierzonych... wyzwoliły Polskę z niewoli...

A o sobie, Komendancie, zapomniałeś w tej chwili? że:

„życie Twoje — trud trudów...

Na trzech stoisz koronach, a sam bez korony...”

...Naród Polski przez półtora wieku niewoli stracił poczucie prawa i wiary w swe siły... Prawa przez was uchwalone będą początkiem nowego życia zjednoczonej Ojczyzny... Polska musi posiadać armję... Macie poprzeć i rozwinąć rozpoczętą budowę wojska... odbudować życie gospodarcze... przeprowadzić niezbędne reformy agrarne w duchu postępu i wielkich demokracji Zachodu...

Życząc panom powodzenia w ich trudnej i odpowiedzialnej pracy, ogłaszam I-szy sejm wolnej i zjednoczonej Rzeczypospolitej Polskiej za otwarty i powołuję najstarszego z panów posła Ferdynanda Radziwiłła do objęcia tymczasowego przewodnictwa."

Sejm rozbrzmiewa głośniami oklaskami. Naczelnik Państwa odpowiada krótkim, wojskowym ukłonem i opuszcza salę. Oczekuję protestu P. P. S. i mniejszości narodowych, w imię sprawiedliwości, że najstarszy wiekiem jest nie F. Radziwiłł, liczący 72 lata, lecz 75-io letni rabin Perlmutter. Ale głosu tego nie słyhać. Czy nad doktryną góruje świadomość, że to sejm polski? A może ten protest zagłuszyły gromkie owacje?

Po treściwym i szczerem orędziu Piłsudskiego robi złe wrażenie rozwlekłe przemówienie tymczasowego przewodniczącego, który chce być pierwszym marszałkiem sejmu. Zgodnie ze swem stanowiskiem stanowem wysuwa on na pierwsze miejsce, obowiązki względem... stolicy apostolskiej i kościoła. Jedyny żywszy moment to odczytanie depeszy, przekazanej przez Naczelnika Państwa przewodniczącemu o zajęciu Brześcia przez wojska polskie. Tę wiadomość wita sala owacyjnie. Jednak całość przewodnictwa wskazuje wymownie, że wiek a może i stan mają swe prawa, które nie powinny przeobrażać się w przywileje w momentach dziejowych.

Nazajutrz ogłasza „Monitor” dekret o nietykalności poselskiej. Ten akt, stawiający posłów ponad prawem, może zaważyć na losach Państwa, jak liberum veto, lub jak rozkaz Nr. 1 na początku rewolucji rosyjskiej.

Paderewski poleca Komitetowi Narodowemu w Paryżu poczynić starania u rządu francuskiego o powrót do Polski formacyj zbrojnych. Jest to moment zwrotny w stosunkach, określający stanowisko Komi-

tetu, jako podporządkowane rządowi w Warszawie. Można to było uczynić wcześniej, nie oczekując na wybór Dmowskiego na posła.

14. II. odbywają się wybory marszałka sejmu. Prawica wysuwa Wojciecha Trąpczyńskiego, b. posła na sejm niemiecki. Korfanty „poleca go“ z trybuny, za co lewica przywołuje go do porządku. Ludowcy wysuwają Wincentego Witos, jednego z ruchliwszych członków „Piasta“. W pierwszym głosowaniu otrzymuje Witos z 304 głosów 144, a Trąpczyński 128, w drugim na 305 głosów Trąmp. 155, a Witos 149. Na lewicy wrzawa i okrzyki: zdrada! Ks. Okoń wygraża biskupowi Teodorowiczowi i woła, „będziemy wodzeni za nos przez księży i szlachtę!“ Lewica dowodzi, że wybór T. został dokonany dwoma głosami: ks. Bliźniskiego i rabina Perlmutra. Lecz oto stary znajomy!

Postać sucha o wyglądzie małomiasteczkowego rabina, twarz koścista, pierś zapadła, ręce wykonywują ruchy gorączkowe. Na nich ani śladu krwi, potu i cierpień rodaków. Już zdążył je zmyć... „Dajcie, bracie, kubek wody, ręce myć, suknie prać!... Nie będzie znać!“ —dzwięczy mi w uszach rna widok swobodnego, jakby nigdy nic ks. Kazimieza Lutosławskiego, jednego z 71 posłków N. D. Wybrany jest z Drozdowa. Byleś nie nawarzył piwa, jak na tułaczcel! Czy nie właściwiej było by dziś przywdziać ci habit pokutny i leżyć krzyżem jako ekspiację za śmierć własnych braci i męczeństwo rodaków, których zatrueś jadem partyjnictwa? Ale ty żądny jesteś walki. Twoja doktryna pozwala ci oczyścić sumienie modłami za duszę zamordowanych. A świadomość, że bronisz okopów św. Trójcy krzepi cię energją i zapalem. Wszak nie cofasz się przed niczem, zdolny jesteś nawet przejmować cudze listy...

W obozie N. D. wysuniesz się napewno na przo-

downika. Wsteczniectwo potrzebuje działaczy o metodach jezuickich.

Prezydjum sejmu zgłasza się do Belwederu, aby zawiadomić Naczelnika Państwa o swem ukonstytuowaniu. Piłsudski oświadcza, że złoży sejmowi w dn. 20 lutego swe pełnomocnictwa. Pragnie zatrzymać tylko naczelne dowództwo nad armją i dokończyć dzieła obrony granic Rzeczypospolitej. Konwent senatorów radzi nad sytuacją. Po długich wahaniach postanawia przyjąć od Naczelnika Państwa jego władzę i prosić go, aby piastował nadal urząd reprezentanta Państwa, pozbawiony władzy na korzyść sejmu.

20 lutego otwiera marszałek pierwsze posiedzenie sejmu pięknem przemówieniem na część bohaterów, którzy przyczynili się do wskrzeszenia Polski... Oby Opatrzność już nigdy nie skazała synów narodu polskiego do walczenia pod cudzemi a wrogimi sztandarami... za cudzą sprawę!— Po chwili marszałek przyjmuje łaskę marszałkowską z 1830 r., ofiarowaną przez Feliksa Grabowskiego, jako pamiątkę narodową. Na mównicę wchodzi Naczelnik Państwa, poprzedzany przez adjutantów. Sala rozbrzmiewa okrzykami na jego cześć. Z galerji padają kwiaty. Wszyscy posłowie wstają. Siedzi tylko żyd Przylucki. Ma do tego zupełne prawo, jako nietykalny poseł suwerennego sejmu polskiego; wszak w czasach samowoli szlacheckiej wolno było posłowi krzyknąć: veto! Poseł sejmu demokratycznego ma prawo wyrażać również swoje niezadowolnienie choćby z tego, że żydzi nie są reprezentowani w rządzie ani w sztabie i że rabin Perlmutter nie miał zaszczytu przewodniczyć pierwszemu posiedzeniu pierwszego sejmu polskiego.

Naczelnik Państwa mówi: „Wysoka izbo! Z chwilą, gdy losy w ręce moje oddały ster odradzającego się Państwa Polskiego, postawiłem sobie jako cel zasadniczy... zwołanie sejmu ustawodawczego do War-

szawy. W wielkim chaosie i rozprzeżeniu, które opnowały po wojnie całą środkową i wschodnią Europę, chciałem właśnie z Polski uczynić ośrodek kultury, w którym rządzi i obowiązuje prawo... Staralem się osiągnąć swój cel jaknajspieszniej... Chciałem, by Polska wyprzedziła sąsiadów i stała się siłą przyciągającą, dającą zapewnienie... spokojnego i prawnego rozwoju... Było to niełatwe...

Składałem podziękowanie wszystkim moim najbliższym pomocnikom cywilnym i wojskowym, przede wszystkim obu prezydentom rady min., pp. Moraczewskiemu i Paderewskiemu.

Zgodnie z głębokim przeświadczeniem, że w Polsce XX wieku źródłem praw może być tylko sejm, wybrany na podstawach demokratycznych, obu rządów stawiałem jako główny warunek, by uznały siebie za rząd jedynie tymczasowy... Również wojsko... złożyło uroczyste ślubowanie, że się podda wszystkim prawom, wynikającym z uchwał sejmu. Osobiście razem z całym garnizonem Warszawskim złożyłem to ślubowanie 13 XII 18... Uważam, że po ukonstytuowaniu się sejmu, rola moja jest skończona. Jestem szczęśliwy, że posłuszny mojej żołnierskiej przysiędze i memu przekonaniu, postawić mogę do dyspozycji sejmowi władzę, którą dotąd w narodzie piastowałem. Oświadczam niniejszem, że składałem urząd Naczelnika Państwa w ręce p. marszałka sejmu."

To proste, szczere przemówienie wzbudza entuzjazm. Piłsudski oddaje krótki, żołnierski ukłon i opuszcza salę. Wniosek zwrócenia okrojonej władzy Nacz. Pań. na ręce Komendanta przyjęto przez aklamację. Marszałek mówi: W tej chwili przełomowej wrywa się z piersi każdego z nas okrzyk radości. Sejm nasz swoją jednomyślnością okazał światu, że naród nasz dojrzał do rządzenia samym sobą. Gdzie chodzi o dobro Ojczyzny, tam nikną wszelkie przeciwieństwa osobiste

i partyjne. Oby dzisiejsze głosowanie było wielkim zadaniem na przyszłość wobec konieczności państwowej. Oby sejm nasz działał pod hasłami dawnych rzymian: Dobro Rzeczypospolitej najwyższym prawem.

Przemówienie trąci nieszczerością. Nie wskazuje, że jednogłośnie wola sejmu jest głosem całego Narodu, który widzi w Piłsudskim Męża opatrnościowego, wskrzesiciela Polski. Po okrojeniu jego władzy na korzyść sejmu, przed którym ma być odtąd odpowiedzialny, i po zrobieniu ze stanowiska Nacz. Państwa urzędu reprezentacyjnego, zależnego od ukształtowania się stronnictw w izbie, zmienia się zupełnie władza Komendanta. Ale posłowie nie rozumieją tego w przeważającej liczbie. Wydaje się im, że nic się nie zmieniło: był Naczelnikiem Państwa i jest nim znowu. Tylko tych 71 posłów z N. D. zacierają ręce i szepczą: będzie śpiewał, jak mu zagraliśmy, a jak się sprzeciwi, to... weźmiemy sobie innego...

Na salę wchodzi Komendant. Marszałek sejmu ściska mu dłoń, i zawiadamia o jednogłośnie uchwalonej uchwałach sejmu i kończy: „władzę, którą złożyłeś w ręce moje znowu Tobie powierzam z życzeniem, abyś ją sprawował na użytek Narodu i chwałę Ojczyzny.“

Po przez entuzjastyczne oklaski dobroduszych włościan i rzemieślników brzmi zdradziecka struna targowiczana...

Komendant wchodzi spokojnie na mównicę i oświadcza, że jest głęboko wzruszony zaufaniem sejmu. Wolałbym wprawdzie poświęcić się wyłącznie wojsku, jednak; „jako żołnierz posłusznie stoję wobec postanowienia waszego... Przyjmuję ten urząd... Liczę, że... ułatwicie mi niesienie tego ciężaru... Chcę wierzyć, że razem z sejmem dokonczę wykonania tego testamentu, który nam przez przodków, jęczących w niewoli, został przekazany.

Stworzyliśmy Polskę wolną i niepodległą. Polska tęskni do ostatniego słowa, które w tym testamencie stoi: do zjednoczenia. Chcę wierzyć, że przy pomocy panów i całego sejmu uda się tę sprawę, która wydaje się nieraz bardzo ciężką, z triumfem i sławą dla Polski przeprowadzić.“

Izba rozbrzmiewa oklaskami i owacjami na cześć Piłsudskiego.

Naczelnik Państwa, którego władza została zawistnie zagarnięta przez suwerenny sejm, opuszcza izbę ze zmarszką zadumy na czole...

Nowa księga dziejów Polski otwiera się w tej chwili. Oby kronikarz zapisał na jej kartach tysiące dowodów, świadczących, że nie jeden Mąż był wskrzesicielem i budowniczym naszej Ojczyzny, lecz że życie Jego, trud trudów, znalazło godnych naśladowców. Niech dzierży przez długie lata ster rządów w swej wytrawnej dłoni. Niech nauczy zastępy obywateli orjentować się na gwiazdzistej karcie widnokręgu, którą prowadzi droga ku potędze Ojczyzny, Niech przekona ich dziejami Swego żywota, że szczęście osobiste jest tylko ułudą, a największe zadowolenie daje poczucie własnej godności, której podstawą jest nie zajmowane stanowisko, lecz czyn.

Żyj nam długo, Komendancie! Twoje ofiarne dzieło jeszcze nieskończone. Półtorawiekowa niewola nie przekształciła jeszcze duchowości Polaka. Żyje w niej po dawnemu samowola szlachecka, prywata, brak troski o jutro. Zasiliły go strumienie nowej krwi, lecz nie wniosły wiele nowych pierwastków duchowych: mieszczaństwo dało mu pożądanie dóbr ziemskich i usunęło szkopuły przy ich zdobywaniu; włościaństwo wdrożyło do trudu i mokołu jedynie na własnym zagonie. Ale nikt nie nauczył go, że poza dobrem osobistym jest jeszcze dobro wspólne. Był pierwszym w świecie republikaninem, który ograni-

czył władzę swego króla do reprezentacji dożywotniej Państwa, lecz pozbawił go inicjatywy i samodzielności. I dziś chce uczynić ten sam błąd, przeobraziwszy wybrańców partyjnych na możnowładców, których światopogląd nie sięga poza ich zaścianek i warsztat pracy, a ambicje przekraczają samowolę szlachecką.

Masz jeszcze dużą pracę przed sobą, Komendancie! Do wyborów stanęło 21 stronnictw. Każde z nich chciałoby opanować władzę nad Państwem, a przynajmniej pochwycić część jej dla siebie. Musisz je nauczyć, że Rzeczpospolita to nie rządy: ani pospólstwa, ani możnych, ani robotników, ani chłopów, ani chrześcijan, ani żydów, ani protestantów, ani mężczyzn, ani kobiet, ani mieszczan, ani inteligencji, ani urzędników, lecz tych tylko, kto umie objąć całość, pogodzić przeciwieństwa stanów, szczepów, ras, wyznań, klas, zawodów, płci, kto zdoła wskazać im, że „Polska to wielka rzecz” że wszystkich obywateli kraju powinno łączyć pomimo wszelkich różnic świadomość wspólnoty i doświadczenie półtorawiekowej niewoli.

Padarewski powiedział że dziś niema żadnych stronnictw, że jedyne stronnictwo dziś — to Polska. Oklaskiwali go też gorąco przedstawiciele N. D., którzy twierdzą: Polska to my! I ty wielki muzyku, jesteś na pierwszym miejscu na naszej liście, więc jesteś przewodnikiem naszym, pierwszym obywatelem Polsk

Ludowcy wołają, że Polska musi być ludow bo chłopci są stanem najliczniejszym i ponieśli n większe ofiary krwi i mienia przy wskrzeszeniu Państwa. Socjaliści uważają siebie za jedynych przedstawicieli emokracja i obrońców klas pracujących, którzy stęli przy Tobie, Komendancie, z orężem w rękę. Mniejszości narodowe i wyznaniowe żądać będą dla siebie różnych praw obywatelskich i przywilejów międzynarodowych

a będą się starały uchylić od obowiązków. Obszarnicy kapitaliści i „beati possidentes“ będą podnosili nietykalność mienia do godności najwyższego prawa obywatelskiego, a wydziedziczeni żądać będą warsztatu pracy.

Ty jeden, Naczelniku Państwa, zdolny jesteś pogodzić teprzeciwieństwa i przekształcić dysonanse na zespół szarmonizowany. Ale właśnie dlatego spadkobiercy targowiczam nałożyli Ci pęta, uzurpując władzę nad Państwem dla siebie.

Przed Tobą, Komendancie, ciągnie się ciernista droga walk i cierpień. Nie lękasz się ich. Twój żywot trud trudów. I takim będzie do końca. Zwalczyłeś przemoc obcą i „na trzech stoisz koronach, choć sam bez korony.“ Zwalczysz i prywatę współrodaków i zespolisz ich pod skrzydły orła białego również bez korony.

Wskrzესicielu Polski! Bądź teraz jej budowniczym, odnowicielem, mistrzem, nauczycielem, wodzem! Niech sprzyja Ci szczęśliwy Los!

XIII. Na zgliszczach.

W połowie stycznia zwiedzam Spałę, dawną rezydencję myśliwską carów. Ten spadek po nich na rzecz Państwa ma być dziś użyty na najpilniejsze potrzeby. Mam właśnie zbadać, na jaki cel nadaje się Spała najbardziej.

Jadę w towarzystwie lekarza i inżyniera samochodem. Szosa do Sochaczewa jest zniszczona. Działa, jaszczyki, tabór, wozy ciężarowe wyłobily tu wciągu czterech lat liczne dziury, zapadliny, koleje. Po wiekowych drzewach przydrożnych pozostały w wielu miejscach tylko pnie. Za to na polach widzi się od czasu do czasu nowe sady, założone podług wzorów niemieckich. Wsie i osady okoliczne noszą cechy spustoszenia wojennego. Kominy, sterczące na rumowiskach, mówią o przebytych walkach. Na jednych po-

rosła już osina i brzoza. To są najstarsze, wiekiem zgliszczą, zapewne z 1914 r. Na innych usadowiły się dopiero trawy i chwasty, a królują tu, jako najwyższe gatunki zwierzęce: ślimak i wrona.

Sochaczew jest w połowie spalony. Ocalałe domy mają na sobie ślady kul i pocisków. Zamiast szyb widać w oknach stara gazeta, lub poduszka, dziury w dachu pozatykane słomą. „...W garnku dziura, miły Romciu!” Gdzieniedzie pozostały z dachu tylko krokwie, osłonięte w zamieszkałej części domu kałkami papy, blachy, desek, gontów, które tworzą dziwną mozaikę. Most na Bzurze zerwany. Zastępują go bale i deski, które zabierze pierwszy wylew wiosenny.

Skrećamy do Skierniewic. Obszerne lasy, bażantarnie, zwierzyniec zachowały dziś tylko swe nazwy. Ale „cóż po tytule, gdy pustka w szkatule”. Niemcy ogołocili te bogactwa z pasją nie rabusia, lecz niszczyciela. Na Skierniewicach znać wojnę trochę mniej. Jednak i tu widać, że ludność cierpi głód mieszkaniowy.

Mijamy Rawę, która leży, jak powiadają panie, na uboczu, więc nie poniosła znacznych strat w zabudowaniach, choć jest również ograbiona. Po południu docieramy do Spały. Lasy jej są przetrzebione. Masy materiału budulcowego i opałowego są słabo zabezpieczone od rabunku. Zbliżamy się do pałacu. Jest to prosty budynek murowany z drewnianą nadbudową, położony w parku. Po dawnych gazonach, kwietnikach, dekoracjach pozostało tylko wspomnienie. Wnętrze jest skromne: podłoga z desek, ściany tynkowane, pokoje niewielkie, tylko jadalnia może pomieścić z 50 osób. Ściany są przybrane rogami i głowami jeleni z napisem, kto je zamordował. Żyrandol pośrodku spleciony jest z rogów. Sprzęty są skromne z drzewa; wyściełane i inne cenniejsze pojechały po-

dobno na wielki świat do Berlina. Całość robi wrażenie zasobnego dworu szlacheckiego i niczem nie przypomina pełnych przopychu pałaców cesarskich.

Prócz pałacu, liczącego 40 pokoi, jest jeszcze oficyna w tymczasowym stylu, domek myśliwski mgr. Wielopolskiego i parę budynków dla świty. Stanowi to razem 137 ubikacyj mieszkalnych. Pozatem w innych budynkach po małych przeróbkach możnaby mieć jeszcze 112 pokoi, nie licząc baraków, w których Niemcy założyli ohydny zakład dla małoletnich przestępców. Jest to istna szkoła fakirów, zaprawianych do głodu, chłodu, brudu, cierpień cielesnych i moralnych nie w mniejszym stopniu, niż w Studzieńcu. Jednak rzecz wątpliwa, czy wychowawcy będą w stanie zapewnić sobie byt popisami głodomorów, nawet zakopywaniem się żywcem; z konieczności więc muszą powrócić do... złodziejstwa.

Pozostali kamerdynerzy wspominają z rozrzewnieniem carów, biadają na obecne czasy i wzdychają do powrotu najjaśniejszej rodziny. Tu była sypialnia Mikołaja, tu jego bawialnia, a tam... niekrępujące pokoje z oddzielnymi wannami wielkich księżniczek: ten Tatjana, ten — Ksienji, ten...

— Po co im „niekrępujące” pokoje? — pytam.

— Panny dorosłe, — tłumaczy sługus z bakami na podobienstwo Franciszka Józefa. — Za mąż za byle kogo nie pójdą, a królewicze nie przysłali swatów. Musiały się pocieszać; która tam wytrzyma w otoczeniu najlepszych gwardzistów... Ależ miało się za to dochody! Ot to srebrna papierośnica, te złote spinki, pierścień, to od nich pamiątki...

— O, dobre były czasy! — powtarzam. — Jednak nie powrócą już nigdy. Ale pan powinien przynieść się do Warszawy i założyć klub wielbicieli dawnych porządków. Byłoby powodzenie! Wszyscy kamienicznicy, kamerjunkturzy, hofjegierzy, koniuszowie,

wielu kawalerów św. Anny, Jerzego, Aleksandra Newskiego, hrabiowie i księżęta mogli by ten klub poprzeć przynajmniej... poćichu.

Rozmówca wlepił we mnie swe niewolnicze ślepie i bada: prawda, czy kpi? Zachowuję spokój i powagę. On ożywia się nadzieją, że może da się to jeszcze uskutecznić. Ale że czasy są ciężkie, a niekrępujące pokoje nie mają dziś zastasowania, więc wystawia mi nazajutrz bajoński rachunek za pokój, łóżko, pościel, opał, szklankę mleka i kromkę chleba. A może za to, żem zapomniał: „świętości nie szargać”?

Wracamy na Nowe Miasto, Grójec, Raszyn, na których wojna zapisała swe kroniki. Na drodze z bali, zbudowanej z wierzchołków drzew, gwóźdź przebija nam oponę. Jednak dojeżdżamy pomyślnie.

Opracowuję wniosek, aby urządzić w Spale sanatorium dla gruźlików i schronisko dla inwalidów wojennych. Wniosek rozpatrywany jest przez komisję międzyministerjalną i przyjęty przychylnie. Ale jego urzeczywistnienie napotyka na nieprzewidziane przeszkody. Powiadają, że p. Paderewska, która rozpoczęła rozległą działalność dobroczynną, społeczną i... państwową, uznała Spalę za najodpowiedniejszą na rezydencję dla premiera. Trudno. Niech inwalidzi i gruźlicy poczekają jeszcze dziebko, jak mówi kamerdynier — na lepsze czasy!

Niebawem spada na mnie nowa misja. Zwiedzam znaczną część Galicji i poznaję setki jej działaczy. Wyglądają oni inaczej niż w życiu towarzyskiem przed wojną. Czy zmienili się w ciągu pięciu lat zmagania i wysiłków? Chyba nie bardziej, niż my w Kongresówce i na tułaczce, choćby dlatego, że byli u siebie. Zmieniło się stanowisko obserwacji. Dziś nie zwiedzam pamiątek i osobliwości, nie wysłuchuję opowieści, wysławiających piękno okolicy, bogactwo zbiorów, poziom kultury, zdobycze

nauki i sztuki, liczebność wybitnych mężów stanu w poszczególnych zakątkach. Lecz przeprowadzam dochodzenie komisyjne, jak poczynali sobie obywatele, zajmujący wybitne stanowiska społeczne. A te badania wskazują, że niewola austriacka zatarła w tej dzielnicy cechy polskość wśród znacznej części zaludnienia. Najbardziej zwyrodniała arystokracja, wciągawszy się w stosunki dworskie w pogoni za karierą z łaski cesarza. Klasy urzędnicze, rekrutujące się przeważnie z ludzi ze średnim i wyższym wykształceniem, zapatrzone są w zdobywanie dochodów i podwyżek służbowych, posługują się niezrozumiałym żargonem, powstałym z mieszaniny pierwiastków niemieckich lub dosłownych przekładów, niezgodnych z duchem języka polskiego. Najodleglejszy punkt widzenia tych sfer jest nastawiony na... Wiedeń. Zawody wyzwolone są pochłonięte również zagadnieniami materialnymi i usposobione służalczo względem możnowładztwa i urzędników. Kupiectwo, złożone prawie wyłącznie z żydów, odznacza się swą krzykliwością i bezceremonjalnością. Włościanie są biedni, ciemni i pokorni. Cała ludność przedstawia nieszczególny materiał do odbudowy Polski.

Niegdyś jeździło się do Krakowa w takim nastroju, jak muzułmanie do Mekki i Medyny. Było to skąpanie ducha w oceanie pamiątek, w skarbnicy dowodów rzeczowych, że prawa Polski do bytu samodzielnego są nieprzedawnione. Jakże inaczej wygląda dziś ta jagiellońska stolica! Znikły tłumy przekupniów, którzy raczyli rodaków z Kongresówki i Litwy rozmaitemi drobiazgami na pamiątkę. Ustały przedstawienia teatralne i kinowe, mające wzbudzić nienawiść do moskali. Opustoszały muzea i galerje, zwiedzane wielokrotnie. Natomiast wysunął się na pierwszy plan mocarz — głód, wzywający przyjeźdnego: płac, płac, płac!

— Co to za guziczki? — pytam kelnera w kawiarni, patrząc na dwa maleńkie białe krążki na talerzyku.

— Sacharyna. Cukru nie mamy.

— Po raz pierwszy ją spożywam. Ale wiecie co, wolę gorzką kawę, niż ten cierpko — metaliczny — mdły wytwór chemiczny. A czemu nie podajecie do bułek sznurka?.. Taką pigułkę można przełknąć nie pogryzioną, jeśli jej nie uwiązać.

Kelner się uśmiecha. Dopiero jednak przy obrachunku pokazuje się, że potrzebny był nie sznurek, lecz rzemień do uciśnięcia żołądka, aby zmniejszyć jego pojemność pod grozą ruiny pieniężnej. Jako rewidenci jesteśmy wystawieni nieraz na pokusy. Zwłaszcza przy zwiedzaniu w zakładach spiżarni, zaopatrzonych w pieczywo, masło, owoce, konserwy, marmolady, konfitury i szereg smakołyków, które znikły w Warszawie z wystaw sklepowych. Łyka się ślinkę i śpiewa w duchu: „Jak to... przed wojenką ładnie, Kiedy befszyk w brzuszek wpadnie..”

A rewidowani kuszą. — Może panowie pozwolą na skromne śniadanko, żeby zobaczyć, jak żywimy naszych gruzlików?

— Dziękuję. Będę na obiedzie u Karpowicza, a śniadanie już jadłem — odpowiem, dodając w duchu: wczoraj.

Raz jeden dajemy się wciągnąć na obiadek we Lwowie do Georga. Jest wspaniałe, jak na przyjęciu u Geldhaba. Przekąski, napoje, potrawy, wyszukane, desery, jakgdybyśmy nie byli od paru lat na... chlebie i cukrze na kartki, na deputatach z gorzkiej mąki, peluszek, kaszy i żółtego, wilgotnego cukru. Orkiestra gra, wino, wódki, piwo stwarzają nastrój odurzenia, potrawy wypełniają wonią jadalnię. Mijają dwie godziny w miłym zapomnieniu...

— Panowie, już trzy na czwartą. O 5 mamy posiedzenie — oznajmiam.

Biesiadnikom trudno jest oderwać się od siedzeń. Lwowianie chcą uregulować rachunek. Nie godzimy się na to i płacimy po równej części, która wystarczyłaby mi na kilkodniowe utrzymanie. To też zapowiadam sobie na przyszłość: pracujemy razem, a jadamy oddzielnie.

Rewizja ujawnia cały szereg wykroczeń, niedokładności, nieformalności. Wiele z nich uważamy za nadużycia i zaznaczamy to w protokołach. Ale w skład komisji wchodzi i osoby zainteresowane. Starają się one ze wszelką cenę dowieść, że są to drobne wykroczenia, za które spada odpowiedzialność nie na prezesa, P. S., lecz na buchalterów, kasjerów, funkcjonariuszów, którzy będą za to ukarani. Najgorliwszym obrońcą jasnie oświeconych jest E. G., z którym dochodzi do ostrego przemówienia, ponieważ nie jestem zwolennikiem... pralni chemicznej dla przestępców.

Wynik komisji jest nader skromny: P. S. ustąpił z prezesury, i kilku kozłów ofiarnych spośród funkcjonariuszów tej instytucji zostało... ukaranych domowym sposobem. I wszystko. Będzie się też dowodziło, że nie było racji dochodzenia. Zapewne. Takie rzeczy powinien był załatwić sąd na miejscu. Jednak zetknięcie się ze stosunkami galicyjskimi wskazało mi, że polityka austriacka odbiła się fatalnie na ludności polskiej. Moźnowładztwo stanęło tam ponad prawem i wywiera wpływ rozkładowy na inne stany, zaprawiając je do serwilizmu, nepotyzmu, niewolnictwa i uganiania się za drobnymi korzyściami dnia. Na tych ludziach niewiele zbudujesz, Komen-dancie Piłsudski, w Twym wielkim przedsięwzięciu!

W połowie marca dokonywam objazdu Wołynia i Polesia z misją amerykańską. Zwiedzamy kilkanaś-

cie miast, kilka osad i wsi. Są one spalone i zniszczone przynajmniej w połowie. Zaludnienie spadło do $\frac{1}{3}$ stanu przedwojennego. Znaczna część uchodźców nie powróciła jeszcze z Rosji, a ci, którzy zjawili się w swych osiedlach, żałują, że nie umarli na obczyźnie. Przenieśli tyle trudu, wysiłków, niepokojów, odbyli paromiesięczne kwarantanny na pograniczu, przechorowali dur plamisty, czerwonkę, nawet cholereę, przedarli się potajemnie przez granicę, wędrowali setki wiorst na pieczę o głodzie i chłódzie... Bo krzepiła ich nadzieja, że znajdą spokój we własnej zagrodzie. A tu! Nie umieli by dziś wskazać, gdzie stało ich domostwo. Sąsiedzi i krewniacy nie chcą ich przyjąć pod dach, by nie przynieśli im zarazy, nie posilą kawałkiem chleba, bo sami żywią się jakąś masą z kory, sieczki i wrzosu, zmielonych na mąkę. Pola nietknięte pługiem, porosły krzewami i zielskiem. Nawet drogi pokryły się zaroślami i zatarły się ślady kół. Liczba koni spadła do 10 procentów i są to kościotrupy, niezdatne do woza i pług. I krów pozostało niewiele, a są one jałowe i bezmleczne.

Ten obraz zniszczenia i wyludnienia jest tem groźniejszy, iż ledwo $\frac{1}{4}$ pól jest obsiana. A więc głód będzie trwał jeszcze przez następne lata, jeżeli resztką ludności wyżyje. Można by się ratować zasiewami wiosennymi, ale kto dostarczy ziarna i sprzężaju? Nie wiadomo jeszcze, kto tu będzie panował. Jeżeli bolszewicy, to dadzą najwyżej ulotki agitacyjne, bo zboża nie mają. Jeżeli Polska — to niech wydrze ziarno choćby z Ameryki, ale dać je musi! Dziś nie myśli się już, czy to Polak, Rusin, Ukraińiec, bo głód złączył wszystkich w jedną rzeszę męczenników. Tylko z Żydami ludność nie może się zżyć, uważając ich za wyzyskiwaczy, paskarzy i agitatorów komunistycznych, choć i na nich znać biedę

i głód. Wprawdzie dowóz towarów z za Buga jest pod ścisłą kontrolą rządową, jednak Żydzi handlują po dawnemu, szerząc przytem niechęć i nienawiść do Polski na korzyść bolszewików, którzy mają opanować niebawem te obszary.

Ponad wszystkimi zagadnieniami chwili góruje sprawa chorób zakaźnych. Rozsadnikami ich są reemigranci z Rosji. W zasadzie powinni oni byli odbyć kwarantannę na jednym z etapów. Ale to dotyczy tylko dróg żelaznych, z których korzystać może niewielka liczba powracających, jakie parę tysięcy na tydzień. Dziesiątki tysięcy wracają na piechotę przez zieloną granicę, której nie sposób zabezpieczyć, ponieważ nieliczne placówki wojskowe muszą toczyć nieustanne walki z bandami bolszewickimi. Odbycie kwarantanny na etapie nie daje również żadnej rękojmi zdrowia, przy takich urządzeniach, jakie były w Orszy i Baranowiczach. Od tego czasu zanieczyszczenie baraków pogorszyło się znacznie, a odwszenie odzieży i bielizny jest wprost niewykonalne. To też każdy tułacz jest siewcą zawszenia i duru na całej drodze swej wędrówki.

Na etapach dzieje się nie lepiej. Oto w Kowlu mieszczą się baraki dla uchodźców w śródmieściu. Odgrywają one rolę bezpłatnego przytułku i stołowni, z których korzysta, kto chce. Trafiam właśnie na zajście z uchodźcą który był w mieście i spóźnił się na obiad, więc go nie dostał. Inny urąga, że kapuśniak jest niesmaczny. Probuje reszkę z kotła i wyrażam ubolewanie, że nie podejmowano nas takim przy powrocie. Zapytuję jednego z uchodźców, jak dawno jest w barakach? Odpowiada: — Verstehe nicht. Komendant etapu wyjaśnia, że jestto osadnik z Lubelszczyzny; dwa pokolenia ich przesiedziały na ziemi polskiej, on sam spędził całą wojnę w głębi Rosji i nie uznaje innego języka, prócz niemieckiego. Na

chybił trafił zaczepiam innego. Znów Niemiec; wraca z całą rodziną na Kaukaz, gdzie spędził parę lat, bo porządki obecne w Niemczech nie podobają się mu.

— Czyż baraki dla uchodźców mogą służyć do takich celów? — pytam zarządcę. — Za te podróże i etapy płaci Polska. Tacy panowie powinni podróżować na własny koszt.

— Nie mamy pod tym względem wskazówek, więc przyjmujemy każdego, kto się zgłosi. Chorych wysyłamy do Dorohuska, bo tutejsze szpitale są przepelnione.

Podobne stosunki panują we Włodzimierzu — Wołyńskim, Rawie - Ruskiej, Powursku, Dorohusku, Chełmie, i innych miastach. Etapy stały się nie miejscem izolacji reemigrantów, lecz jakimś bezpłatnym domem noclegowym i jadłodajnią, z których korzysta, kto chce. Spotyka się nawet takie dziwolągi, że jeńcy i uchodźcy, zakwaterowani tu od wielu miesięcy, wysyłani są na roboty, za co otrzymują dniówkę po 3 Mk. i podwójne porcje jedzenia.

W Brześciu część uchodźców mieszka w zwaliskach fortów. Te niedoszłe zapory dla ruchu wojsk nieprzyjacielskich stały się... schroniskiem dla tułaczów. Generał Listowski oprowadza nas po tych ciemnych norach, mających jedyną zaletę, że ich sklepienie osłania od deszczu i śniegu mieszkańców o wyglądzie suchotników. A są to jeszcze szczęśliwcy, którym chcieliby wydrzeć ich dach nad głową mieszkańcy okopów wojennych.

— Pójdą dalej do swych wsi, byle doczekali wiosny.

— Niewielu doczeka. Na ich twarzach zapisała tułaczka wyrok śmierci. O kiju żebrącym w wyludnionym i spustoszonej kraju nie zajdzie się daleko.

Nie o wiele lepiej wygląda etap reemigracyjny, umieszczony w dawnych koszarach. Budynki są w do-

brym stanie, lecz utrzymanie ich przedstawia bardzo dużo do życzenia. Zaniedbanie, brud, głód, chłód stanowią wdzięczne pole szerzenia się chorób zakaźnych i... agitacji przeciwpaństwowej.

Tak rozumiał rolę etapów ks. E. Sapieha, kierownik urzędu do spraw uchodźców i jeńców. Jest to typowa dobroczynność średniowieczna, zmodernizowana tylko o tyle, że za te bezcelowe poczynania płaci Państwo. Po zamachu styczniowym nie mógł utrzymać się na urzędzie ośmieszony jego kierownik. Jednak następcy utrzymali urząd w poprzednim stylu, narażając skarb na olbrzymie straty, a całe państwo na szerzenie się chorób zakaźnych.

Im bliżej pasa działań wojennych, tem większa bieda, głód i zachorowalność. Ludność wyrzeka na ciągłe rekwizycje na potrzeby armji, lecz przemilcze o częstych napadach bolszewickich, które pochłaniają nietylko mienia i produkty spożywcze, lecz i ludzi. Właśnie napadła banda uzbrojona na Pińsk i złupiła go okropnie, korzystając z rozmieszczenia wojsk nieco na wschód. Nie wie się nawet, czy te bandy są miejscowe, okoliczne, czy też przywędrowały z poza linii bojowej.

Odwiedzamy w pociągu pancernym placówki wojskowe nad Jasiołdą. Wśród bagnisk pińskich i rozlewów w naprędcie zbudowanych okopach czuwają młodzi chłopcy nad przyczółkami mostów. Gdy dostrzegą jaki podejrzany ruch po drugiej stronie, zaczyna się strzelanina. Młódź jest dobrej myśli i nie wątpi, że przesunie swe placówki niezadługo na wschód do Łunińca, może dalej.

— Podczas roztopów wiosennych, — mówi młody student — trudno byłoby wytrzymać nad Jasiołdą, która zaleje całą okolicę i nasze okopy. Więc musimy iść naprzód.

— A jak poradzicie sobie bez rezerw? Lud-

ność jest wam nieprzychylna, żydzi są podobno w porozumieniu z bolszewikami.

— Dziadek nie da nam zginąć. Przyśle nowe siły. On o nas myśli i dba.

— Ma jeszcze mało wojska, a musi walczyć na całym pasie pogranicznym.

— Da sobie radę! Z legionami było dużo gorzej, a Dziadek był zawsze górą.

— Ale teraz ma jeszcze jeden trudny front...

— Sejm? — pyta chorąży. — Psują Mu krew, targają nerwy. Ale gdy przyjdzie co do czego, muszą zrobić, jak On chce. Bo On jeden w całej Polsce wie, co czynić należy, aby wydzwignąć państwo z niedoli.

— Masz pan słuszność. A że wierzysz w tego niepospolitego Wodza Narodu, więc jestem pewien, że będziesz na wiosnę pod Łunińcem, — mówię, ściskając rękę studenta.

W tej chwili zjawia się żołnierz: — Panie chorąży, melduję pokornie, że dostarczono obiad.

— A to dobrze, bo głodny jestem, jak pies. A może pan spróbuje naszego wiktów?

Odmawiam, nie chcąc uszczuplić posiłku tego obrońcy naszych granic nawet o jedno ziarno kaszy. Zresztą niema się czem dzielić: pół manjerki krupniku z kartoflami, który przypomina mi polewkę z Baranowicz, i pół funta czarnego chleba.

— Czy się pan tam nasyci?

— Student ma i podczas pokoju ciasny żołądek, jeśli nie jest pieczeniarem, albo pod opieką kochającej cioci. A na wojnie może zaciągać pasek na ostatnią dziurkę. To bardzo pomaga.

— Takich żołnierzy i obywateli potrzeba Ci, Komendancie, — myślę, ściskając dłoń studenta. — Obyś miał ich jaknajwięcej!

Na innych placówkach wojskowych żywienie jest obfitsze. W Czeremosznie za Powurskiem, gdzie ludność wymiera z głodu, dostaje żołnierz 2 funty chleba i trzy razy dziennie jadło gotowane. W niektórych szpitalach wojskowych pożywienie jest tak obfite, że żołnierze sprzedają chleb. Nastroj w wojsku wszędzie pogodny. Pomimo ciągłych potyczek i walk oraz nieprzychylnego stosunku ludności, żołnierz jast pewny zwycięstwa i przesunięcia granicy daleko na wschód. Wielu chłopców miejscowych zaciąga się dobrowolnie do szeregów, choć inni zasilili by chętnie wojska ukraińskie.

W drodze powrotnej z Pińska, przyglądam się dobrze znanej okolicy. Oto zniszczone doszczętnie. Juchnowicze, tu leżący w gruzach Janów, tu wyrąbany w pień park w Mogilnej, tam rozległa poręba, przez którą idzie tor kolejki podjazdowej, dalej Drohiczyn... Tak przynajmniej głosi napis na budzie, skłeczonej z nieheblowanych desek i wielki zbiornik żelazny pompy parowozowej, po której pozostała kupa gruzów. Nie, to chyba nie ta stacja, którą widywałem tyle razy? Tasama, — zapewniają dwie wieże klasztoru w Torokaniach, wynurzające się na ogołoconym widnokręgu.

— Przetrwaliście wojnę i zniszczenie i bielejcie jak za najlepszych czasów tynkiem zimnych wazszych murów. Czy osłoniła was od pocisków armatnich jaka cudowna szata, czy ręka niechciała się na was targnąć w obawie świętokradztwa, czy może wasi twórcy, jezuita, nauczyli was metod wychodzenia obronną ręką z przeciwności życiowych, bo dzięki tym motodom przerwali sami skasowanie przez papieża swego zakonu? Milczycie, jak wtedy, gdy przed blisko pięciu laty pytałem was, czy z waszych szczytów nie dojrzycie, co czeka Polskę, czy nie odwraca się karta dziejów?

Żywo staje mi w pamięci ta chwila. Na drodze piaszczystej toczyła się bryczka, z której powiewa chusteczka w moją stronę. To dowód przymierza z moją żoną, że odtąd każde pójdzie własną drogę a pracować będzie za dwoje. I dotrzyaliśmy umowy. A cóż wy, wieżycy wyniosłe? Czyście dojrzały męża, który właśnie wtedy przemawiał w Krakowie: „Odtąd niema ani Strzelców, ani Drużyniaków. Wszyscy, coście się tu zebrali, jesteście żołnierzami polskimi... Jedynym waszym znakiem jest Orzeł Biały... Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru, jako czołowa kolumna wojska polskiego, idąca walczyć za oswobodzenie Ojczyzny.. Patrzę na was, jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armja polska i pozdrawiam was, jako pierwszą kompanję kadrową“.

Nie dosłyszaliście, wieżycy, tej przemowy, oszłomione zgiełkiem i wrzawą, która was otaczała. A może nie chciałyście słuchać człowieka w szarej kurtce i maciejówce strzeleckiej, który nie dzierzył buławy, tylko zwykłą trzcinę? Wyście nastawiały ucha na to, co mówią panowie w koronach, infułach, zdobni w barwne wstęgi, orderzy, czerwone podszewki. I cożście się od nich dowiedziały? Że władza ich jest wieczna, nieznikoma, bo pochodzi od Boga.—Patrzajcie, jak zawodne były te doktryny! Oto Ten w szarej kurtce strzeleckiej dotrzymał swej obietnicy. Wzrokiem sokolim dojrzał, co się kryje poza godłami gwałtu i przemocy. Dłonią mocarza podźwignął zatracony sztandar Wolności. Przy Nim stanął naród, widząc w Nim zapowiedzianego przez wieszczów Namiestnika Wolności, który jest:

„...nad ludy i nad króle podniesiony,
na trzech stoi koronach, a sam bez Korony:
A życie jego — trud trudów,
A tytuł jego — Żyd ludów.

Z matki obcej, krew jego dawne bohaterzy,
A imię jego czterdzieści i cztery.
Sława! Sława! Sława!"

Milczycie wieże jezuickie. Milczenie jest cechą myślicieli... i tych, którzy nie mają nic do powiedzenia, a chcą się otoczyć nimbem tajemniczości. Słuchajcie więc. Te rumowiska i to zniszczenie wołają głosem rozpaczy: Gdzie jest Mąż, zdolny zabliznić nasze rany? Gdzie Odnowiciel, mocny spoić rozbite głązy?! Powiedźcie tym ofiarom wojny, że On jest na czele oddanych sobie towarzyszywoju. Gdzie stanie Jego stopa, odradza się życie. Gdzie dojdzie Jego głos, budzą się ludzie czynu. Dokąd sięgnie Jego wzrok, zjawia się wiara w lepsze jutro. Idzie ku wam, ale nie jako triumfator, który dokonał wielkiego dzieła, lecz jako Twórca w zadumie tworzenia.

Ale cóż to?! Na rękach Jego pęta? Na skroniach Jego korona cierniowa?! Kto targnął się na Jego Moc?!

Patrzajcie! Tam naradza się grupa spiskowców.

"...To jego sędzie!

krzyczą: Gal, Gal sądzić będzie...

..Gal wydał — już porwali — już niewinne skronie

Zakrwawione w szyderskiej, ciernistej koronie,

Podnieśli przed świat cały; i ludy się zbiegły.

Gal krzyczy: oto naród wolny, niepodległy..."

Naród stoi odrętwiały, przerażony. Wtedy Gal rzecze: władzę, którą złożyłeś w moje ręce, znowu tobie powierzam. A targowiczanie śmieją się, zacierając dłonie, i wyszukują drzewo, zdatne dla Niego... na krzyż. On zda się tego nie widzieć, zapatrzony w ogrom Mozolu, który ma przed sobą, czy ufny w zwycięstwo Pracy i Poświęcenia i w poniżenie zawiści i knowań. On wierzy w Naród, a Naród wierzy w Niego. Tą wiarą budują Państwo. I zbudują naprzekór targowicy, gotowej sprzedać Je znowu, i stronni-

ctwom, dla których własne korzyści są najwyższą racją stanu.

Ktokolwiek czujesz się obywatelem Polski, stań w szeregach Wodza Narodu, Komendanta Józefa Piłsudskiego. On wskaże ci drogę do potęgi Ojczyzny. Idź za Nim z pieśnią:

Wodzu Narodu, Tobie cześć
za Twe ofiarne Legjony,
żeś je nauczył miecze wznieść
dla sprawy Polskiej obrony.

Kajdany kruszyć, zrywać pęta,
w Polaku niecić czynu żar,
aby powstała wolność święta
przez własny trud, nie cudzy dar.
Tyś targowiczán zgładził grzech,
wskrzesiwszy Polskę z mogiły.

Rozbiorców naszych legło trzech,
trzy trony się zwały.

Trzy postrącane korony
u zwycięskich leżą Twych nóg...

Lecz spocząć nie możesz znużony:
zdradziecki wciąż czai się wróg.

Nietylko rozbiorca by chciał
zagarnąć ziemię stracone,

I Targowicę objął szal:
sięga po Polski koronę...

Przy Twym stoimy sztandarze,
gotów do walki nasz miecz.

Chwała Ci! Twój żołnierz pokaże,
jak Rzeczypospolitej strzeć!

KONIEC.

Z matki obcej, krew jego dawne bohaterzy,
A imię jego czterdzieści i cztery.
Sława! Sława! Sława!"

Milczycie wieże jezuickie. Milczenie jest cechą myślicieli... i tych, którzy nie mają nic do powiedzenia, a chcą się otoczyć nimbem tajemniczości. Słuchajcie więc. Te rumowiska i to zniszczenie wołają głosem rozpaczy: Gdzie jest Mąż, zdolny zabić nasze rany? Gdzie Odnowiciel, mocny spojrzeć rozbite głązy?! Powiedźcie tym ofiarom wojny, że On jest na czele oddanych sobie towarzyszy boju. Gdzie stanie Jego stopa, odradza się życie. Gdzie dojdzie Jego głos, budzą się ludzie czynu. Dokąd sięgnie Jego wzrok, zjawia się wiara w lepsze jutro. Idzie ku wam, ale nie jako triumfator, który dokonał wielkiego dzieła, lecz jako Twórca w zadumie tworzenia.

Ale cóż to?! Na rękach Jego pęta? Na skroniach Jego korona cierniowa?! Kto targnął się na Jego Moc?!

Patrzajcie! Tam naradza się grupa spiskowców.

"...To jego sedziel!
krzyczą: Gal, Gal sądzić będzie...
..Gal wydał — już porwali — już niewinne skronie
Zakrwawione w szyderskiej, ciernistej koronie,
Podnieśli przed świat cały; i ludy się zbiegły.
Gal krzyczy: oto naród wolny, niepodległy..."

Naród stoi odrętwiały, przerażony. Wtedy Gal rzecze: władzę, którą złożyłeś w moje ręce, znowu tobie powierzam. A targowiczanie śmieją się, zacierając dłonie, i wyszukują drzewo, zdatne dla Niego... na krzyż. On zda się tego nie widzieć, zapatrzony w ogrom Mozołu, który ma przed sobą, czy ufny w zwycięstwo Pracy i Poświęcenia i w poniżenie zawiści i knowań. On wierzy w Naród, a Naród wierzy w Niego. Tą wiarą budują Państwo. I zbudują naprzeciwko targowicy, gotowej sprzedać Je znowu, i stronni-

ctwom, dla których własne korzyści są najwyższą racją stanu.

Ktokolwiek czujesz się obywatelem Polski, stań w szeregach Wodza Narodu, Komendanta Józefa Piłsudskiego. On wskaże ci drogę do potęgi Ojczyzny. Idź za Nim z pieśnią:

Wodzu Narodu, Tobie cześć
za Twe ofiarne Legiony,
żeś je nauczył miecze wznieść
dla sprawy Polskiej obrony.

Kajdany kruszyć zrywać pęta
w Polaku niecić
aby powstała wolność
przez własny trud
Tyś targowiczanie
wskrzesiwszy Polskę z
Rozbiorców naszych
trzy trony się zwały.

Trzy postrącały
u zwycięskich legionów
Lecz spocząć
zdradziecki wciąż
Nietylko rozbiorca
zagarnąć ziemie stracił
I Targowicę objął
sięga po Polski koronę

Przy Twym sztandarcie
gotów do walki
Chwała Ci! Tyś
jak Rzeczypospolitej

KON




idź za Nim z pieśnią
śubskiego. On wsłucha ci brzoje do potęgi Ojczyzny
w szeregach Wojska Narodu Komendanta Józefa Pił-
Kotłowskić czujesz się obywatelam Polski stan
rację stanu.
ctwom dla których własne korzyści są najwyższą

Wodzu Narodu, Tobie część
za Twoi obrane Legiony,
żeś je nauczył miecze wznieść
dla sprawy Polskiej obrony.
Kajdany kruszyć, zrywac pęta,
w Polsku niećć czynu zar,
aby powstała uobność święta
pierz własny trud, nie cudzy dar.
Tyś targowiczan zgładził grzech,
wskazesiemy Polskę z mogiły.
Rozbiorów naszych lego tutech,
tęzy trony się zwaliły.
Tęzy postępane korony
u zwycięskich leża Twoich nog...
Lecz spocząć nie możesz znużony;
zbradziński wciąż exai się wrog.
Nietylko rozbiorca był chciał
zagarnąć ziemię straconą,
I Targowicę objął szar;
sięga do Polski koronę...
Przy Tymu stoiny sztandarze,
gotów do walki nasz miecz
Chwała Ci! Twój żołnierz pokaze,
jak Rzeczypospolitej strzeż

KONIEC

321

Biblioteka Główna UMK

300044302391